

 HARLEQUIN<sup>®</sup>  
TM

POWIEŚĆ  
HISTORYCZNA

WYJĄTKOWA AUTORKA Z LISTY  
BESTSELLERÓW NEW YORK TIMES

JULIA  
LONDON  
MISJA LADY MARGOT

**Julia London**

**Misja lady Margot**

Tłumaczenie:  
Anna Pietraszewska

# PROLOG

*Anglia, Norwood Park, 1706 rok*

Zalotnicy – wszyscy bez wyjątku dobrze sytuowani i z koneksjami – lgnęli do nich niczym muchy do lepu. Nawet gdyby chciały, nie mogłyby się od nich uwolnić. Kiedy Lynetta zapytała Margot, co jej się w nich najbardziej podoba – oprócz fortuny i koligacji, rzecz jasna – panna Armstrong nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Zapewne dlatego, że podobało jej się w nich dosłownie wszystko.

Nie była wybredna. Lubiała przypatrywać się zarówno tym wysokim, jak i tym niskim, tym szczupłym i tym przysadzistym, tym w perukach i tym z włosami związanymi w kitkę na karku. Przyglądała im się ukradkiem, gdy konno lub w powozach przemierzali ogromne połacie Norwood Park. Bez względu na to, co robili i jak wyglądali, ich widok nieodmiennie cieszył jej oko. Zwłaszcza kiedy spoglądali na nią z podziwem i zaśmiewali się w głos z jej żartów. Niektórzy chichotali nieustannie, niemal za każdym razem, kiedy otwierała usta, żeby coś powiedzieć. Najwyraźniej mieli ją za nad wyraz dowcipną.

Lubowała się w ich towarzystwie do tego stopnia, że zdołała nawet przekonać ojca, aby wydał bal z okazji szesnastych urodzin Lynetty.

- Urodziny panny Beaully, powiadasz? – westchnął ze znużeniem, zerknąwszy na nią znad listu, który właśnie czytał. – Toż ta dzierlatka nie bywa jeszcze na salonach.

- Ale wkrótce zaczniesz. Już w nadchodzącym sezonie.

- A niby czemuż to właśnie ja miałbym ufundować jej debiut?  
- Lord Norwood uniósł pióro i podrapał się w głowę przez upudrowaną perukę. – Niech zadbają o to jej rodzice. Czy nie od tego ich ma?

- Ależ, papo, wiesz przecież, że Beaullyowie nie są nazbyt za-

sobni.

- Podobnie jak ty, moja panno. Dlatego, jak mniemam, przychodzisz po prośbie do mnie. Tylko ja w całym Norwood dysponuję wystarczającymi środkami, aby wyprawić owo nieszczęsne przyjęcie. Przyjęcie na cześć podfruwajki, której nie darzę szczególnymi względami. Że też przychodzą ci do głowy podobne fanaberie... Czemuż to, jeśli łaska, tak przy tym obstajesz?

Margot spuściła głowę, żeby ukryć rumieniec. Od dziecka rumieniła się z byle powodu. Jeśli wierzyć Lynettcie, była to jedna z jej nielicznych wad. Papa naturalnie natychmiast się połapał, że coś jest na rzeczy.

- Hm... pojmuję... - rzekł z namysłem i rozparłszy się na krzesło, splótł dłonie na okazałym brzuchu. - Zatem wpadł ci w oko jakiś młodzieniec? Czy o to idzie?

Gdybyż tylko jeden, pomyślała nawijając na palec jasny lok. Nie umiałyby zliczyć młodzieńców, którzy wpadli jej w oko. Uznała jednak, że lepiej nie mówić tego na głos.

- Cóż... - mruknęła niewyraźnie. - Tak bym tego nie ujęła... Nie chodzi o nikogo w szczególności, ale...

Ojciec posłał jej drwiący uśmiezek.

- Nie ma potrzeby się krygować. Niech ci będzie. Wyдай ten bal, zabaw się i nie zwracaj mi więcej głowy.

Bale w Norwood Park nie miały sobie równych. Pod względem przepychu i zgromadzonych znakomitości mogły konkurować jedynie z przyjęciami w londyńskim Mayfair. Dlatego kilka tygodni później do rezydencji Armstrongów zjechało niemal całe sąsiedztwo.

Sufit zdobiło pięć ogromnych, połączanych kandelabrow, które migotały światłem świec z pszczelego wosku oraz mieniącymi się w ich blasku kryształkami. Pośrodku jadalni ustawiono wielki, trzypiętrowy tort przypominający kształtem rezydencję Norwood Park. Licznie przybyłe młode damy w wytwornych toaletach sunęły z wolna po sali balowej przy wtórze muzyki sześciu muzykantów sprowadzonych specjalnie na tę okazję z Londynu. Ich misternie ufryzowane włosy wznosiły się wysoko ponad głowami, jakby nie dotyczyły ich prawa ciężenia.

Towarzyszący im w tańcu młodzi mężczyźni, w większości przystojni i majątni arystokraci, przyciągali wzrok wykwintnymi strojami z brokatów i jedwabiów, w szczególności kunsztownie haftowanymi surdutami i wzorzystymi kamizelkami. Ich włosy skrywały się pod świeżo upudrowanymi perukami, a wypolerowane na błysk trzewiki odbijały płomień świec niczym lustro.

Zajadali kawior i pili szampana, od czasu do czasu chowając się za największymi donicami, aby skraść jakiejś pannie całusa.

Margot włożyła uszytą na tę okazję suknię z zielonego jedwabiu, która zdaniem Lynetty znakomicie podkreślała jej zielone oczy i kasztanowe włosy. Jej szyję zdobił odziedziczony po matce naszyjnik z brylantów i pereł.

Jako że sala balowa była zbyt mała, aby pomieścić wszystkich gości, panna Armstrong tańczyła niewiele. Mimo to spoglądała tęsknie w stronę pana Williama Fitzgeralda, w nadziei, że ten zaprosi ją wkrótce do tańca.

W lśniącym od brokatu srebrnym surducie i nieskazitelnej peruce prezentował się olśniewająco. Margot podziwiała go z daleka od co najmniej dwóch tygodni. Przez cały ten czas wielokrotnie czuła na sobie jego spojrzenia, sądziła więc, że on także się nią interesuje. Niestety spotkał ją srogi zawód. William zdążył już zatańczyć z każdą niezamężną panną. Z każdą, ale nie z nią.

- Nie bierz sobie tego do serca - pocieszała ją Lynetta. - Albo chce zachować najlepszy taniec dla ciebie, albo pragnie oszczędzić ci wstydu. Niewykluczone, że wie, jak marna z ciebie tancerka.

Panna Armstrong obrzuciła przyjaciółkę piorunującym spojrzeniem.

- Jesteś jak zwykle niezawodna, Lynn. Wiedziałam, że nie omieszkasz mi tego wytknąć. - Według Lynetty kompletny brak poczucia rytmu był jej drugą poważną wadą, obok zdradzieckich rumieńców, rzecz jasna.

- Nie odmówisz mi chyba dobrych chęci? - wzruszyła ramionami panna Beaulieu. - Próbowałam jedynie znaleźć wytłumaczenie dziwnego zachowania pana Fitzgeralda. Zazwyczaj okazywał ci zdecydowanie więcej uwagi.

- Doprawdy, moja droga, nie musisz się aż tak wysilać. Najwyraźniej przestał się mną zajmować. Czy to ważne z jakiego powodu?

- Ależ naturalnie, że ważne. Lepiej, żeby powodem były twoje dwie lewe nogi niż coś znacznie gorszego.

- Coś znacznie gorszego? - W tonie Margot dało się słyszeć urazę. - Niby co takiego?

Lynn posłała jej rozbrajający uśmiech.

- Cóż, byłoby znacznie gorzej, gdybyś nie potrafiła zabawić zalotnika zajmującą rozmową.

Panna Armstrong otworzyła usta, ale nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, obie spostrzegły na sali wielkie poruszenie.

- Coś się święci - oznajmiła niepotrzebnie Beaułyówna.

- Tylko co? Nic nie widać w tym tłumie.

Przyjaciółki stanęły na palcach i rozejrzały się dookoła, wyciągając szyje.

- Zdaje się, że zjawił się ktoś nowy - odezwał się stojący nieopodal dżentelmen. - Z tego co słyszę, jakiś nieoczekiwany gość...

Dziewczęta jak na komendę wciągnęły głośno powietrze i spojrzały po sobie szeroko otwartymi oczami. To mogła być tylko jedna osoba - cieszący się ogromnym wzięciem Montclare, którego wezwwały do Londynu jakieś pilne sprawy. Lord Montclare był niewątpliwie najlepszą partią w okolicy. Miał wszystko, czego mogłaby sobie życzyć u kandydata na męża panna z dobrego domu: urodę, dochód w postaci dziesięciu tysięcy funtów rocznie, a w perspektywie tytuł wicehrabiego Waverly. Na dodatek był uprzejmy, uważny i nigdy się nie wywyższał. Ponoć upatrzył sobie jakąś dziedziczkę z Londynu, ale Margot i Lynetta nie dawały wiary plotkom. Wolały zachować nadzieję.

Spojrzawszy na siebie porozumiewawczo, wypadły z sali balowej i puściły się pędem w stronę balkonu, który znajdował się bezpośrednio nad foyer. Stamtąd mogły bez przeszkód przyrzec się nowo przybyłemu gościowi.

Ku ich wielkiemu rozczarowaniu, nie był to Montclare.

- A niech to... - mruknęła Lynn. - To jednak nie on...

Ani nawet żaden z licznych znajomych ojca, którzy przyjeżdżali doń z Londynu w interesach... Margot przyjrzała się grupce i zmarszczyła brwi. Powierzchnością w niczym nie przypominali innych mężczyzn. Prawdę mówiąc, wyglądali dość dziwacznie i... onieśmielająco.

- Boże Przenajświętszy... - westchnęła obok niej Beauljówna.  
- A cóż to za... odmieńczy?

Było ich pięciu. Wszyscy wyróżniali się wzrostem, muskulaturą i wyjątkowo niechlujnym odzieniem. Co gorsza, nie nosili peruk. Jeden z nich nie zadał sobie nawet trudu, żeby związać włosy, które skręcały mu się wokół głowy w burzę czarnych loków. Ich długie, uwalane błotem płaszcze miały z tyłu rozcięcia, ani chybi przysposobienie do siedzenia w siodle, a kamizelki i bryczesy zamiast z jedwabiu uszyte były ze zwykłej wełny.

- Co to za jedni? - zapytała szeptem Lynetta. - Cyganie?

- Jak nic rozbójnicy - odparła z kamienną miną panna Armstrong.

Lynn zachichotała i zakryła dłonią usta. Nie dość szybko. Przywódca przybyszy usłyszał jej śmiech i zadarłszy głowę, spojrział wprost na Margot, która z wrażenia wstrzymała oddech. Jego oczy były niesamowicie niebieskie i niepokojąco przenikliwe, jakby potrafiły zajrzeć jej w głąb duszy. Wiedziała, że powinna odwrócić wzrok, ale nie zdołała się do tego zmusić.

Po chwili czar prysł. Ktoś się odezwał i mężczyźni ponownie ruszyli naprzód. Nim zniknęli wewnątrz domu, ciemnowłosy nieznajomy znów na nią popatrzył, a ona poczuła na plecach dreszcz.

Wkrótce potem wróciła do sali i szybko o nim zapomniała. Nie mogła pojąć, dlaczego nikt do tej pory nie zaprosił jej do tańca. Czyżby rzeczywiście miała dwie lewe nogi?

Wydawało jej się, że upłynęła cała wieczność, nim usłyszała dzwonek wzywający gości na poczęstunek. Umoczyła usta w szampanie, który podał jej lokaj, i stanęła obok przyjaciółki w oczekiwaniu na swoją porcję tortu.

- Rety! - szepnęła konspiracyjnie Lynn, pociągając ją za ramię.

- Co znowu?



- Idzie tu!

- Kto?

- Fitzgerald!

- Fitzgerald?! A niech to! - Margot otarła pospiesznie usta z szampana i wygładziła suknię. - Patrzy na mnie?

Nim Beauljówna zdążyła odpowiedzieć, pan Fitzgerald pojawił się u ich boku.

- Panno Armstrong - przywitał się z wytwornym ukłonem. - Panno Beauljó, moje powinszowania z okazji urodzin.

- Dziękuję - odparła Lynetta. - Daruje pan... ale zamierzałam właśnie... - zawiesiła głos - pójść po tort. - Z tymi słowy odeszła na bok, zostawiwszy przyjaciółkę sam na sam z Williamem.

- Dobrze się pan bawi na naszym balu, panie Fitzgerald? - zapytała z mocno bijącym sercem Margot.

- Znakomicie. Zasłużyła pani na najwyższe pochwały.

Uśmiechnęła się szeroko zadowolona z komplementu.

- Och, to nie tylko moja zasługa. Wiele osób pomagało mi w przygotowaniach, w szczególności Lynetta.

- Naturalnie. - William przesunął się i stanął tuż obok niej. Niemal czuła na łokciu jego ramię. - Będę zaszczycony, jeśli zechce pani podarować mi kolejny taniec.

- Z przyjemnością - odparła ochoczo, choć przez chwilę miała obawy, że podepcze mu palce.

- Panno Armstrong.

- Tak?

Fitzgerald skinął w stronę drzwi.

- Zdaje się, że chce z panią mówić kamerdyner.

- Co takiego, Quint? - zapytała, z trudem odrywając wzrok od rozmówcy.

- Ojciec panienki życzy sobie widzieć panią w bawialni.

Do stu tysięcy diabłów! - zaklęła w myślach, po czym uśmiechnęła się z przymusem do służącego.

- Akurat teraz? - Miała nadzieję, że w jej głosie nie słychać poirytowania.

- Przypilnuję pani szampana - zaofiarował się pan Fitzgerald.

- Jestem pewien, że to zajmie tylko chwilę.

Oby, pomyślała z niezadowoleniem. Inne panny krążyły wokół



niego niczym sępy. Gotowe porwać go na dobre, jeśli oddali się na zbyt długo.

- Czy to nie może poczekać? - spróbowała jeszcze raz, zerkając błagalnie na Quinta.

- Obawiam się, że nie. - Kamerdyner jak zwykle pozostał niewzruszony. - Jasnie pan prosi, aby przyszła pani bez zwłoki.

William uśmiechnął się życzliwie i wyjął jej z ręki kieliszek.

- Proszę iść. Zatańczymy, kiedy pani wróci.

- Dziękuję. Bardzo pan miły. - Odwróciła się na pięcie i uniosła spódnicę, pomaszerowała w stronę wyjścia.

Kiedy dotarła do bawialni, już od progu powitał ją nieprzyjemny odór koni. Ku swemu zdumieniu odkryła, że ojciec czeka na nią w towarzystwie umorusanych mężczyzn, których widziała kilka minut wcześniej w holu. Jej brat, Bryce, stał przy kominku i przyglądał się gościom z nieprzenikniętym wyrazem twarzy. Czterej z nich byli tak zajęci pochłanianiem jedzenia, że zupełnie nie zwracali uwagi na otoczenie. Młaskali, siorbali i pochrząkiwali jakby od co najmniej miesiąca nie mieli nic w ustach.

- Oto i moja córka - odezwał się pan Armstrong, wyciągając ku niej dłoń.

Margot podeszła do niego niechętnie i dygnęła na powitanie.

Niebieskokooki nieznajomy z bliska wyglądał jeszcze bardziej niechlujnie niż z daleka. Jego odzienie nosiło wyraźne ślady kilkudniowej podróży, a dolną część twarzy zasłaniała mu długa, ciemna broda. Zapewne zgubił po drodze brzytwę. Co gorsza, zdaje się tam, skąd pochodził, nie nauczono go dobrych manier. Zmierzył ją taksującym spojrzeniem od stóp do głów, na moment zatrzymując wzrok na jej dekolcie. Bezwstydnik!

Posłała mu miążdzące spojrzenie, ale on zamiast poczuć się zbesztany, wyraźnie się rozochocił i nadal zuchwale wlepił w nią oczy.

Kiedy wstał, okazało się, że przewyższa ją więcej niż o głowę.

- Margot - odezwał się ponownie ojciec. - Pozwól, że ci przedstawię, Arran MacKenzie, panie MacKenzie, moja jedynaczka.

Panna Armstrong ukloniła się i podała mu rękę.

- Rada jestem pana poznać.

- Cała przyjemność po mojej stronie... - Mówił z silnym, śpiewnym akcentem, o dziwo, bardzo przyjemnym dla ucha.

Jego dłoń była ogromna i szorstka. W porównaniu ze smukłą, wypielegnowaną dłonią Williama Fitzgeralda, przypominała niedźwiedzią łapę.

Uśmiechnęła się uprzejmie i pospiesznie uwolniła palce. Potem spojrzała wyczekująco na ojca. Najwyraźniej niespieszno mu było ją odesłać. Jak długo każe mi tu tkwić? - zastanawiała się niepocieszona. W sali balowej czekał na nią William. Nie brakowało też rywalek, które krążyły wokół niego jak hieny i mogły w każdej chwili zabrać jej go na zawsze.

- Pan MacKenzie ma odziedziczyć tytuł barona Balhaire - oznajmił raptem ojciec.

A mnie cóż do tego? - pomyślała zdumiona i zniecierpliwiona. Jak przystało posłusznej córce, zrobiła jednak to, co nakazywał obyczaj.

- Zapewne cieszy pana ów prospekt - rzekła uprzejmie.

MacKenzie przechylił głowę i znów utkwiał w niej wzrok.

- Niezmiernie, panno Armstrong. Nawet pani nie przypuszcza jak bardzo.

Margot zadrżała na całym ciele. Czemu ten ordynus tak bezwstydnie jej się przygląda? I dlaczego ojciec mu na to pozwala? Widzi przecież, co się święci.

- Dziękuję, Margot - zabrał głos lord Norwood. - Możesz wracać do swoich gości.

Co to wszystko ma znaczyć? Poczowała się jak owca prowadzona na targ do wyceny. Ojciec zbyt często traktował ją jak błyskotkę, którą warto się pochwalić światu. Była czymś więcej niż tylko ładną buzią.

Spojrzała ostatni raz w niebieskie oczy Szkota.

- Miło mi było pana poznać - skłamała, nie kryjąc niechęci. Miała nadzieję, że wyczyta z jej twarzy odrazę. Jego towarzysze z całą pewnością wyczuli, że nie jest im życzliwa. Oderwali się od talerzy i przyglądali jej się, jakby nigdy wcześniej nie widzieli wytwornej kobiety. Zważywszy na ich powierzchowność i maniery, było to całkiem prawdopodobne. Żadna dystygowana

dama nie chciałaby mieć z nimi nic wspólnego.

- Mnie również, panno Armstrong - rzekł tymczasem ich wódz, posyłając jej szeroki uśmiech.

Nie wiedzieć czemu, nagle zrobiło jej się gorąco. To pewnie ten jego śpiewny akcent. Odwróciwszy się na pięcie, wybiegła na korytarz. Oby jak najdalej od tych nieokrzesanych morusów.

Panu Fitzgeraldowi najwidoczniej znudziło się czekanie. Kiedy wróciła na przyjęcie, tańczył już z kimś innym.

Nazajutrz ojciec oznajmił jej, że zamierza wydać ją za mąż za Arrana MacKenziego. Na nic zdały się histerie i błagania. Jej los został przesądzony.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Pogórza północnej Szkocji, 1710 rok*

Noc była tak pogodna, że nawet z oddalonego od plaży dziedzińca słyhać było szum morza. Okna średniowiecznego zamku Balhaire stały otworem, a w westybulu wciąż paliły się pochodnie.

Wnętrze odnowiono i wyposażono we wszelkie możliwe wygody. Takiej rezydencji nie powstydziliby się sam król. Baronowi Arranowi MacKenziememu dom ten w zupełności wystarczał do szczęścia.

Przywódca klanu i jego ludzie odpoczywali po wieczerzy przy beczce piwa w towarzystwie kilku dziewcząt, które umilały im czas.

Tymczasem na baszcie wartownicy grali w kości.

Seamus Bivens wygrał u swego druha, Donalda Thane'a co najmniej dwa *sgillingi*<sup>[1]</sup>. Nie żeby to była fortuna – lord MacKenzie sprawiedliwie opłacał lojalnych ludzi – ale roztropny Szkot nigdy nie gardzi zarobionym, a tym bardziej darowanym groszem. Następna kolejka i przegrana Donalda zakończyła się bójką. Dowódca warty Sweeney MacKenzie zamierzał przytknąć na nią oko, ale usłyszawszy z dołu jakiś hałas, przypadł do podkomendnych i rozdzielił ich bez ceregieli.

– Mordy w kubel, utrapieńcy! Zapomnieliście, po coście tu przyszli? A może na słuch wam padło od tych kości?

Wartownicy natychmiast wyciągnęli szyje i nadstawili uszu. W oddali wyraźnie słyhać było nadjeżdżający powóz.

– Ki czort? – wymamrotał Seamus, wnet zapomniawszy o sprzeczce z Donaldem. Chwycił lunetę i wyjrzał za mury.

– No i? – ponaglił Thane, spoglądając mu przez ramię. – Kogo diabli niosą? Pewno któregoś z Gordonów?

Bivens potrząsnął głową.

- Eee... nie, to nie Gordon.

- Skoro nie Gordon, to jak nic Munro - stwierdził z przekonaniem Sweeney. - Ponoć Munrowie czynią zakusy na nasze ziemie.

- Nie, Munro też nie.

Na dziedzińcu stanął powóz eskortowany przez czterech konnych.

- Kto, do diaska, nachodzi porządnych ludzi po północy? - oburzył się Donald. - Też mi pora na wizyty! Skaranie boskie...

- Zamierzał dorzucić coś jeszcze, ale Seamus raptem wypuścił ze świstem powietrze, odskoczył od blanki, jak oparzony, po czym wychylił się raz jeszcze. Jakby chciał się upewnić, czy dobrze widzi.

- Nie! Nie może być! Oczom własnym nie wierzę...

- Co, do pioruna? - dopytywali się towarzysze. - To chyba nie Buchanan? - Najgorszy wróg MacKenziech raczej nie składał kurtuazyjnych wizyt w środku nocy.

- Gorzej.

- Gorzej? Duchaś tam zobaczył, czy jak?

- W rzeczy samej... Tak jakby.

- Mówże zaraz, kto zacz, bo nie ręczę za siebie! - zapieklił się Sweeney.

- No... lady MacKenzie... - wydusił szeptem Bivens.

- Lady MacKen... Że jak?!

- No, mówię przecie...

- Jezusie Nazareński, niech skonam...! - Dowódca warty chwycił pistolet, po czym puścił się biegiem na dół, żeby ostrzec kuzyna o powrocie żony. Nie było to łatwe zadanie. Wieża była wysoka, a schody strome. Kiedy dotarł na dziedziniec, pani MacKenzie stawiała właśnie stopę na schodkach powozu. Sweeney zaklął pod nosem i pognął ku drzwiom.

Arran odetchnął głęboko, rozkoszując się chwilą. Nie ma to, jak wieczór z kuflem dobrze uwarzonego piwa i ponętą dziewczynką na kolanach. Gdyby jeszcze pamiętał, jak miała na imię... Aileen? Irene?

- Arran! Arran! - rozległo się nagle natarczywe wołanie.

MacKenzie wychynał zza pleców blondynki i rozejrzał się nieprzytomnie dookoła. Sweeney biegł ku niemu, sapiąc i słaniając się na nogach. Wyglądał tak, jakby miał za chwilę wyzionąć ducha. - MacKenzie! - wrzeszczał wniebogłosy, przeciskając się przez tłum. - P-p-prędko! G-g-gdzie się p-p-podział MacKenzie?! - Władał mieczem jak mało kto i był wytrawnym dowódcą, ale kiedy coś go wyprowadzało z równowagi, a zdarzało się to nader rzadko, jękał się, jak w czasach, gdy obaj byli dziećmi. Dziwne... - pomyślał z niejakim niepokojem Arran.

- Sweeney! - krzyknął, zepchnąwszy z kolan dziewczynę, która dotrzymywała mu towarzystwa. - Tu jestem! Co tak dyszysz, bracie? Stało się co, czy jak?

- I o-o-owszem, s-stało się - wysapał bez tchu dowódca straży. - W-wróciła...

- Że co?

- No, w-wróciła, t-twoja...

MacKenzie podniósł się i chwycił krewniaka za ramiona.

- Spokojnie, chłopie. Odsapnij i zacznij od nowa. Mówisz, że kto wrócił?

- Tt-twoja p-p-pani.

- Moja... Kto?

- Twoja p-p-pani. L-lady M-MacKenzie.

Ostatnie słowa Sweeneya zawisły w powietrzu w kompletnej ciszy, jaka raptem zapanowała w westybulu. Arran na moment zamarł. Gdy odrobinę oprzytomniał, wymienił spojrzenie z Jockiem, lecz ten sprawiał wrażenie równie osłupiałego jak on sam.

- Oj, chłopie - zwrócił się ponownie do Sweeneya. - Coś ci się chyba pomyliło. To nie może być ona...

- Nie pomyliło mu się - usłyszał nagle i ponownie zdębiał. Ten głos i wyrazisty angielski akcent rozpoznałby wszędzie. Popatrzył w stronę drzwi, ale w słabo oświetlonej sieni niewiele dało się zobaczyć. Zresztą nie potrzebował potwierdzenia. Wystarczył mu zbiorowy okrzyk zebranych w izbie towarzyszy. W istocie, Sweeney się nie mylił. Ta zdradliwa piekielnica rzeczywiście tu była. Żona marnotrawna wróciła na włości. Po trzech latach ni stąd, ni zowąd przypomniawszy sobie, że ma męża? Dobrze

sobie.

Jego ludzie zapewne będą podzieleni. Część przyjmie jej powrót jako błogosławieństwo, część jako zwiastun katastrofy. On sam nie miał złudzeń. Był przekonany, że zjawiała się w Balhaire z jednego z trzech powodów: jej ojciec przeniósł się do lepszego świata i nie miała, gdzie się podziąć, przepuściła wszystkie pieniądze MacKenziech albo chciała się rozwieść.

To pierwsze było raczej niemożliwe. Gdyby stary Norwood umarł, już by o tym wiedział. Opłacał w Anglii człowieka, który miał baczenie na jego niewierną połowicę. Tłum rozstąpił się jak na zawołanie, żeby zrobić dla niej przejście. Przez chwilę sunęła ku niemu posuwistym krokiem w eskorcie dwóch wymuszanych rodaków w perukach.

Byłoby to iście spektakularne wejście, gdyby nie natknęła się po drodze na jednego z psów, który drzemał w najlepsze na środku izby. Na widok uspionej bestii zatrzymała się na chwilę, po czym przeszła dookoła i ruszyła dalej.

Arran pomyślał wówczas, że najbardziej prawdopodobny jest trzeci powód. Chciała się rozwieść albo unieważnić ich małżeństwo; jedno z dwojga. Tak czy owak, pragnęła na zawsze się od niego uwolnić. Tylko po co przemierzyła w tym celu taki szmat drogi? Nigdy nie potrafił odgadnąć, co myśli. Nadal nie mógł uwierzyć, że stoi przed nim we własnej osobie, z miną niewiniątka i niepewnym uśmiechem. Jej ludzie trzymali przy niej wartę z rękoma na rękojeściach mieczy.

Zeskoczywszy z podestu, podszedł do niej zdecydowanym krokiem.

- Przyplęnęłaś statkiem? - zapytał z pozornym spokojem. - Czy może przyfrunęłaś na miotle?

W pełnej napięcia ciszy rozległ się nagle słabo tłumiony chichot któregoś z biesiadników.

- Najpierw wsiadłam na statek - odparła, ignorując zaczepkę. - A potem jechałam powozem. - Przechyliła głowę na bok i zmierzyła go uważnym spojrzeniem. - Znakomicie się prezentujesz, mężu. Miałam nadzieję, że zastanę cię w dobrym zdrowiu.

Zbył jej uwagę milczeniem. Co niby miałyby jej powiedzieć po



trzech latach rozłąki? Nie odezwał się także dlatego, że gdyby otworzył usta, ani chybi dałby upust długo tłamszonym emocjom, którymi nie miał ochoty dzielić się ze światem.

Tymczasem Margot rozejrzała się dookoła, zatrzymując wzrok na płonących pochodniach, żeliwnych kandelabrach i psach, które kręciły się samopas po izbie. Norwood Park znacznie różniło się od siedziby rodu MacKenziech. Nawykła do przepychu londyńskich salonów i nigdy nie przepadała za tym miejscem. Zamiast surowego westybulu wolałaby wystawną salę balową, ale dla Arrana liczyła się nade wszystko wygoda, stąd dwa długie stoły, dwa ogromne paleniska i kilka dywanów, które tłumili odgłos kroków na kamiennych posadzkach.

- Staroświecko i uroczo, jak zwykle - skwitowała z uśmiechem. - Dokładnie tak, jak zapamiętałam. Nic się nie zmieniło.

- Ależ wiele się zmieniło - oznajmił z przekąsem. - Nie spodziewałem się ciebie.

- Domyślam się. - Na jej twarzy pojawił się ledwie zauważalny grymas. - Daruj, że cię nie uprzedziłam.

Oczekiwał czegoś więcej. Wyjaśnienia albo chociaż przeprosin, może nawet prośby o przebaczenie. Na próżno. Najwyraźniej nie zamierzała się z niczego tłumaczyć. Popatrzyła w bok na podest, który miał za plecami.

Obrócił się nieznacznie, podążając za jej spojrzeniem. Podium, przy którym przywódca klanu zwyczajowo spożywał posiłki i odbywał narady z doradcami, było jedyną pozostałością starego wystroju. Lubił je, bo miał stamtąd idealny widok na całe pomieszczenie.

- Istotnie, teraz widzę, że coś się zmieniło - stwierdziła z entuzjazmem. - Bardzo gustowne. Podobają mi się.

Upłynęła dłuższa chwila, nim uzmysłowił sobie, że ma na myśli rzeźbiony stół, tapicerowane krzesła i srebrne świeczniki, które przywiózł z ostatniej podróży. Dostał je w zamian za konie, których potrzebował pewien zdesperowany nieszczęśnik uciekający przed wymiarem sprawiedliwości.

- Pochodzą z Francji, prawda? Wyglądają iście francusko.

Czy pochodzą z Francji?! Nie dowierzał własnym uszom. Czy ta kobieta całkiem postradała zmysły? Lord i lady MacKenzie

stanęli ponownie twarzą w twarz i obyło się bez walki na noże. Należałoby z tej okazji uderzyć w dzwony, a ona pyta, skąd się wzięły jego nowe meble? Jakie to ma, do diaska, znaczenie? Po co tu przyjechała? Po trzech latach, w dodatku bez uprzedzenia? Raptem przypomniała sobie, że ma męża? I ma czelność paplać o byle czym? Jej buta przekraczała wszelkie granice, bulwersował się w duchu.

Panował nad sobą z najwyższym trudem. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi.

- Nie sądziłem, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę, pani. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Posłała mu szeroki uśmiech.

- Co cię sprowadza do Balhaire? - ponaglił z ponurą miną.

- Właśnie! - zawołał któryś z zebranych. - Też chcielibyśmy wiedzieć.

- Och, wybaczcie. - Dygnęła z wdziękiem. - Jestem taka przejęta, że z tego wszystkiego zapomniałam o manierach. Wróciłam do domu. Na dobre. - Znów się uśmiechnęła i wyciągnęła ku niemu dłoń.

- Do domu? - parsknął z drwiną. - Raczysz żartować, pani.

- Owszem, do domu. Jesteś moim mężem. Mój dom jest tam, gdzie ty. - Zamachała palcami, żeby mu przypomnieć, że wciąż nie podał jej ręki.

Nie musiała. Doskonale widział tę rękę i urokliwy uśmiech, na którego widok boleśnie ścisnęło mu się serce. Na jej policzkach pojawiły się dołeczki, a zielone oczy świeciły w świetle pochodni jak szmaragdy. Spod nakrycia głowy wyzierały ciemnokasztanowe loki.

- Nie przywitasz się ze mną?

Zawahał się. Wciąż miał na sobie ubłocone od jazdy ubranie i niedbale związane włosy. Nie golił się od kilku dni i zapewne nie pachniał najlepiej. Mimo to ujął jej dłoń. Miała takie ładne i delikatne dłonie... Ścisnął ją mocniej i przyciągnął bliżej siebie.

Stała teraz na wyciągnięcie ręki. Musiała zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w twarz.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, próbując przejrzeć jej za-

miary.

- To ma być powitanie? - spytała, uniósłszy brew. - Zrób to, jak należy. Powitaj mnie w domu, mężu. - Nim zdążył zareagować, kompletnie wytrąciła go z równowagi. Stała na palcach, objęła go za szyję i pocałowała w usta.

A niech to! Pocałowała go. I nie był to bynajmniej niewinny pocałunek, jaki zapamiętał z przeszłości. Tylko takimi obdarowywała go wówczas młoda, nieśmiała żona. Teraz całowała go dojrzała, świadoma swego ciała kobieta. Kiedy skończyła, uśmiechnęła się i zajrzała mu w oczy.

Udało jej się. Osiągnęła dokładnie to, co chciała. Niemal cała jego złość wyparowała, a raczej zmieniła się w zgoła inne uczucie. Obrzucił ją rozognionym spojrzeniem. Prawie w ogóle się nie zmieniła. Może sprawiała wrażenie odrobinę bardziej krzepkiej... Tak czy owak, nie była już tym samym zapłakany dziewczątkiem, które uciekło od niego do papy.

Ściągnął jej z głowy kaptur i sięgnął do aksamitnego loka, który wymknął się spod misternego upięcia. Potem rozpiął jej płaszcz i obejrzał idealnie skrojoną suknię i dekolt uwieczony w ciasnym gorsecie. Z niejakim zdumieniem odkrył, że jej szyję zdobi naszyjnik ze szmaragdów, który podarował jej niegdyś w prezencie ślubnym. Była zachwycająca. Wyglądała niezwykle ponętnie i kusząco, jak przedni posiłek w oczach wygłodniałego wędrowca. Myliła się jednak, jeśli sądziła, że będzie dziś biesiadował przy jej stole.

- Widzę, że nie żałowałaś sobie moich pieniędzy - rzekł, spoglądając na drogą jedwabną spódnicę. - Przypuszczam, że nader często robiłaś z nich użytek. Zdrowie także ci dopisuje.

- I owszem, nie mogę narzekać - odparła uprzejmie. - Ty także wyglądasz... - zawiesiła głos i przyjrzała się jego nieświeżemu strojowi - ...dokładnie tak samo jak zwykle - dodała z krzywym uśmiechem.

Jej zapach przyprawiał go o zawrót głowy. Wróciły nieproszone wspomnienia. Oczyma wyobraźni zobaczył znów jej nagie ciało, włosy rozrzucone na poduszce i krągłe piersi. Niemal poczuł, jak oplata go nogami.

Bezbłędnie odczytała jego myśli. Dostrzegł to w jej oczach,

zanim odwróciła się ku swoim towarzyszom.

- Pozwól, że ci przedstawię, panowie Pepper i Worthing. Zadbali o to, bym dotarła bezpiecznie do celu.

Tłum nie zareagował entuzjastycznie. Zewsząd podniosły się nieprzyjemne szepty. Pomimo niedawnego sojuszu pomiędzy Anglią i Szkocją, klan MacKenziech nie darzył Anglików szczególną sympatią. Zwłaszcza odkąd jego małżeństwo okazało się kompletną katastrofą.

Arran ledwie spojrział na angielskich trefnisiów.

- Gdybym wiedział, że pragniesz wrócić do Balhaire, pani, wysłałbym po ciebie moich najlepszych ludzi. Swoją drogą, ciekawe, dlaczego nie dałaś mi znać o swoich zamiarach.

- Zawsze byłeś wielkoduszny - odrzekła wymijająco. - Zechcesz ugościć nas wieczną? Jesteśmy zdrożeni i głodni.

MacKenziemmu szumiał w głowie alkohol i wciąż nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Nie był jednak na tyle otumaniony, by pozwolić sobą pomiatać. Co to, to nie. Jego szanowna małżonka wpada do domu w środku nocy i udając, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, prosi o posiłek? Niedoczekanie. Należą mu się chyba jakieś wyjaśnienia. I bodaj szczeł, wydobydzie je z niej choćby przymusem, ale na pewno nie przy ludziach.

- Muzyka! - wrzasnął na całe gardło i odczekawszy, aż ktoś zacznie grać na piszczałce, chwycił Margot za nadgarstek. - Przyjeżdżasz tu bez zapowiedzi i masz czelność domagać się jedzenia? Po tym jak ode mnie uciekłaś? Masz tupet, kobieto, tego nie można ci odmówić.

Popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek, zupełnie tak samo, jak w dniu, w którym ujrzał ją po raz pierwszy. - Nie nakarmisz żony i ludzi, którzy dopilnowali, aby wróciła bez szwanku do twego domu?

- A zatem wróciłaś do domu - zadrwił bezlitośnie. - Jak powiadasz, na dobre. Wybacz, ale trudno dać temu wiarę.

- Ponoć Szkoci słyną z gościnności. Niegdyś nieustannie mi to powtarzałeś.

- Nie waż się mnie pouczać. Zwłaszcza na temat szkockich obyczajów. Chcesz jeść, odpowiedz najpierw na pytanie. Po co

przyjechałaś?

Uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

- Och, Arranie. To przecież oczywiste. Jestem tu, bo się za tobą stęskniłam. Bo wreszcie wrócił mi rozum. Chcę, żebyśmy spróbowali zacząć wspólne życie od nowa. Niby z jakiego innego powodu miałabym przemierzyć taki szmat drogi?

Popatrzył na nią sceptycznie i pokręcił głową.

- Z jakiego innego powodu? - powtórzył szyderczo. - Nie wiem, ty mi powiedz. Nie, czekaj, niech zgadnę. Mam pewne podejrzenia. Ojciec przegnał cię z domu? Postradałaś zmysły? A może zwyczajnie coś knujesz? Hm? Chcesz poderżnąć mi w śnie gardło? Możliwości jest wiele.

- Poderżnąć ci gardło? - powtórzyła zgorszona. - Zamordować cię? Skądże znowu. Zbyt wiele krwi, jak na mój gust. Zmieniałam zdanie, to wszystko. Nie pojmuję, dlaczego sądzisz, że to niemożliwe. Nie jesteś przecież aż taki odpychający. Przeciwnie, bywasz nawet... uroczy... Na swój sposób.

Krew zawrzała mu w żyłach. Ta jędrza drwi sobie z niego w najlepsze.

- Jeśli mam być całkiem szczerą, wróciłabym już dawno, gdybyś choć raz, choć jeden jedyny raz, dał mi znać, że tego chcesz, że pragniesz mnie z powrotem.

Roześmiał się z niedowierzaniem, mimo że wcale nie było mu do śmiechu.

- Całkiem ci rozum odjęło, kobieto? Przez trzy lata nie dawałaś znaku życia. Trzy lata! Nie odezwałaś się do mnie ani słowem.

- Ty też do mnie nie pisałaś.

Tego już było za wiele. Miarka się przebrała. Oburzenie walczyło w nim o lepsze ze ślepią furiją. Miał ochotę mocno nią potrząsnąć. Nie wiedział, jaką prowadzi grę, ale nie zamierzał być w niej bezwolnym pionkiem ani tym bardziej pozwolić jej wygrać. Objął ją bezceremonialnie i przycisnął sobie do piersi.

- A zatem nie powiesz mi prawdy? - zapytał, głaszcząc ją po policzku.

- Wciąż mi nie wierzysz? - odpowiedziała słodko.

Jej oczy kłamały. Wystarczyło w nie spojrzeć, żeby dostrzec

fałsz.

- Nie, nie wierzę w ani jedno twoje słowo - stwierdził dobitnie.

Uśmiechnęła się i zadarła podbródek. Nagle pojął, że już się go nie boi. Kiedyś czuła przed nim niejaki respekt. Teraz najwyraźniej nic z niego nie zostało.

- Nie wiedzieć czemu, jesteś przesadnie nieufny. Zawsze byłam z tobą szczerą, prawda? Przypomnij sobie. Niby dlaczego miałabym raptem zacząć łąć? Jestem twoją żoną, MacKenzie. Nigdy nie przestałam nią być. Nawet jeśli mnie przy tobie nie było. Skoro nie chcesz mi uwierzyć, cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak cię przekonać.

Popatrzył na jej piękną twarz, zgrabny nosek, wielkie zielone oczy i ciemne brwi. Trudno było oprzeć się jej urodzie.

- Zdołałaś mnie zaskoczyć, nie przeczę - przyznał szczerze, zatrzymując wzrok na ponętym dekolcie. - Przypuszczam, że właśnie to chciałaś osiągnąć. Ale wiedz, droga „żono”, że nie jestem głupcem. Nie omamisz mnie swoimi sztuczkami. Kiedy cię ostatni raz widziałem, uciekałaś ode mnie na drugi koniec świata. - Nieprzypadkowym gestem położył jej rękę na lewej piersi. - Miałbym uwierzyć, że raptem znalazłaś dla mnie miejsce w swoim nieczułym sercu? Daruj, ale zostało mi odrobinę oleju w głowie.

Nadal się uśmiechała, jakby jego słowa nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia. Zdradził ją jednak rumieniec na policzkach.

- Dowiodę, że jesteś w błędzie. Zrobię to z rozkoszą, ale najpierw mnie nakarm. Przede mną niełatwe zadanie. Muszę nabrać sił.

- Nie poznaję cię. Co się stało z niewinnym kwiatuszkiem, który porzucił mnie trzy lata temu...?

- Rozwinął pączki i zamienił się w dojrzały kwiat. - Poklepała go po torsie. - Bądź tak dobry i daj Pepperowi i Worthingowi coś do jedzenia.

- Fergus! - krzyknął, nie odrywając wzroku od jej twarzy. - Posiłek dla gości. Żywo! - Ujawszy żonę za łokieć, pociągnął ją za sobą w stronę podestu. Nie wspomniała o tym, że ściska ją

za mocno, a jego niekoniecznie czysta ręka kala jej cenną suknię. Kiedyś by to zrobiła. Teraz milczała, jakby nie spodziewała się lepszego traktowania.

Arran doskonale słyszał szept i czuł na sobie zaciekawione spojrzenia pozostałych członków klanu. Ludzie wyciągali szyje, żeby przyjrzeć się lepiej długo niewidzianej lady MacKenzie i jej sługusom.

- Nie musiałaś zabierać ze sobą uzbrojonej po zęby obstawy - warknął, posadziwszy ją przy stole. - Wystraszyliście Sweeneya niemal na śmierć.

- Wybacz, ojciec nalegał. Obawiał się, że napotkam rabusiów. Drogi są niebezpieczne. - Spojrzała na niego z ukosa.

Zawsze uważał, że jest wyjątkowo piękna, ale z jakiegoś powodu po długiej rozłące wydawała mu się jeszcze piękniejsza niż zwykle. Tyle że teraz nie żywił do niej szczególnie ciepłych uczuć. Owszem, pragnął jej ciała, ale oprócz tego wzbudzała w nim wyłącznie niechęć i wzdąę. Kiedyś, dawno temu wystarczyło, że się uśmiechnęła, a przymykał oko na jej liczne wybryki. Na szczęście jej uroda nie ogłupiała go już tak jak dawniej. Widać się na nią uodpornił. Powinien odesłać ją do jej pokojów i trzymać pod kluczem o chlebie i wodzie. Za to, że go opuściła... Jeszcze nie było za późno. Wciąż mógł to zrobić.

- Twoi ludzie mogą usiąść na dole - odezwał się, wskazując pobliski stół.

Skinęła w stronę swoich angielskich trefnisiów, po czym zdjęła rękawiczki.

Miał ochotę jej powiedzieć, żeby nie zachowywała się jak królowa. Nie była panią na tym zamku. Nie po tym, co mu zrobiła. Zamiast tego zacisnęła zęby i usiadł obok niej. Postanowił zachować milczenie. Przynajmniej na razie.

- Widzę, że miałeś towarzystwo - przerwała ciszę, zerkając w stronę dziewczki, która siedziała mu wcześniej na kolanach.

- Cóż w tym dziwnego? To moi ludzie. Towarzyszą mi co wieczór.

- Zarówno mężczyźni, jak i kobiety?

Objął ją za nadgarstek i lekko go ścisnął.

- A czego się spodziewałaś? Że będę wiódł żywot mnicha? Że



z tęsknoty po tobie przyjmę śluby kapłańskie, a gdy wybije dzwon na nieszpory, będę dzień w dzień leżał krzyżem przed ołtarzem wzniesionym ku twojej czci?

Zabrała rękę i zwróciła ku niemu wzrok.

- Nie wątpię, że znalazłeś sobie inny obiekt uwielbienia, z którym co dzień kładłeś się do łóżka.

- A ty zapewne żyłaś w czystości jak cnotliwa księżniczka?

- Cóż - odparła beztrąsko - nie do końca cnotliwa, ale któż z nas jest bez grzechu? - Popatrzyła mu prosto w oczy. Na jej ustach błąkał się wymowny uśmiech, a na policzkach pojawił się lekki rumieniec.

Co to za nowe gierki? - pomyślał zniesmaczony. Flirtuje z nim? To zupełnie do niej niepodobne i z daleka pachnie podstępem. Kim jest ta kobieta? Nie poznawał jej. Niewinna dziewczyna, która go porzuciła, nie posiadałaby się z oburzenia, gdyby ktoś zasugerował, że nieodpowiednio się prowadzi. Nowa Margot rzucała na prawo i lewo znaczące spojrzenia, próbowała nim manipulować i definitywnie igrała z jego uczuciami. Sam jej uśmiech sprawiał, że prawdopodobnie każdemu pełnokrwistemu mężczyźnie miękły kolana.

Kiedy odwrócił się, żeby przywołać służącego z winem, zauważył, że co najmniej połowa zebranych nadal wlepia oczy w jego żonę.

- Starczy tego dobrego - burknął poirytowany. - Nie macie nic lepszego do roboty? - Skinął w stronę muzykanta. - Zagraj coś żwawego, Geordie.

Geordie natychmiast chwycił skrzypce.

- Skoro już zrobiłaś spektakularne wejście - odezwał się ponownie do Margot - oczekuję wyjaśnień. Chcę wiedzieć, po co przyjechałaś. Ktoś umarł? Papa Norwood roztrwonil cały majątek? A może uciekasz przed jej królewską mością?

Roześmiała się, jakby usłyszała coś zabawnego.

- Moja rodzina, Bogu dzięki, ma się dobrze. Podobnie jak fortuna ojca. A co do jej królewskiej mości, jestem przekonana, że nawet nie wie o moim istnieniu.

Rozparł się wygodnie na krześle i posłał jej sceptyczne spojrzenie.

- Nie wierzysz mi? Zapomniałam, jaki jesteś podejrzliwy. Wyznam, że zawsze to w tobie lubiłam.

Zignorował komplement, jak przypuszczał nieszczerzy.

- Usiłujesz mi wmówić, że nie mam powodu do podejrzeń? Jeśli ci umknęło, przypominam, że zjawiałaś się tu nagle po trzech latach. W dodatku nie raczyłaś uprzedzić mnie o swoim powrocie.

- Twierdzisz, że był lepszy sposób? - odparła bez namysłu. - Jeśli tak, zechciej mnie w tym względzie oświecić. Gdybym dała ci znać o swoich zamiarach, nie pozwoliłbyś mi przyjechać. Jestem tego więcej niż pewna, więc nie zaprzeczaj. Pomyślałam, że jeśli mnie zobaczysz... - Urwała i wzruszyła ramionami.

- To co? - zapytał, nie kryjąc drwiny. - Co się niby miało stać, kiedy cię zobaczę?

- To uzmysłowisz sobie, że ty też się za mną stęskniłeś. - Uśmiechnęła się z nadzieją w oczach.

Znowu ten uśmiech, który przyprawia go o żywsze bicie serca. Kiedy tak na niego patrzyła, wracały wspomnienia. Głównie te z małżeńskiej sypialni. Jeśli miał być ze sobą szczerzy, trudno mu było znieść jej widok. Był zbyt bolesny.

- Nie pojmuję, skąd ci to przyszło do głowy - oznajmił chłodno. - Wiedz, że za tobą nie tęskniłem. Nie tęskni się za kimś, kogo się szczerze nie cierpi, a ty wzbudzasz we mnie wyłącznie odrazę.

Zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

- A swoją drogą, *leannan*<sup>[2]</sup>, ciekaw jestem, kiedyż to raptem za mną zatęskniłaś. Czyżbym posyłał ci za mało pieniędzy?

- Przeciwnie, byleś wręcz nazbyt hojny.

- W rzeczy samej. Nieraz mi to wytykano.

- Chcesz wiedzieć, kiedy zaczęłam za tobą tęsknić? - Popadła w mało wiarygodną zadumę. - Trudno powiedzieć. Takie rzeczy nie dzieją się z dnia na dzień. Niektóre uczucia przychodzą stopniowo. Kiełkują, a potem rosną i dojrzewają...

- Jak przewlekła choroba, która latami toczy organizm - zakpił bez litości.

- Owszem, coś w tym rodzaju. Z początku miałam nadzieję, że zamiast przysyłać umyślnego, sam przyjedziesz do Norwood

Park, żeby sprawdzić, jak się miewam. Ale ty wolałeś, żeby robił to za ciebie ktoś inny.

- Drwisz sobie ze mnie? Wydawało ci się, że pognam za tobą do Anglii jak lis za kurą?

- Nie, nie sądziłam, że przybiegniesz w te pędy po tym, kiedy cię zostawiłam, ale myślałam... sądziłam, że może zechcesz mnie odwiedzić. Chociaż raz.

- Nie przypominam sobie, żebym dostał zaproszenie, a nie mam zwyczaju zjawiać się nieproszony tam, gdzie mnie nie chcą.

- Oczekiwałeś zaproszenia?! Nie było ci potrzebne. Jesteś moim mężem, na litość boską! Mogłeś przyjechać w każdej chwili. Kiedyś przychodziłeś do mnie, kiedy tylko miałeś na to ochotę. - Zerknęła na niego wymownie. - Już nie pamiętasz? Naprawdę za mną nie tęskniłeś, Arranie? Ani trochę?

- Jeśli tęskniłem, to wyłącznie za twoim ciałem. W końcu upłynęło sporo czasu.

Zarumieniła się, ale wytrzymała jego spojrzenie.

- Rzeczywiście aż tak dużo?

Cała wieczność, pomyślał, spoglądając na jej usta.

- Jak na mój gust, bardzo dużo. - Wyprostował się na krześle i pochylił w jej stronę. - Trzy lata, trzy miesiące i kilka dni.

Nagle przestała się uśmiechać. Zamrugowała gwałtownie i popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Tak, *leannan*, wiem dokładnie, kiedy uwolniłaś mnie od swego ciężaru. Dziwi cię to?

Jej oczy odrobinę przygasły.

- Owszem, dziwi - przyznała przyciszonym głosem. - Nie przypuszczałam, że będziesz pamiętał.

Uśmiechnął się drapieźnie i odgarnął jej włosy ze skroni.

- Wielka szkoda, że nie mam ochoty kontynuować naszej burzliwej znajomości.

W jej źrenicach znów zamigotała iskra emocji. Czyżby jego cios trafił w cel? Jeśli tak, trudno. Niewiele sobie z tego robił. Ona zraniła go znacznie boleśniej. Prawdopodobnie nigdy nie będą kwita.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Balhaire, 1706 rok*

Kiedy wreszcie dotarli do celu, Margot czuła się wycieńczona i sponiewierana. Po wielu dniach spędzonych w niewygodnym powozie była też posiniaczona i obolała. Na dobitkę widok miejsca, które miała odtąd nazywać domem, wprawiał ją w skrajne przygnębienie.

Balhaire było ponurym gmaszyskiem skąpanym w gęstej mgle. Otaczające je wzgórza spowijała podobna mlecznobiała zasłona. Zamek z dwiema wieżami i barbakanem wzniesiono co najmniej kilka wieków temu. Za murami rozciągała się niewielka wioska usiana chatami pokrytymi grubą strzechą. Z kominów unosił się dym, który zlewał się z posępną, granatowoczarną barwą nieba. W oddali słychać było szczekanie psów i wrzaski dzieci. Stangret zaklął nieprzystojnie, gdy stanęła mu na drodze jakaś zbłąkana krowa.

MacKenzie jechał wierzchem na czele pochodu. Rozmawiał z kimś we własnym języku, zapewne gaelickim. Świeżo poślubiona lady MacKenzie była przerażona. Do tej pory nie mogła uwierzyć w to, co ją spotkało. Jeszcze nie zdążyła otrząsnąć się z szoku. Sądziła, że czeka ją sielska przyszłość u boku wytwornego angielskiego dżentelmena. Nigdy nie przypuszczała, że zostanie zmuszona do małżeństwa wbrew własnej woli. Jakże była naiwna. Ojciec zmusił ją do ślubu niemal przemocą. Buntowała się i błagała, by zmienił zdanie, ale on z uporem obstawał przy swoim. Twierdził, że to jej powinność wobec rodziny i kraju, że związek z MacKenziem zabezpieczy majątek Armstrongów na wiele pokoleń.

Cóż było robić? Miała zaledwie siedemnaście lat. Była kompletnie bezradna. Nie wiedziała, jak wyrwać się spod władzy ojca ani do kogo zwrócić się o pomoc.

Na dwa tygodnie przed jej osiemnastymi urodzinami MacKenzie odziedziczył tytuł barona. Kiedy przyjechał z oficjalną wizytą, nawet nań nie spojrzała. Zauważyła jednak, że tym razem prezentował się znacznie lepiej niż poprzednio: włożył przynajmniej przyzwoite odzienie i zgolił tę paskudną brodę. Tak czy inaczej, podczas kolacji robiła, co w jej mocy, aby go do siebie zniechęcić. Odpowiadała na jego pytania półsłówkami i sprawiała wrażenie osoby kompletnie pozbawionej wyrazu. Łudziła się, że jeśli uzna ją za nudną i bezbarwną, nie będzie chciał jej poślubić. Nadzieje okazały się płonne.

Kilkanaście dni później została jego żoną. Ceremonia odbyła się w kaplicy w Norwood Park w obecności jej ojca i braci. Świadkiem MacKenziego był jakiś wielkolud, którego nigdy przedtem nie widziała na oczy. W noc poślubną mąż przyszedł do jej sypialni, żeby „dopełnić formalności”. Zrobił to szybko, jakby chodziło o nieprzyjemne zadanie, od którego nie sposób się wykręcić. Obcowanie z nią najprawdopodobniej nie sprawiło mu żadnej przyjemności. Musiał skonstruować małżeństwo, żeby nie można go było później anulować, zatem dokonał dzieła, a potem sobie poszedł.

Nazajutrz wyruszyli w drogę. Pierwszego dnia Margot płakała, dopóki starczyło jej łez. Później ogarnęło ją kompletne odrętwienie, a po nim przyszedł lęk.

MacKenzie wielekroć zaglądał do powozu i pytał, jak ulżyć jej w cierpieniu. Wmawiała mu, że nic jej nie dolega, i odwracała głowę, żeby na niego nie patrzeć.

Kiedy przejeżdżali przez wioskę, ciekawscy wylegli przed domy, żeby jej się przyjrzeć. Nie poprawiło jej to nastroju.

Z bliska zamek Balhaire wyglądał jeszcze bardziej złowieszczo i okazale. Musiała zadrzeć głowę, żeby obejrzeć w całości baszty.

- Chodź - powiedział MacKenzie, pomagając jej wysiąść z powozu.

Zapewne wyglądała jak siedem nieszczęść. Bez lustra i pokojówki nie mogła nawet poprawić fryzury. Jej osobista służąca, Nell Grady, jechała na końcu procesji razem z bagażami.

Nogi niemal odmówiły jej posłuszeństwa, ale zebrała się w so-

bie i pozwoliła poprowadzić się ku bramie.

- Witaj w Balhaire - odezwał się Arran, gdy maszerowali przez dziedziniec.

Nie odpowiedziała. Była tak oszołomiona chaosem panującym za murami, że z wrażenia zaniemówiła. Na dziedzińcu roiło się od ludzi i zwierząt. Kury biegały jak opętane, próbując uchronić się przed końskimi kopytami, jeźdźcy zsiadali z wierzchowców, a psy szczekały wniebogłosy albo obwąchiwały im buty.

Wkrótce otworzyły się drzwi i stanęła w nich jakaś wysoka i smukła kobieta. Miała długie rude włosy zaplecione w war-kocz.

Powiedziała coś po gaelicku do MacKenziego, kompletnie ignorując Margot. Dopiero gdy odpowiedział, zaszczyliła jego towarzyszkę pogardliwym spojrzeniem.

Arran westchnął i zwrócił się do żony:

- Moja kuzynka, Griselda MacKenzie.

- Miło mi panią poznać. - Margot uśmiechnęła się i dygnęła. - Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami - dodała po namyśle. Zdaje się, że niepotrzebnie. Jej wysiłki przyniosły skutek zgoła odmienny od zamierzonego. Panna MacKenzie burknęła coś pod nosem, zacisnęła usta, po czym odwróciła się na pięcie i tyle ją widzieli.

- Nie zrozumiała mnie? Nie mówi po angielsku?

- Mówi i to całkiem nieźle.

Gorzej już chyba być nie może, pomyślała Margot. Myliła się. Zrozumiała to w chwili, gdy mąż wprowadził ją do środka. Wnętrze zamku było ponure i ciemne, mimo że na ścianach wisiało mnóstwo świeczników. W powietrzu unosiła się nieprzyjemna woń stęchlizny, jakby nigdy nie otwierano okien. I te mrożące krew w żyłach odgłosy przypominające jęki konającego w męczarniach... Dopiero po chwili zorientowała się, że to hulający w kominach wiatr.

Po nieskończeniu długim marszu przez ciemne korytarze znaleźli się w gwarnym westybulu. Dookoła kręcili się ludzie. Nie nosili satyny i jedwabiów jak mężczyźni w Londynie, lecz zwykłą wełnę. Ani jeden nie miał na głowie peruki. Co gorsza, po całym pomieszczeniu szwendały się psy. Całe mnóstwo psów.

I nie były to bynajmniej pieski pokojowe, które mieściły się na kolanach, lecz ogromne psiska, prawdopodobnie myśliwskie. Kilka z nich podeszło bliżej, żeby ją obwąchać. Na szczęście Arran pociągnął ją w stronę podestu, na którym stał długi drewniany stół.

- Jesteś głodna? - zapytał, gdy przycupnęła na krawędzi obskurnego siedziska.

- Owszem, odrobinę.

Przywołał służącego, który niemal natychmiast postawił przed nimi wypełnione po brzegi kufle.

- Nie podadzą nam wina? - zapytała zdziwiona.

- Nie - odrzekł ze stoickim spokojem MacKenzie. - Dziś napijemy się piwa.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, kiedy opróżnił swój kufel niemal do połowy, jakby biesiadował w karczmie z mężczyznami, a nie siedział przy stole z żoną. Pożałowania godny brak manier. Otworzyła usta, żeby dać wyraz swemu oburzeniu, ale nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, podeszła do nich kobieta w średnim wieku. Miała siwiejące włosy i kraciasty szal.

- Nowa lady MacKenzie, prawda? - odezwała się, po czym wyciągnęła spod pledu małego kurczaczka. - *Fàilte*<sup>[3]</sup>! - dodała z uśmiechem.

Margot nie była pewna, czy dziwaczka chce jej dać pisklaka, czy może najzwyczajniej w świecie jest pomyłona. Na wszelki wypadek odsunęła się na bezpieczną odległość.

Kiedy Arran powiedział coś po gaelicku i uniósł dłoń, nieznamoma zmarszczyła brwi, po czym zakryła pisklę i odeszła. Zaraz po niej przy podeście pojawiła się jakaś para. Na szczęście MacKenzie w porę uniósł dłoń i dał im znak, żeby zostawili ich w spokoju.

- Co to za ludzie? - zapytała poirytowanym głosem Margot.

- Członkowie mojego klanu - odparł zwięźle.

Służący, który wcześniej przyniósł piwo, postawił przed nimi dwie dymiące miski i położył na blacie łyżki. Gołymi rękoma. Lokaj usługujący do stołu bez rękawiczek? - pomyślała ze zgrozą. Co to za porządki?

- Powinienem był powiedzieć „naszego klanu” - dodał po



chwili jej mąż.

- Nie bardzo rozumiem...

- Mówię tylko, że teraz to także i twój klan, lady MacKenzie, a ci ludzie są jego częścią. - Popatrzył na nią, po czym zabrał się do jedzenia.

Naturalnie miał rację, tyle że nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy. Nie pomyślała, że zostając żoną, stanie się członkiem nowej rodziny. Rozejrzawszy się dookoła, stwierdziła, że większość zebranych co chwila posyła w jej stronę zaciekawione spojrzenia.

- Nie masz ochoty na zupę? - zainteresował się Arran.

Na zupę? - powtórzyła w myślach. Nie mam ochoty przebywać w tym okropnym miejscu! Z ludźmi, których nie znam! Wszyscy tu wyglądają jak niechlujni odmieńcy!

- Jednak nie jestem głodna - oznajmiła, splatając ręce na kolanach. - Chciałabym za to zażyć kąpeli.

- Kąpeli... - powtórzył, przeciągając sylaby. Zupełnie jakby słyszał to słowo po raz pierwszy.

Chryste w Niebiosach, wiedzą tu chyba, co to kąpiel.

- Owszem, kąpeli - powiedziała dobitnie, unosząc zadziornie podbródek.

Wzruszył ramionami, po czym przywołał do siebie jakiegoś mężczyznę z przerzedzającymi się rudymi włosami. Rozmawiali przez chwilę na stronie. Potem MacKenzie wrócił do jedzenia zupy. Przełknąwszy w pośpiechu kilka łyżek, westchnął i podniósł się od stołu.

- Chodźmy - zwrócił się do żony i wyciągnął do niej rękę. - Zaprowadzę cię do naszych komnat. Kąpiel pewnie już czeka.

- Do naszych komnat?

- Tak, do naszych komnat. A gdzieżby indziej?

Poczuła, że robi jej się słabo.

- Nie masz dla mnie prywatnych pokojów? - spytała z niedowierzaniem.

Był tak zbity z tropu, że na moment zaniemówił.

Miałaby dzielić z nim pokój? Niedoczekanie. Nigdy na to nie przystanie. To nie do pomyslenia! Oczywisty brak manier i poczucia przyzwoitości.

Przełknęła ślinę i zacisnęła dłonie w pięści.

- Duże posiadłości - zaczęła najspokojniej, jak umiała - takie jak Balhaire, mają oddzielne pokoje dla pana i pani domu. - Może jeśli wyjaśni mi, jak wypada postępować zgodnie z obyczajem, jej nieokrzesany małżonek zacznie zachowywać się odpowiednio.

Sądząc po jego minie, nie zamierzał okazać zrozumienia.

- Jeżeli nadal pragniesz zażyć kąpieli, radzę ci iść ze mną, moja pani. Jutro porozmawiamy o osobnych komnatach i innych potrzebach damy i pani domu. Dziś jestem zbyt zdrożony, aby rozprawiać o takich rzeczach.

Cóż było robić. Podreptała za nim, odwracając wzrok za każdym razem, kiedy zatrzymywał się, żeby zamienić słowo z członkami klanu. Nie miała pojęcia, co mogłaby im powiedzieć, zwłaszcza że nie została nikomu oficjalnie przedstawiona.

W końcu wyszli do przedsionka i ruszyli schodami w górę. Nim znaleźli się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami, przeszli przez jeszcze jeden słabo oświetlony korytarz.

Arran zdjął skobel i wpuścił ją do środka.

Tak jak przypuszczała, pokój był typowo męski: utrzymany w ciemnych kolorach i bez ozdób. W oknach wisiały grube wełniane zasłony. Przy ścianie stała ogromna komoda, o którą oparto kołczan. Przy kominku czekały wanna pełna gorącej wody, ręcznik oraz mydło.

- Kąpiel, wedle życzenia - odezwał się MacKenzie. - Zostawię cię samą.

Kiedy wyszedł, przez chwilę stała jak wrośnięta w podłogę. Nie zaproponował nawet, żeby skorzystała z pomocy pokojówki. Cóż, będzie musiała poradzić sobie sama. Nie bez trudu pozbyła się odzienia i zanurzyła w ciepłutkiej wodzie. Potem przymknęła powieki i wyobraziła sobie, że jest z powrotem w domu, w Norwood Park, leży w porządnej wannie w pokoju kąpielowym otulona wonią perfumowanego mydła i zapachowych świec. Po kąpieli włożyła koszulę nocną.

Nie miała pojęcia, kiedy wrócił Arran, ale musiało być bardzo późno. Ogień w palenisku prawie dogasał. Słyszała, jak krząta

się po pokoju, zdejmując pas z bronią i ubranie. Niebawem poczuła go obok siebie na posłaniu. Skrzywiła się, gdy przesunął rękę po jej brzuchu.

- Nie obawiaj się, *leannan* - szepnął jej do ucha. - Spróbuj się odprężyć.

Nie знаła słowa *leannan*, ale zrobiła, co w jej mocy, żeby rozluźnić napięte mięśnie. Podciągnął jej koszulę i niespiesznie powędrował dłonią wzdłuż uda. Jego dotyk był delikatny jak muśnięcie piórka. Zadrżała. Tym razem nie z zimna, lecz z podniecenia.

Arran przysunął się bliżej i położył sobie jej rękę na ramieniu.

- Zaufaj mi, *leannan*. Nie zrobię ci krzywdy. Chcę ci sprawić przyjemność.

Przeszył ją kolejny dreszcz, kiedy zaczął całować jej kark, policzek i usta. Zebrała się na odwagę i położyła mu ręce na torsie. Potem przesunęła nimi z wolna w dół pleców. Mruknął niewyraźnie, gdy jej palce sięgnęły do bioder. Speszona natychmiast zabrała dłonie.

Chwycił ją za nadgarstki i pociągnął je z powrotem na miejsce.

- Dobrze, dotykaj mnie.

Pocałował ją w usta. Słodko i delikatnie. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu.

Był czuły i troskliwy. Cały czas do niej mówił. Pytał, czy jej dobrze i czy nie zadaje jej bólu. I było jej dobrze. Tak dobrze, że odpowiadała monosylabami. Skupiona na tym, co robił, nie potrafiła zebrać myśli. Jego dłonie i usta czyniły cuda, sprawiały, że oddawała się bez reszty fali rozkoszy.

On także wkrótce do niej dołączył. Potem opadł obok niej na materac. Leżał na brzuchu. Nie widziała jego twarzy, bo odwrócił ją w drugą stronę. Niebawem uspokoił mu się oddech. Zasnął? Czy to znaczy, że ona też może już spokojnie spać? Podciągnęła pierzynę i popatrzyła na baldachim. Rozmyślała o tym, jak czule się z nią obchodził, gdy raptem coś wielkiego wskoczyło na łóżko i przygniotło jej nogi. Wystraszona poderwała się gwałtownie i spojrzała wprost w oczy ogromnego psiska, które wyraźnie zadowolone z siebie merdało radośnie ogonem.

- Poszedł precz, ale już! - wrzasnęła, na próżno próbując zepchnąć bydlę na podłogę.

- Nie bój się, nie pogryzie cię - mruknął, ziewając MacKenzie.

- Jest łagodny jak baranek.

- Nie dbam o to! Zastanawiam się za to, co robi w łóżku.

Wzruszył ramionami.

- Polubił cię - oznajmił z rozbrajającym uśmiechem. - Widać wpadłaś mu w oko. - Podłożył sobie poduszkę pod głowę i zamknął oczy.

Tymczasem pies ani myślał znaleźć sobie innego miejsca do spania. Zakręcił się dwakroć dookoła samego siebie, po czym ułożył się na dobre w nogach łóżka.

Miała odtąd dzielić łożę z psem? Boże drogi, na co jej przyszło? W jednej chwili zapomniała o czułościach męża. Wszystko poszło w niepamięć w obliczu marnego losu, jaki zgotował jej własny ojciec. Zapadając w sen, przeklinała go pod niebiosa. Jego, MacKenziego i wszystkich Szkotów razem wziętych.

## ROZDZIAŁ TRZECI

*Balhair, 1710 rok*

Nie odrywał od niej wzroku, kiedy jadła. Albo nie może się doczekać, aż wreszcie będzie mógł ją zabrać do łóżka, albo dosypał jej do jedzenia trucizny i odlicza sekundy do chwili, gdy ta zacznie działać. Jedno z dwojga.

Ona w każdym razie nie mogła się doczekać tego pierwszego. Odliczała minuty do momentu, gdy mąż zażąda, aby znów zaczęła wypełniać obowiązki żony. Na myśl o tym, że niebawem znajdą się sami w ogromnym małżeńskim łóżu, odczuwała mieszaninę lęku i podniecenia. Przez kilka miesięcy, które spędzili razem tuż po ślubie, Arran wprowadził ją w świat cielesnych rozkoszy. Pokazał jej, że można czerpać z nich przyjemność, i nauczył ją mnóstwa nowych rzeczy.

Lubiła z nim być. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo to lubi, dopóki nie odeszła i musiała obyć się bez męża, a co za tym idzie, bez obcowania z mężczyzną.

W zaciszu sypialni nigdy nie było między nimi niezgody. Szko puł w tym, że poza nią zupełnie nie potrafili się porozumieć. Prawdopodobnie dlatego, że tak bardzo się od siebie różnili.

Szybko odkryła, że MacKenzie jest człowiekiem o wielu zamiłowaniach, że żyje pełnią życia i nie uznaje półśrodków. Brał wszystko albo nic. Był mocny jak skała, nieustraszony, porywczy i namiętny. Podziwiała go za to, ale czasem odrobinę ją przytłaczał. Męczyło ją to, że przeżywa wszystko tak intensywnie, zwłaszcza że sama była na co dzień dość powściągliwa. On za to nigdy nie odmawiał sobie tego, za czym przepadał. Uwielbiał polowania i wyprawy w morze. Spędzał mnóstwo czasu, szkoląc swoich ludzi na nieugiętych wojowników. Poza tym nie wylewał za kołnierz i nie stronił od hazardu. Nikt przed nim ani po nim nie patrzył na nią tak przenikliwie i przejmująco, jak on.

Ani z takim gniewem, jak w dniu, w którym postanowiła go opuścić.

Wyjechała bez słowa, nie oglądając się za siebie. Prawdopodobnie przekreśliła tym samym ich małżeństwo. Od jej ucieczki upłynęło mnóstwo czasu. Długie lata rozłąki. Czy uda im się o tym zapomnieć i zacząć od nowa? Czy Arran kiedykolwiek jej wybaczy? I zaufa? Czy zaryzykuje i da im kolejną szansę? Nie wiedziała, czy się zmienił ani czego pragnie. Nie była nawet pewna, czego sama chce. Tak czy inaczej, nie miała ochoty pozostać wyłącznie pionkiem w cudzej, niebezpiecznej grze.

Posłała mu ukradkowe spojrzenie. Siedział w niedbalej pozie na krześle, w jednej ręce ściskając kufel, drugą opierając o poręcz. Wpatrywał się w nią świdrującym wzrokiem, który przypominał ją o dreszcz niepokoju. Przypominał jej drapieżnego sępa, który zasadził się na ofiarę i wyczekuje odpowiedniego momentu, by zaatakować z nienacka. Nie próbował ukryć pogardy. Wyraźnie czuła jego niechęć.

Usiłowała wmusić w siebie odrobinę gulaszu, ale choć dokuczał jej głód, ze zdenerwowania nie była w stanie niczego przełknąć. Nie potrafiła przewidzieć, co ją czeka, wiedziała jednak, że musi się bardzo postarać, musi być przekonująca, jak nigdy w życiu. Tłumaczyła ojcu, że jego plan spełznie na niczym, że MacKenzie nigdy nie uwierzy, że raptem za nim zatęskniła i pragnie ratować ich związek. Bo i czemu niby miałby jej uwierzyć? Nie odezwała się do niego przez trzy lata. Poza tym nie wiedzieć czemu, Arran zawsze potrafił przejrzeć ją na wylot.

Był wpływowym przywódcą klanu, który zgromadził potężny majątek. Nie brakowało mu sprytu i odwagi. Nie miał też zwyczaju rozpowiadać na prawo i lewo o swoich interesach. Nawet gdyby jakimś cudem jej wybaczył, i tak nie dopuściłby jej do wszystkich swoich spraw. Kobiety nie mają prawa głosu. Ich zdanie nikogo nie obchodzi. Są potrzebne mężczyznom wyłącznie do rodzenia dzieci, w najlepszym razie dla przyjemności.

- Guzdrzesz się, moja pani - przerwał ciszę Arran, podnosząc się z krzesła. - Pora kończyć. Mamy sporo do omówienia.

Wsunęła sobie łyżkę do ust i uniosła głowę, żeby mu się przyrzec. Był wielki jak dąb, miał ponad metr osiemdziesiąt wzro-

stu. Zawsze czuła się przy nimi malutka. Nic się nie zmienił. Nadal był smukły i twardy jak skała, a jego bystre jasnoniebieskie oczy spoglądały na świat równie przenikliwie jak dawniej. Może nawet bardziej.

- Pospiesz się - powiedział, po czym podszedł do jej towarzyszy. Zamieniwszy z nimi kilka słów, przywołał ludzi, którzy wyprowadzili ich z westybulu.

Margot na moment popadła w popłoch. Potem przypomniała sobie wcześniejszą rozmowę z Worthingiem. Uprzedzał ją, że MacKenzie nie pozwoli im zostać w Balhaire.

- Twój mąż nie będzie chciał gościć pod swoim dachem Anglików, pani - stwierdził, gdy zbliżali się do celu podróży. - W każdym razie nie na długo. Nie zdziw się więc, jeśli rychło po przyjeździe każe nam wracać tam, skąd przybyliśmy. - Worthing był wiernym zauszniakiem ojca. To właśnie on przywiózł z Londynu pogłoski o rzekomym udziale Arrana w spisku. - W żadnym razie nie próbuj się za nami wstawiać - dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Od razu zacznij coś podejrzywać. Pamiętaj, że masz grać rolę skruszonej żony.

Skruszonej żony, pomyślała z goryczą. Naturalnie. Traktowali ją jak krnąbrne dziecko, które nieustannie sprzeciwia się mądrzejszym od siebie, czyli mężczyznom. Tym, rzecz jasna, wolno wszystko. Są przecież panami stworzenia. Z kobietami mogą robić, co im się żywnie podoba. Czy którykolwiek z nich zastanowił się, w jakim stawiają ją położeniu? Gdybyż tylko wiedziała, jak powinna postępować skruszona żona... Byłoby jej o wiele łatwiej.

Jej wzrok powędrował bezwiednie do Arrana. Jego długie ciemne włosy opadały na kark, związane w luźną kitkę. Spodnie, koszula i kamizelka domagały się prania, a znoszone buty nosiły wyraźne ślady błota. Bóg jeden wie, gdzie był i co robił przez cały dzień. Nagle przypomniała sobie jego ciało splecione z własnym ciałem, niemal poczuła na sobie jego ciężar, ręce i usta.

Nawet jeśli nie tęskniła za nim samym - choć teraz, kiedy znów się spotkali, nie była już tego taka pewna - to z pewnością tęskniła za jego dotykiem. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak



puste będzie bez niego jej życie. Przy nim miała poczucie, że ktoś się z nią liczy, że ktoś o nią dba. Brakowało jej jego czułości.

Ale tym razem będzie inaczej. Nie było sensu się oszukiwać, oczekiwać czułości od męża, którego zraniła w najgorszy możliwy sposób, w jaki kobieta może zranić mężczyznę. Porzuciła go i przez trzy lata ani razu nie zainteresowała się jego losem, co nie przeszkadzało jej w tym, żeby żyć dostatnio na jego koszt. Nie patrzył już na nią tak jak kiedyś. W jego oczach nie było ani cienia życzliwości. Widziała w nich jedynie chłód i wzgardę.

Niewykluczone, że szczerze jej nienawdził, ona za to czuła do niego niezrozumiały pociąg. W wybrudzonym odzieniu wydawał jej się odrobinę odpychający, a mimo to coś pchało ją ku niemu z ogromną siłą. Nie miała pewności, czy zdoła nad sobą zapanować. Kiedy był w pobliżu, traciła grunt pod nogami.

Podenerwowana poderwała się raptownie od stołu. Miała nadzieję, że zdoła uciec i schować się w zaciszu prywatnych pokoi. Zakładała że wciąż ma tu własne lokum.

Nim zdążyła zejść z podestu, jak spod ziemi wyrósł przy niej Jock. Kiedyś sądziła, że nikt nie może być wyższy i bardziej onieśmielający niż jej mąż. Zmieniła zdanie, kiedy poznała jednego z jego kuzynów. Przetykane siwizną jasnorude włosy Jocka przypominały jej gęste szkockie mgły.

- Lady MacKenzie.

- Jock! - zawołała z nienaturalną wylewnością. - Jakże miło mi cię znów widzieć. Mam nadzieję, że dobrze ci się wiedzie.

Zmarszczył brwi i popatrzył na nią z góry. Nie dał się zwieść jej wystudiowaną uprzejmością. Nic dziwnego, nigdy wcześniej nie zadała sobie trudu, żeby zamienić z nim więcej niż dwa słowa.

- Czego sobie życzysz, pani? Jestem do usług.

Owszem, miała kilka życzeń, ale nawet gdyby chciał, nie mógłby ich spełnić. Zanim otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, uniósł dłoń i skinął ukradkowo w bok, jakby dawał komuś znaki. Istotnie, niemal w tej samej sekundzie jakiś młokos, który czałował nieopodal, popędził w stronę Arrana. Ani chybi po to, żeby mu donieść, że próbowała uciec.

Westchnęła i zerknęła oskarżycielsko na Jocka.

- To nie było potrzebne.

Jego znaczące milczenie oznaczało, że nie podziela jej zdania. Zawsze był godnym przeciwnikiem. I nigdy nie wierzył w jej małżeństwo. Od samego początku sądził, że to chybiony pomysł.

- Nigdzie się nie wybieram - dodała gwoli wyjaśnienia. - Chciałam tylko rozprostować nogi. Mam za sobą długą podróż.

Nadal nic. Tkwił przed nią bez słowa, jak słup soli. Co nie było dlań niczym nowym. Stosował tę strategię na co dzień. Z wielkim powodzeniem.

- Muszę udać się za potrzebą - spróbowała z innej beczki. Postanowiła użyć własnej niezawodnej strategii. Na wzmiankę o potrzebach ciała mężczyźni zazwyczaj brali nogi za pas. Wszyscy, ale nie wielki jak dąb, niewzruszony doradca jej męża. Ten nie mrugnął nawet okiem.

- Może mógłbyś mnie odprowadzić do moich dawnych pokoiów?

- Twoje pokoje nie są gotowe, pani. Nie spodziewaliśmy się twego powrotu.

Naturalnie. Jakżeby inaczej, pomyślała kwaśno.

- Jestem pewna, że moja pokojówka już o to zadbała. Miała mnóstwo czasu, żeby je oporządzić. - Z tymi słowami wyminęła go i zbiegła z podestu.

- Lady MacKenzie! - zawołał za nią.

- Dziękuję, trafię sama! Znam drogę! - Popędziła przez westybul w kierunku wyjścia. Miała nadzieję, że jej nie dogoni. Wystarczyło, że dotrze do holu. Wiedziała dokładnie, dokąd zmierza. W ciągu czterech miesięcy małżeństwa poznała Balhaire od podszewki. Za dnia jej męża nigdy nie było w domu. Żeby zająć czymś samotne godziny, przechadzała się więc po zamku. Zbadała tu każdy zakamarek. Ale kiedy dopadła drzwi, raptem pojawił się obok niej Arran i chwycił ją mocno za ramię. Serce podeszło jej do gardła.

- Wystraszyłeś mnie na śmierć - szepnęła bez tchu, kładąc sobie rękę na piersi.

Staął przed nią z szeroko rozstawionymi nogami i uniósł

brwi.

- Nie zamierzałaś chyba znów uciec od męża, prawda, *mo gradh*<sup>[4]</sup>? - zapytał tonem, który nie wróżył niczego dobrego. - Jeszcze przed chwilą wmawiałaś mi, że chcesz, żebyśmy spróbowali jeszcze raz. Ponoć okrutnie się za mną stęskniłaś i pragniesz ratować nasze, pożałuj Boże, małżeństwo. A może się przesłyszałem? - Uśmiechnął się z drwiną.

Niemal cały klan MacKenziech wpatrywał się w nich w oczekiwaniu spektakularnej awantury. Postanowiła nie dać im tej satysfakcji. Roześmiała się z udawaną beztroską, jakby zwyczajnie się droczyli, jak to zżyci ze sobą małżonkowie.

- Chciałam się tylko odświeżyć po podróży.

Popatrzył na nią wymownie.

- Skoro tak, każę przygotować kąpiel w swojej komnacie. Będzie jak za starych dobrych czasów. Co ty na to?

- To... - Mało subtelna próba manipulacji, westchnęła w duchu. - To... bardzo miłe - powtórzyła - Ale... - Przysunęła się i położyła mu rękę na ramieniu. Nie musiała długo czekać, aż na nią spojrzy. Niemal natychmiast poczuła jego wzrok najpierw na dłoni, która go dotykała, a potem na dekolcie. - Idzie o to, że muszę udać się... w ustronne miejsce.

- Ależ naturalnie, skoro musisz...

Uśmiechnęła się zalotnie. Ćwiczyła ten uśmiech do znudzenia podczas rozlicznych rautów i przyjęć, na których bywała w Londynie. A miała na kim ćwiczyć. Nigdy nie brakowało urzeczonych jej urodą półgłówek, gotowych przybiec na każde jej skinięcie.

- Dziękuję za zrozumienie. - Poklepała go po rękawie, po czym cofnęła dłoń i dygnęła. - Nie zabawię długo - zapewniła na wszelki wypadek, choć miała zamiar zamknąć się w swoich pokojach na klucz i nie wychodzić aż do rana.

Próbowała obejść go dookoła, ale znów złapał ją za łokieć.

- Nie tak prędko, moja pani. Być może zapomniałaś, ale mamy tu toalety. Zapewne nie takie, do jakich przywykłaś w Norwood Park, ale jednak. Jedna z nich przylega do mojej komnaty.

Oczywiście, że nie zapomniała. Usiłowała uwolnić ramię, ale

trzymał ją zbyt mocno.

- Nie chcę sprawiać ci kłopotu.

- Doprawdy? Przypomniałaś sobie o tym trochę poniewczasie.

Zadrżała na widok jego nieprzyjaznej miny. Sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę pokroić ją żywcem na kawałki i podać swoim ludziom na jutrzejszą kolację.

- Rzekomo za mną tęskniłaś - wycedził, ścisnąwszy ją boleśnie za ramię. - Ucieczka to raczej nie najlepszy sposób, żeby mi to okazać.

Kiedyś skuliłaby się ze strachu, kiedy tak na nią patrzył, ale to było dawno. Zmieniła się. Nie była już tą samą nieopierzoną debutantką. Nauczyła się walczyć o swoje i obiecała sobie, że nie pozwoli się zastraszyć. Posłała mu kusicielski uśmiech.

- Ależ tęskniłam, uwierz mi. I wcale nie zamierzałam od ciebie uciekać. W każdym razie nie na długo. Mam za sobą wyczerpującą podróż. - Rozejrzała się dyskretnie. Ludzie nadal bezwstydnie się na nich gapili. Co więcej, nastawiali uszu, żeby usłyszeć choć strzępy ich rozmowy. - Wspięła się na palce i wyszeptała z ustami tuż przy jego uchu: - Możesz być pewien, że pragnę ci się przypodobać. Ale trudno mi będzie ci dogodzić, jeśli przedtem nie wypocznę.

Gniew walczył w nim o lepsze z żądzą. Widziała to wyraźnie w jego rozognionych oczach. Serce podeszło jej do gardła. Mógłby ją zabić i nikt nawet by nie zaprotestował. Boże drogi... Przeraziła się nie na żarty. Jej szczątki zamienią się w proch, nim wieści o jej przedwczesnej śmierci dotrą do Anglii.

Arran objął ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie.

- Nie doceniasz własnej krzepy, moja pani. - Tym razem to on szeptał jej do ucha. - Harda z ciebie sztuka. Jestem pewien, że dasz sobie radę.

Ścisnął ją ciaśniej i pociągnął za sobą w głąb korytarza.

- Nie ma powodu się pieklić - oznajmiła ugodowym tonem, niemal truchtając, żeby za nim nadążyć. - I dalibóg, nie musisz używać siły. Sądziłam, że moje dobro choć trochę leży ci na sercu, ale cóż... widać się myliłam. Zresztą nieważne. Skoro życzysz sobie mojego towarzystwa, nie odmówię. Wiedz, że poszłabym z tobą po dobroci, wystarczyło poprosić.

Przystanął gwałtownie i ją puścił.

- Daruj mi zatem ów niewybaczalny brak manier - powiedział, skłoniwszy się z przesadną galanterią. - Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Istotnie pragnę, abyś towarzyszyła mi do moich komnat. - Aksamitny ton, którym wypowiedział te słowa, kłócił się z jego nieubłaganym spojrzeniem. - Teraz - dodał z emfazą. Znów wyglądał jak drapieżnik, który czyha na bezbronną ofiarę.

Obejrzała się przez ramię. Tak jak przypuszczała, wciąż mieli publiczność. W Balhaire zawsze ktoś się im przyglądał. Czasem miała wrażenie, że nigdy nie są sami.

Pociągnęła nosem i splotła nerwowo ręce. Nie pozostawiał jej wyboru. Musiała z nim pójść. Bóg jeden wie, co zrobiłby z nią ojciec, gdyby już pierwszego dnia sprzeniewierzyła się woli męża, którego miała przecież ułagodzić.

Uśmiechnęła się więc i ruszyła naprzód.

Arran szedł tuż obok niej, władczo trzymając dłoń na jej plecach. Przypomniała sobie jego bardziej intymny dotyk i poczuła ucisk w żołądku.

- Grzeczna dziewczynka - mruknął z ustami tuż przy jej uchu. Jego głos rozbudzał jej zmysły. - Posłuszna i skwapliwa, jak przystało przykładnej żonie.

Z trudem zdusiła impuls, by szturchnąć go łokciem w żebro i wziąć nogi za pas.

Weszli po schodach na piętro, mijając ustawione przy ścianach prehistoryczne zbroje oraz kolekcję mieczy. Wreszcie dotarli do ciężkich dębowych drzwi, wystraszywszy przy tym dwóch młodych służących, zajętych rozwieszaniem świeczników.

- Dajcie światła do komnat pana! - krzyknął za ich plecami Jock. - A chyżo!

Margot nie miała pojęcia, że za nimi idzie.

Młodzieńcy natychmiast zniknęli wgłębi pokoju, tymczasem MacKenzie obejrzał się przez ramię i rzekł do kuzyna:

- Dopilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Mamy do omówienia kilka przykrych kwestii. Przed nami długa i nieprzyjemna rozmowa. - Z tymi słowy bezceremonialnie wepchnął żonę do

środku i wyprosiwszy służących, zamknął drzwi na klucz. Potem oparł się o framugę i obrzucił ją mało życzliwym spojrzeniem.

Co miał na myśli, mówiąc o „przykrych kwestiach” i „nieprzyjemnej rozmowie”? Nie przypuszczała, że mógłby być skłonny do przemocy, ale sama już nie wiedziała, czego się po nim spodziewać. Prawdopodobnie nie będzie musiał nic robić. Sama padnie trupem ze strachu, zanim zdąży podnieść na nią rękę. Serce tłukło jej się w piersi tak mocno, jakby miało za moment eksplodować.

- Pilno ci było pójść za potrzebą - zauważył z przekąsem. - Śmiało. Wiesz, gdzie znaleźć toaletę.

Przemaszerowała posłusznie przez pokój i zamknęła się w łazience. Kiedy wyszła, wciąż tkwił przy drzwiach, lecz na jej widok raptem jakby się ocknął i podszedł do kredensu. Napełniwszy dwie czarki winem, podał jej jedną z nich i wzniósł toast.

- Za nieoczekiwany powrót mojej wspaniałej żony! Żony, która porzuciła mnie ongiś bez słowa wyjaśnienia, nie pozostawiając mi najmniejszej nadziei ani żadnych złudzeń. Żony, która przez trzy lata nie dawała znaku życia, a teraz stoi przede mną, twierdząc, że się stęskniła. Pochwalony niech będzie dzisiejszy dzień i Bogu niech będą dzięki, że pozwolił mi doczekać tej chwili.

Patrzył na nią z mieszaniną złości, żalu i goryczy. Nigdy nie widziała u niego takiego wyrazu twarzy. Poczowała, że zaczyna trząść się ze zdenerwowania. Wiedziała, że musi być przekonująca. Bardziej niż kiedykolwiek.

- Ludzie się zmieniają - powiedziała przygaszonym głosem. - To nic nadzwyczajnego. - Wychyliła duszkiem wino w nadziei, że alkohol pomoże jej się uspokoić.

Arran nie wypił ani kropli. Trzymał w ręku kielich i bacznie jej się przyglądał. Zatrzymał wzrok na jej dekolcie, po czym przesunął go z wolna w dół. Po chwili nagle się opamiętał i zaciśnąwszy mocno szczękę, odwrócił się do niej plecami, jakby nie mógł znieść jej widoku.

- Jesteś równie piękna jak zwykle - powiedział ni stąd, ni zowąd i jednym haustem opróżnił kieliszek. - *bòidheach*<sup>[5]</sup>. Dokładnie taka, jaką cię zapamiętałem.

Tego się nie spodziewała. Oczekiwała wybuchu gniewu, złości i oburzenia. Być może lodowatej obojętności i, rzecz jasna, mnóstwa pytań. Ale z pewnością nie tego. Nie komplementów wychwalających jej urodę. Dlaczego to powiedział? Przecież nie spotkało go nic dobrego... Niemożliwe, żeby istotnie tak o niej myślał. Przysporzyła mu wyłącznie zgryzoty. Nie była na to przygotowana. Raptem zrobiło jej się odrobinę słabo.

- Ech, moja cudna żona. Bóg jeden wie, jak często gościła w moich myślach...

Zapłonęły jej policzki ze wstydu i poczucia winy. Mówi prawdę, czy zabawia się jej kosztem? Mściwie igra z jej uczuciami? Wolałaby, żeby na nią wrzeszczał, domagał się odpowiedzi...

- Nie wierzę, że marnowałeś czas na rozmyślanie o mnie - oznajmiła nonszalancko. - O żonie, która cię opuściła.

Prychnął, jakby usłyszał coś niedorzecznego.

- A niby dlaczego nie? Dlatego że sama nie zmarnowałaś ani chwili na to, żeby choć raz pomyśleć o mnie?

Mylił się. Myślała o nim niemal nieustannie. Co dzień próbowała dociec, co poszło nie tak i dlaczego ich małżeństwo zakończyło się fiaskiem.

- Przeciwnie, Arranie - wyznała szczerze, patrząc mu prosto w oczy. - Myślałam o tobie bardzo często.

Uniósł brew i uśmiechnął się niewesoło.

- Jeśli tak, to trzeba powiedzieć, że okazywałaś to w nader dziwny sposób - stwierdził nie bez drwiny. Obszedł ją niespiesznie dookoła. Przypatrywał jej się przy tym, jakby była niebezpiecznym znaleziskiem, którego nie warto dotykać. - Przypuszczam, że rozmyślałaś głównie o tym, jak bardzo cię unieszczęśliwiłem. Mnie też nie dawało to spokoju. Ale bardziej zastanawia mnie coś innego. Domyślasz się co to takiego?

Stała przed nim nieruchomo, starając się nie okazywać żadnych emocji.

- Nie, nie domyślam się - odpowiedziała cicho.

- Otóż, zachodzę w głowę - zaczął, przesuwając dłoń wzdłuż jej karku - co sprawiło, że raptem postanowiłaś do mnie wrócić. I dlaczego, na miłość boską, spieszyło ci się tak bardzo, że zapomniałaś uprzedzić mnie o swoim przyjeździe. - Chwycił ją za

ramiona i przysunął się, żeby pocałować ją w szyję.

Kiedy jego usta zetknęły się z jej skórą, zalała ją fala gorąca.

- Żadnych wieści, żadnego posłańca. Dobrze wiesz, że nikt nie przekracza granic Balhaire bez uprzedzenia. Może z wyjątkiem angielskiej armii, która jak wiadomo, nigdy nie prosi o pozwolenie. Powiedz mi zatem, Margot, przywiozłaś ze sobą armię? Czy twoi rodacy zwierają szyki, czekając za wzgórzami na odpowiedni moment, żeby przypuścić atak?

Jego język musnął ją przelotnie tuż za uchem.

Niewiele brakowało, a ugięłyby się pod nią kolana. Zacisnęła w dłoniach spódnicę, usiłując za wszelką cenę zachować spokój.

- Oczywiście, że nie - zapewniła chwiejnym głosem. - To niedorzeczne. Uwierz mi, nie uknułam przeciwko tobie żadnego niecnego spisku. Sądziłam, w swej naiwności, że zechcesz się pojednać.

- Z tobą? - Roześmiał się szyderczo. - Z kobietą, która mnie zdradziła? To dopiero jest niedorzeczne. A ty, moja droga, wcale nie jesteś naiwna. - Jego usta nadal wędrowały po jej karku. - Bawią mnie twoje zapewnienia, ale wiedz, że nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Jeśli w ogóle, to z pewnością nie myślałaś o mnie, lecz o moich pieniądzech. Zastanawiałaś się, kiedy twój dumny, wzgardzony mąż przyśle ci ze Szkocji kolejną sakwę. - Wsunął jej rękę w dekolt i chwycił ją za pierś. - Mam rację?

Rozchyliła usta i wciągnęła głośno powietrze. Choć nie obchodził się z nią szczególnie delikatnie, jej ciało reagowało niezrozumiałym ożywieniem. Czuła, że rozpływa się w jego ramionach.

- Nie, nie masz racji - szepnęła bez tchu.

Potrząsnął nią lekko i zmusił, żeby zajrzała mu w oczy.

- Nie okłamuj mnie - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. Potem ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta. Nie był to czuły pocałunek. Nigdy wcześniej nie całował jej w ten sposób. Tak gwałtownie i bez opamiętania. Jego język domagał się odpowiedzi, a zębami lekko chwycił jej wargi.

Margot miała wrażenie, że spada w bezkresną otchłań. Nie była gotowa na taką burzę uczuć. Traktował ją szorstko i nie siłił się na delikatność, lecz właśnie to rozpalało jej zmysły, bar-



dziej, niż chciała przed sobą przyznać. Bardziej niż na początku małżeństwa, kiedy był czuły i troskliwy. Sprawy wymykały się spod kontroli. Wystraszyła się i spróbowała go odepchnąć. Musiała zachować rozsądek. Nie mogła stracić głowy i nie mogła pozwolić, żeby to on stał się panem sytuacji.

- Puść mnie! - zawołała stanowczo, lecz jej protest nie przyniósł spodziewanego skutku. Wręcz przeciwnie. Zamiast go powstrzymać, jej katoryczny ton podziałał na niego jak płachta na byka.

- Przypominam, że nadal jesteś moją żoną - obwieścił z niebezpiecznym błyskiem w oku. - Nic tego nie zmieni. Dziękuj Bogu - dodał wyzywająco - że nie kazałem trzymać cię pod kluczem o chlebie i wodzie.

Serce ścisnęło jej się z żalu i strachu. Wszystko wskazywało na to, że powrót do Balhaire źle się dla niej skończy. Sprawdziły się jej najgorsze obawy. Czyżby miała spędzić resztę życia w odosobnieniu?

Usiłowała mu się wyrwać, choć wiedziała, że to daremny trud. Przyparł ją plecami do ściany, a potem chwycił za rękę i uwięził je tuż ponad jej głową.

- Opamiętaj się - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Zachowujesz się jak zwierzę.

- Nawet się nie domyślasz, do czego jestem zdolny - odparł i pochylił głowę, żeby ją pocałować.

Odwróciła twarz, żeby zrobić mu na złość, ale wcale go to nie zraziło. Przywarł ustami do jej dekoltu i uszczypnął ją zębami w pierś.

Zadrżała i wciągnęła ze świstem powietrze.

- Nie tego chciałaś, droga żono? - Jego gorący oddech muskał jej skórę. - Czyż nie usychałaś z tęsknoty za swoim drogim mężem? Nie zapewniałaś mnie, jak bardzo pragniesz zadowolić żalostnego durnia, którego porzuciłaś na trzy lata?

Serce niemal wyskoczyło jej z piersi. Im bardziej obcesowo do niej przemawiał, im bardziej był natarczywy, tym bardziej rozniecał w niej długo tłumione pragnienia.

- Nie zmieniłam zdania - zapewniła pojednawczo. - Nadal chcę ci dogodzić, ale... wolałabym, żebyś był nieco delikatniej-

szy – dodała, choć było to wierutne kłamstwo. Podobało jej się i to, co robił, i to, jak to robił, tyle że nie chciała dać tego po sobie poznać. Walczyła już tylko o utrzymanie kontroli nad sytuacją. Za wszelką cenę próbowała zachować resztki rozsądku. – Miałam nadzieję na nieco cieplejsze przyjęcie.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim mnie zostawiłaś, i nieco czulej się ze mną pożegnać – warknął w odpowiedzi, napierając na nią całym ciałem. Czowała na sobie jego płaski brzuch, muskularne uda i twarde dowody podniecenia. Zacisnęła powieki i nabrała powietrza w płuca, które zaczynały odmawiać jej posłuszeństwa. Przerazało ją to, jak bardzo go pragnie. Wszystko jedno, jak i gdzie, w łóżku, pod ścianą czy na podłodze.

– Weźmiesz mnie siłą? – zapytała zdesperowana. Walczyła ostatkiem sił, żeby całkowicie nie skapitulować. – Aż tak mnie nienawidzisz?

– A ty? Kazesz mi teraz przestać, wiedzmo? – Ugryzł ją lekko w ucho i przywarł do niej jeszcze mocniej. – Jesteś aż tak okrutna?

Zakręciło jej się w głowie. Gdy przymknęła powieki, ciemność eksplodowała feerią barw.

– Tak... – jęknęła rozpaczliwie. – Puść mnie! Chcę, żebyś przestał.

Zadał jej spódnicę i wsunął rękę między uda.

– Kłamiesz – stwierdził z ustami na jej policzku. – Wcale nie chcesz, żebym przestał.

– Bydlak! – Zwróciła ku niemu twarz. Ich wargi niemal się stykały. – Nastajesz na mnie, bo zraniłam twoją dumę! Nie jesteś lepszy niż rozsierzona dzika bestia!

– Owszem, jestem rozsierzony, nie zaprzeczam – oparł podniesionym głosem. – Ale to wyłącznie twoja zasługa. Wiem też, że bez względu na to, jak źle między nami było, zawsze mnie pragnęłaś. Czasem dość rozpaczliwie. Dokładnie tak jak teraz. – Na potwierdzenie swoich słów, wsunął w nią palce. – Nie zdołasz mi się oprzeć.

Jęknęła przeciągle i wstrzymała oddech.

– Nie łudź się – powiedziała ze złością. – Nie pragnęłam cię. To była zwykła nuda. – Usiłowała go pocałować, ale jej na to nie

pozwolił. Odsunął się odrobinę i zabrał dłoń spomiędzy jej ud.

Uśmiechnął się z satysfakcją na widok furii, jaka odmalowała się na jej twarzy.

- Radzę ci, zważaj na słowa, *leannan*, bo mogę użyć ręki do czegoś zgoła innego. Ciesz się, że nie pochwalam przemocy wobec kobiet.

*Leannan*, pomyślała w popłochu. To słowo działało na nią jak balsam. Jak najśłodsza pieśczoła. Poskramiało ją i zmuszało do uległości, a ten łajdak dobrze o tym wiedział. Nie domyślała się nawet, co oznacza, ale pamiętała, jak często go używał. Zwłaszcza tu, w sypialni.

- Zabierz ode mnie łapska - syknęła rozzłoszczona. - Jesteś pijany i brudny. Porozmawiamy, kiedy wytrzeźwiejesz.

Znów się przysunął i przygwoździł ją sobą do ściany.

- Tak, mam ubrudzone odzienie - rzekł, obejmując dłonią jej policzek. - Ale rychło się go pozbędziemy. I wcale nie jestem pijany. Mam tylko lekko w czubie. Nie na tyle, żeby nie sprostać zadaniu. Ręczę, że nie przeszkodzi mi to w wypełnianiu małżeńskich powinności.

Gdy próbowała zaprotestować, uciszył ją pocałunkiem.

Tym razem słodkim i czułym, takim jakim zawsze ją rozbrajał. Teraz nie było inaczej. Rozpadła się na tysiąc kawałków i całkowicie skapitulowała. Nie miała siły ani ochoty dłużej z nim walczyć. Smakował piwem i pachniał piżmem. Piżmem i sobą. Rozpoznałaby ten zapach wszędzie. Krew zawrzała jej w żyłach, kiedy wyjmował jej z włosów spinki. Jedna po drugiej spadały na ziemię. Potem jego ręka zacisnęła się na jej piersi ukrytej w grubym gorsecie. I pomimo tego nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Gdyby jej nie trzymał, osunęłyby się na podłogę. Gdy w końcu uwolnił jej ręce i objął ją w talii, jej ramiona z własnej woli zamknęły się na jego szyi. Nie odrywając od niej warg, przeniósł ją przez pokój i rzucił bezceremonialnie na posłanie. Obróciwszy ją na plecy, zaczął rozsznurowywać suknię i gorset.

Chciała znowu mieć go w sobie. Przez moment wydawało jej się, że lata rozłąki przestały mieć znaczenie, odeszły w niepamięć, a w ich miejsce pojawiła się nieokiełznana namiętność, przerażająca w swej intensywności, niemożliwa do opanowania

i domagająca się spełnienia.

Arran pozbawił ją resztek odzienia, przewrócił z powrotem na wznak i przygniół swoim ciężarem. Jego dłonie wodziły po niej swobodnie, jakby próbowały ją sobie przypomnieć. Było tak jak kiedyś, a jednak zupełnie inaczej. Nie dotykał jej już z namaszczaniem, jakby była porcelanową lalką, która może się stłuc. Oszałały z gniewu i tłumionej żądz, nawet nie starał się być delikatny, ale ją ów brak subtelności podniecał w dwójnasób. Wkrótce całkowicie się zatraciła. Odwzajemniała pocałunki i dotykała go z równym zapamiętaniem, z jakim on dotykał jej. Zapomniała, po co przyjechała do Balhaire, zapomniała o wszystkim z wyjątkiem tego, jak bardzo pragnie znów poczuć go w sobie. Wszystko inne przestało się liczyć.

Jego wargi przywarły do jej piersi, a potem przesunęły się w dół, między uda. Spieszył się, ale ona i tak drżała z niecierpliwości. Jej palce zaciskały się nerwowo na jego plecach i pośladkach, gdy ściągał buty i zdejmował spodnie. Zapłonęła żywym ogniem, kiedy wszedł w nią jednym gwałtownym pchnięciem. Nie sądziła, że można odczuwać przyjemność graniczącą z torturą nie do zniesienia, lecz tak właśnie było.

Poruszali się razem w jednym rytmie, złączeni ciałami i gorączkowym pragnieniem spełnienia.

I wtedy Arran zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego, coś, co kompletnie zbiło ją z tropu. Pogłaskał ją po twarzy. Dość niezdarne, lecz wiedziała, że to była pieszczota, oznaka przywiązania, czuły gest szczerego uczucia. Zamarła zaskoczona i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

On także się zatrzymał. Popatrzył na nią i zgrzytnął zębami, jakby próbował się przed czymś powstrzymać.

- Odwróć głowę - powiedział w końcu.

- Słucham?

- Odwróć się - powtórzył, obracając jej twarz ku oknu.

Kiedy znów zaczął się w niej poruszać, czuła na sobie jego rozpalony wzrok.

Jej serce biło teraz niebezpiecznie szybko. Poczowała się zagubiona i... odtrącona. Nie chciał na nią patrzeć. I nie chciał, żeby ona widziała jego twarz... Zamknęła oczy i westchnęła z rozża-

leniem. Zrozumiała, że w tej walce nie może wygrać. Już przegrała tę bitwę. Nie było sensu się z nim mierzyć. Potrafił skłonić ją do uległości, umiał sprawić, by krzyczała z rozkoszy, wiedział, jak doprowadzić do śmiechu i do łez. Była w jego rękach zupełnie bezwolna. Mógł poprosić ją teraz o cokolwiek, a zrobiłaby dla niego wszystko. A on chciał tylko, żeby odwróciła głowę.

Nie patrz na niego, nakazała sobie. Nie pokazuj mu twarzy... Po chwili znów oddała się zmysłom i przestała myśleć o swoich obawach i wątpliwościach. Wplotła mu palce we włosy, drugą dłoń zacisnęła na jego plecach. Jej skóra płonęła w każdym miejscu, w którym jej dotykał.

Kiedy skończyli, oboje leżeli nieruchomo, próbując uspokoić oddech. Potem Arran zsunął się z niej i położył obok na pościeli. Margot była oszołomiona. Nawet gdyby ktoś przyłożył jej nóż do gardła, nie wykrztusiłaby z siebie słowa. Z trudem przełknęła ślinę i okryła się pierzyną.

Jej mąż nie przejmował się swoją nagością. Odpoczywał, leżąc na brzuchu z rozrzuconymi ramionami. Mogła mu się bezkarnie przypatrywać, bo był do niej zwrócony tyłem głowy. Zawsze lubiła jego smukłe i silne ciało. Długo nie chciała tego przyznać, ale spodobał jej się już w Norwood Park, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Miał okropną brodę, zbyt długie włosy, umorusane ubranie i ubłocone buty, ale i tak natychmiast wpadł jej w oko.

Iskrzyło między nimi od samego początku, ale nie powinni byli się pobrać. Ich małżeństwo okazało się pomyłką. Była pewna, że w głębi duszy on też zdawał sobie z tego sprawę.

Pochyliła się, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Miał na plecach kilka nowych blizn, to zapewne efekt ciężkiej pracy nad nowymi rekrutami. Taki był jeden z zapisów ich umowy małżeńskiej. MacKenzie miał przysporzyć brytyjskiej armii doskonale wyszkolonych szkockich żołnierzy. W zamian dostał Margot, tytuł barona i ziemie na terytorium Anglii. Ona z kolei miała swoje włości w Szkocji. Tak czy owak, czuła się jak część inwentarza. Ojciec użył jej jako karty przetargowej, a raczej zwyczajnie ją sprzedał, żeby chronić własne interesy.

Czy taki wspaniały okaz męskości mógłby być zdrajcą? – po-

myślała sceptycznie. Nigdy w to nie wierzyła. Przesunęła palcem po jednej z blizn.

Arran czym prędzej się podniósł i zszedł z łóżka. Zignorował ją kompletnie i podszedł do kominka, żeby rozpaścić ogień. Potem nalał sobie wina i wypił je niemal jednym haustem. Nic sobie nie robił z tego, że przechadza się po komnacie, jak go Pan Bóg stworzył.

- Dlaczego? - zapytał oschle, spoglądając na nią przez ramię.

Choć żyli ze sobą tylko kilka miesięcy, a ostatnie trzy lata spędzili osobno, wciąż rozumieli się bez słów. Pomyślała, że to dziwne, ale od razu się domyśliła, o co pyta. Chciał wiedzieć, czemu odeszła.

- Wiesz dlaczego.

- Byłem dla ciebie niedobry? Źle cię traktowałem?

Westchnęła ciężko. Kiedy od niego uciekała, miała jasne i ważne powody. Teraz nie była już taka pewna swoich racji.

- Nie, raczej obojętny. Może zwyczajnie za bardzo się od siebie różniliśmy.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem odwrócił wzrok.

- Nie zaprzeczę. Nadal się różnimy.

- Nie byłam ci do niczego potrzebna.

- Nie byłaś mi potrzebna?! Byłaś panią tego domu, na litość boską! Czy to nie wystarczy?

- Tylko z nazwy. Nie miałam tu nikogo. Żadnego towarzystwa, żadnych przyjaciół...

- Nie miałaś przyjaciół, bo nie chciałaś ich mieć. Wiele kobiet z klanu chętnie by się z tobą zaprzyjaźniło, gdybyś tylko raczyła wykazać odrobinę dobrych chęci.

- Mylisz się! - zaprotestowała gwałtownie. - Staralam się zmienić Balhaire, ale z każdej strony napotykałam opór.

- Może dlatego, że próbowałaś zrobić z zamku angielski salon - odparł rzeczowo. - Wszystko robiłaś na angielską modłę.

- A czego innego się spodziewałaś? W końcu jestem Angielką. Oczekiwałaś, że w ciągu kilku miesięcy zamienię się w Szkotkę?

Odwrócił głowę i spojrzał w okno.

- Moja kuzynka, Griselda, się z tobą przyjaźniła. Spędzałyście razem sporo czasu.

- Griselda! - parsknęła z niedowierzaniem. - Sam w to nie wierzysz. Nie znosiła mnie. Głównie za to, że jestem Angielką. Dobrze o tym wiesz. Nie rozumiesz, że ty zyskałeś na naszym małżeństwie wszystko, co chciałeś zyskać, tymczasem ja nie dostałam nic? Byłam tu nieszczęśliwa.

- Wszystko, co chciałem, powiadasz? - powtórzył poirytowany. - A czego twoim zdaniem chciałem? Zechcesz mnie oświecić?

Prychnęła i odgarnęła włosy z twarzy.

- To oczywiste. Dostałeś tytuł barona, ziemie w Anglii i władzę. Który mężczyzna się temu oprze?

Wzruszył ramionami.

- Istotnie, każdy mężczyzna pragnie władzy, wpływów i pieniędzy. Ale czy ty sama nie chciałaś dokładnie tego samego? Ty też zyskałaś tytuł, własne włości i inne płynące z tego przywileje. Czy nie na tym ci zależało?

- Nie! - zaprzeczyła z oburzeniem. - Zależało mi na dobrej partii. Potrzebowałam męża, który byłby mi przyjacielem i nie stroniłby od mojego towarzystwa. Kogoś, kto nie znikałby na całe dni, komu zależałoby na nieco wytworniejszym życiu, kogoś, kto zabierałby mnie czasem do Edynburga i...

- Jesteśmy góralami, na miłość boską! Mieszkamy w głębi kraju. Balhaire to nie paryski czy londyński salon!

Poczuła, że wzbiera w niej złość, ale jakimś cudem udało jej się ją powściągnąć.

- Naturalnie, masz rację. Ale... w tym właśnie tkwił cały kłopot. Nie jestem stworzona do takiej egzystencji. Potrzebowałam nieco bardziej cywilizowanego otoczenia, kulturalnego towarzystwa...

- Miarkuj się, kobieto! - zawołał autentycznie urażony. - I radzę ci, zważaj na słowa. Jesteśmy Szkotami, a nie nieokrzesanymi dzikusami!

- Przychodziłeś do moich komnat prosto z łowów, w odzieniu uwalanym krwią!

- Tak, przychodziłem brudny, ale się rozbierałem! - wrzasnął. - I myłem! Sądziś, że łatwo mi było być twoim mężem?!

- Tobie niby było trudno?! - krzyknęła obruszona. - Ze mną?!

- Tak! Z tobą! Niewinna owieczko! - odparł, wymierzając w nią palec. - Wszystkiego się bałaś, wszystko i wszystkich miałaś w pogardzie. Byłaś bojaźliwa, nieznośna i wyniosła! Tak, wyniosła! Nic nie było wystarczająco dobre dla jasnie wielmożnej pani. A może się mylę?

Spuściła wzrok. Owszem, miał rację. Nie mogła zaprzeczyć. Ponieważ ojciec był daleko, mściła się na mężu i jego ludziach za to, że została zmuszona do małżeństwa. Z niczego nie była zadowolona, a jej ulubioną rozrywką było krytykowanie i wytykanie błędów.

- Byłam za młoda - odezwała się po chwili milczenia. - Za młoda i niedoświadczona. Nie dorosłam do małżeństwa.

- Prawda - przyznał zwięźle. - Nie dorosłaś.

Przyjrzała mu się ukradkiem, gdy zaczął przemierzać nerwowo izbę, przeczesując palcami potargane włosy.

- Dlaczego za mną nie pojechałeś? - zapytała ściszym głosem.

Spojrzał na nią przeciągle i zacisnął szczękę.

- Nie mam zwyczaju ganiać za zbłąkanymi psami i za kobietami. To one przychodzą do mnie.

Skuliła się w sobie, jakby ją uderzył.

- Więc znaczę dla ciebie nie więcej niż pies - stwierdziła nie bez goryczy. - Dalibóg, pocieszające.

- Nie w tym rzecz, *mo gradh*. - Westchnął i wrócił do łóżka. - Mam swoją dumę. Ot i wszystko.

- Masz swoją dumę, a ja ją zraniłam. - Podciągnęła kolana pod brodę. - Przynajmniej to sobie wyjaśniliśmy. Jedyne, co nas kiedykolwiek łączyło, to łóżko. Tu zawsze się rozumieliśmy.

- Wątpię - wypalił bez namysłu. - Potrzebuję dziedzica, a ty jak dotąd nie dałaś mi potomstwa. O ile mi wiadomo, taka jest powinność żony.

- Ach tak? Najpierw przyrównujesz mnie do psa, a teraz się dowiaduję, że miałam być twoją kłaczą rozplodową! Zresztą czemu tu się dziwić? Ojciec przehandlował mnie jak sztukę bydła na targu. Wszyscy jesteście tacy sami!

- Nie kupiłem cię, kobieto! Poszłaś za mnie z własnej woli!

- Z własnej woli?! Nie miałam wyboru i dobrze o tym wiesz!



Nikt nie pytał mnie o zdanie.

- Za chwilę się dowiem, że cię uprowadziłem i przywiodłem tu siłą! Przed ślubem spotkaliśmy się dwa razy. Skoro miałaś wątpliwości, trzeba było mi o nich powiedzieć wcześniej, zanim stanęliśmy przed ołtarzem.

- Spotkaliśmy się dwa razy? - roześmiała się histerycznie. - Drwiny sobie robisz? Nie zamieniliśmy ze sobą więcej niż kilku zdań. Nigdy nie byliśmy sam na sam. Kiedy niby miałam ci powiedzieć o swoich wątpliwościach? Poza tym, kto zdrowy na umyśle jest w stanie rozsądzić, czy stworzy zgodne stadło z człowiekiem, którego widział na oczy nie więcej niż dwie godziny w życiu?

- Więc czego byś chciała, do pioruna?! Długich zalotów?!

- Tak! Właśnie tego bym chciała! Długich zalotów.

Podskoczył jak oparzony i zniecka przycisnął ją sobą do posłania.

- Skoro tak ci obrzydłem, a Balhaire to ostatnie miejsce, które chciałabyś nazywać domem, to co tu właściwie robisz? Co? Po co wróciłaś? Mów, do diabła!

Wytrzymała jego rozeźlone spojrzenie.

- Już ci mówiłam - rzekła spokojnie. - Byłam za młoda. Nie potrafiłam docenić tego, co mieliśmy. Chcę spróbować jeszcze raz. Zacząć od nowa.

- Nie okłamuj mnie, Margot MacKenzie - powiedział ostro. - Słyszysz, co do ciebie mówię? Pożałujesz, jeśli jeszcze raz przyłapię cię na łgarstwie. - Przez moment wodził po niej spragnionymi oczami, a potem pochylił głowę i zamknął usta na jej pierś. - Nigdy więcej mnie nie oszukasz. - Spojrzał jej w twarz. - Czy wyrażam się jasno?

Jego pociemniałe źrenice wyglądały jak dwa sople lodu. Poczwała, że czerwieni się ze wstydu. Nie chciała go okłamywać. Ale cóż miała począć? Była tylko pionkiem w cudzej grze. Nawet jeśli zaczynała wierzyć w to, co mówi, prawda była taka, że prawdopodobnie nigdy by nie wróciła, gdyby ojciec jej do tego nie zmusił. A Arran był zbyt dumny, żeby przyjechać po nią do Norwood. Zdaje się, że oboje są siebie warci.

- Tak - powiedziała, modląc się, by zabrzmiało to przekonująco.

co.

Mruknął coś niewyraźnie i powiódł ustami po jej brzuchu. Kiedy dotarł między uda, na kilka minut odpłynęła. Zapomniała o przykłej rozmowie i o tym co jeszcze ją czeka.

- Teraz też mydlisz mi oczy, *leannan*?

Więc jednak wyczytał z jej twarzy fałsz. Boże dopomóż... westchnęła w duchu.

Popatrzył na nią, oczekując odpowiedzi. Czuły kochanek z początków małżeństwa zniknął i pewnie nigdy nie wróci. Jego miejsce zajął nienasycony i niebezpieczny nieznajomy. Cyniczny i nieufny.

- Nie - skłamała, zaciskając powieki. Nie mogła się doczekać, aż znów po nią sięgnie. Nie potrafiła mu się oprzeć.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

*Balhair, 1706 rok*

Arran zupełnie nie rozumiał żony. Robił, co w jego mocy, wręcz wychodził z siebie, żeby miała wszystko, czego tylko dusza zapragnie, ale jej to najwyraźniej nie wystarczało. Była niczym fontanna. Nieustannie zalewała się łzami. Płakała z byle powodu i bez powodu, dosłownie na okrągło.

Jego kuzyn Jock, brat Griseldy, twierdził z przekonaniem, że jako mąż powinien zwyczajnie zabronić jej płaczu. Ojciec Jocka, Ivor, był podobnego zdania.

- Niby jak mam to zrobić, co? Jak powiedzieć kobiecie, żeby przestała bez przerwy lamentować? No? Doradźcie mi, skoroście tacy mądrzy.

- Normalnie - stwierdził autorytatywnie najstarszy z MacKenzich. - Łagodną perswazją. A jak to nie pomoże, pasem.

Arran zbladł jak płótno.

- Pasem?! Nigdy w życiu! - zaprotestował, mierzając krewnego piorunującym wzrokiem. - Też wymyśliłeś, stryju! Jeśli się dowiem, żeś używał pasa na cioci Lilleas, to nie ręczę za ciebie.

- Na mojej Lilleas? - obruszył się Ivor. - W imię Ojca i Syna! Co ty pleciesz, młokosie? Żywcem obdarłaby mnie ze skóry, jak królika na pasztet, gdyby się dowiedziała, że taka myśl powstała mi w głowie.

Hmm... zdaje się, że stryja też nie rozumiał.

Wszyscy trzej umilkli i popadli w zadumę. Rozmyślali, rzecz jasna, o kłopotach z nadobną płcią.

- Mam! - wrzasnął raptem stryj, uderzając pięścią w stół. - *Diah*<sup>[6]</sup>, że też nie wpadłem na to wcześniej! Stary dureń ze mnie. Wiem, co ci wypada zrobić.

- Co takiego?

- Te wiadra łez to jak nic sprawa kobiecej przypadłości -

oznajmił Ivor, jakby rozwiązał tajemnicę powstania wszechświata. – Baby zmieniają się w bestie z piekła rodem, kiedy mają... trudne dni. I miesiąc w miesiąc to samo. Skaranie boskie, powiadam wam, a wiem, o czym mówię, bom żonaty dłużej, niż jestem w stanie spamiętać. Zatem, chłopaku, sprawa jest prosta. Zrobisz jej dzieciaka i załatwione. Będziemy mieli spokój na dziewięć miesięcy.

– Bzdury ojciec plecie – prychnął Jock. – Molly MacKenzie ryczała jak bóbr, kiedy była przy nadziei. I to bez przerwy. A jeśli z lady MacKenzie będzie tak samo? To jak wpaść z deszczu pod rynną. Lepiej nie ryzykować.

– Co ty tam wiesz, szczeniaku? Przez całe lato nawet nie spojrzaleś na żadną dziewczkę.

– Spojrzałem, spojrzałem – bronił się Jock. – Ale na patrzeniu się skończyło, bo nie miałem czasu na amory. Byłem zajęty robotą. Prawda, Arran?

– Prawda, prawda – przytaknął MacKenzie i znów się zamyslił. Niech się sprzeczną bez niego. Choć nigdy by się do tego nie przyznał, a już na pewno nie przed tymi dwoma, czuł się winny. Nie miał pojęcia, jak uszczęśliwić żonę, więc jako mąż poniósł klęskę. Nie sprawdził się.

Jeszcze do niedawna w ogóle nie myślał o małżeństwie. Do czasu aż lord Norwood zaoferował mu sojusz oraz rękę córki. Przyjął angielskiego emisariusza z niejakim zdumieniem, uznał jednak, że w świetle rychłego przymierza pomiędzy Anglią i Szkocją wypada mu rozważyć tak korzystną propozycję. Miał pewne wątpliwości co do ożenku, ale pozbył się ich z miejsca, kiedy po raz pierwszy ujrzał przyszłą żonę.

Prawdopodobnie nigdy nie zapomni tej chwili, jej kasztanowych włosów i ciemnozielonych oczu. Wyglądała zjawiskowo. Często podróżował po świecie i widywał mnóstwo urodziwych kobiet. Żadna nie wydała mu się tak piękna, jak ona. Niestety nie myślał wówczas głową, lecz zgoła innymi partiami ciała. Nie przyszło mu na myśl, że mogą pojawić się problemy, że Angielka może czuć się w Szkocji obco, że może nie zaakceptować Balhaire jako swego domu.

Jako że Jock i stryj Ivor w niczym mu nie pomogli, udał się po

radę do Griseldy. Ta niestety okazała się jeszcze mniej pomocna.

- Mnie pytasz? - warknęła poirytowana. - Czy to ja przywiozłam do Balhaire delikatną angielską różyczkę?

Zelda najwyraźniej nie przepadała za różami.

- Mogłabyś się z nią zaprzyjaźnić - odezwał się po chwili milczenia. - Nie byłaś szczególnie serdeczna, kiedy ci ją przedstawiłem.

- Ano, nie byłam. - Wzruszyła ramionami. - Ale próbowałam to naprawić. Zaproponowałam, że pokażę jej swoje sokoły, a nawet nauczę ją sokolnictwa. Popatrzyła na mnie, jakbym kazała jej biegać po lesie na golasa!

- Zeldo, proszę cię. Jestem w desperacji.

Jęknęła przeciągle i wzniosła oczy ku niebu.

- Zgoda. Spróbuję jeszcze raz. Ale wiedz, że robię to wyłącznie dla ciebie.

Griselda dotrzymała słowa. Nazajutrz wzięła go na stronę i oznajmiła:

- Twoja szanowna małżonka pragnie towarzystwa. Przeklęci Angole, nic, tylko zbytki i zabawa im w głowie!

Arran nadal nic z tego nie rozumiał.

- Przecież mamy towarzystwo. Na zamku jest mnóstwo ludzi, cała nasza rodzina.

- Tak, tyle że jej nie o takie towarzystwo idzie. Marzy jej się wykwintna uczta, bal z proszonymi gośćmi, na którym mogłaby pokazać się w wytwornej toalecie i obwiesić klejnotami.

Griselda była całkowitym przeciwieństwem Margot. Nie miewała wielkopańskich kaprysów i nie dbała o błyskotki. Nie przepadała też za przyjęciami. Woląca polować, jeździć konno i grywać w karty.

O ile pamięć go nie myliła, w Balhaire nigdy nie odbył się żaden bal. Cóż, nic to. Kiedyś musi być pierwszy raz. Skoro tego trzeba do szczęścia jego żonie... niech i tak będzie. Postanowił nie zasypiać gruszek w popiele i natychmiast ogłosił, że niebawem wyda przyjęcie, podczas którego lady MacKenzie zostanie oficjalnie i z honorami powitana w rodzinie. Pomysł wydawał mu się znakomity. Zastanawiał się, czemu sam na to nie wpadł.

Margot sprawiała wrażenie uradowanej.

- Bal? Na moją cześć? - powiedziała zadowolona, odrywając się od robótki.

- Tak, na twoją cześć - odparł z dumą.

- Dziękuję, Arranie. Dokładnie tego mi trzeba. - Uśmiechnęła się szeroko. - Prawdziwy bal... - dodała rozmarzona. - Moglibyśmy zaprosić sąsiadów. I podać ciastka z marcepanem.

- Z marcepanem? - powtórzył bez przekonania. Nie był pewien, czy ciotka Lilleas umie je piec.

- Och, nieważne. Możemy się obejść bez ciastek. Ale musimy koniecznie postarać się o szampan i lody.

Nie miał pojęcia, skąd je wziąć, i już miał zaprotestować, ale właśnie wtedy Margot zrobiła coś, co było zupełnie do niej niepodobne. Poderwała się z miejsca, zarzuciła mu ręce na szyję i cmoknęła go w policzek. - Dziękuję! Dziękuję!

Klamka zapadła. Obiecał sobie, że zdobędzie dla niej lody i szampana choćby i spod ziemi.

Przygotowania ruszyły pełną parą. Choć tego rodzaju wielkie wydarzenia nie były tu na porządku dziennym, nastrój radosnego oczekiwania udzielił się wszystkim mieszkańcom Balhaire. Wytrzepano dywany, wyczyszczono meble, zsunięto stoły, żeby zrobić miejsce na tańce i zatrudniono prawdziwych muzyków z Inverness. Członkowie klanu mieli włożyć najlepsze, odświętne ubrania.

Niebawem żona sprawiła mu kolejną niespodziankę. Był szczerze zaskoczony, kiedy zaprosiła go do swoich apartamentów na szczycie wieży. Podejrzywał, że wybrała je tylko dlatego, że znajdowały się z dala od jego własnych. Żeby do nich dotrzeć, trzeba było przemierzyć cały zamek.

- Jak ci się podoba? - zapytała, gdy usiadł na kanapie w bawialni.

Zerknął przelotnie na szkarłatną suknię, którą trzymała w ręce.

- *Bonny*<sup>[7]</sup>... - mruknął zdawkowo. Wolał przypatrywać się jej twarzy niż jakiegś tam kiecce.

- A co myślisz o tej? - Tym razem podstawiała mu pod nos błoniebieski jedwab.

- Aha... *Bonny*...

Zmarszczyła czoło. Wyciągnęła jeszcze jedną sukienkę, która wyglądała dokładnie tak samo jak dwie poprzednie, tyle że była ciemnozielona.

- Co powiesz o tej?

Powiedział rzecz jasna to samo, co przed chwilą.

- *Bonny*.

Westchnęła poirytowana.

- Miałam nadzieję, że mi pomożesz. Nie mogę się zdecydować. Która będzie najlepsza? I błagam cię, nie mów więcej *bonny*.

- To jak mam mówić? - spytał skołowany. - Wszystkie są... *bòidheach*.

Zamrugnęła gwałtownie.

- *Bòidheach*? Nie mam pojęcia, co to znaczy.

- To samo co... *bonny* - odparł bezradnie.

Jęknęła i przewróciła oczami.

- Proszę cię wybierz jedną, bo zaraz wyjdę z siebie.

- Dobrze, już dobrze. Włóż tę czerwoną. Chyba podoba mi się najbardziej.

Spojrzała jeszcze raz na rozrzucone na łóżku suknie i znów zmarszczyła czoło.

- Nie zieloną?

- Rany boskie, kobieto! - zdenerwował się MacKenzie. - Mówię przecież czerwoną. Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc. Włóż którąkolwiek. Wszystkie są... *bòidheach*! - Z tymi słowami wyparował na korytarz i niemal biegiem zszedł na parter. Był przywódcą klanu, na litość boską. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż kolor żoninej kiecki. Nie w głowie mu były damskie fatałaszki.

Wieczorem w dniu balu Arran zjawił się ponownie w bawialni żony. I tym razem stanął w progu jak wryty. W ciemnozielonej sukni poprzetykanej perłami i czerwonymi kryształkami jego żona prezentowała się zjawiskowo. Krótka mówiąc, oniemiał z zachwyty. W jej wysoko upiętych kasztanowych włosach także błyszczały klejnoty. Duma i przyływ ciepłych uczuć niemal rozsadyły mu pierś. Z tego wszystkiego aż oblał się gorącem.

- Margot, *Diah*, wyglądasz przepysznie... urzekająco, jak prawdziwa królewna.

Uśmiechnęła się szeroko, a jemu zrobiło się cieplej na sercu.

- Jak królewna? Dziękuję, jesteś bardzo miły. - Zarumieniła się i dygnęła. - A naszyjnik? - zapytała, dotykając sznura pereł z rubinowym wisiosem. - Nell mówi, że jest w sam raz, ale... wydaje się odrobinę zbyt okazały. Nie uważasz, że za bardzo rzuca się w oczy?

- Ani trochę - stwierdził, wciąż oszołomiony jej urodą. - Jest idealny. Cała jesteś idealna. Doskonała w każdym calu. I piękna jak z obrazka. - Ukłonił się dwornie i wyciągnął dłoń.

Obdarowała go kolejnym uśmiechem i podała mu rękę.

Sprawiała wrażenie zadowolonej. Nareszcie udało mu się zrobić coś, co ją uszczęśliwiło. Pomyślał z nadzieją, że może teraz wszystko odmieni się na lepsze, a ona poczuje się w Balhaire jak w domu.

Kiedy weszli razem do westybulu, wszelkie rozmowy umilkły. Członkowie klanu wpatrywali się w lady MacKenzie jak w obraz. Ani chybi byli nią równie zachwyceni jak on. Dopiero po chwili spostrzegł, że kobiety spoglądają po sobie niepewnie, jakby ich własne stroje nie były dość wytworne i stosowne do okazji. Istotnie żadna nie wyglądała tak strojnie jak Margot. Żadna nie miała tak misternej fryzury i żadna nie nosiła błyskotek, ale przecież tak chyba powinno być? Pani domu powinna błyszczeć najjaśniej... Tak czy inaczej, był dumny ze swoich ludzi. Widać było, że bardzo się postarali, a ich prezencji nie można było niczego zarzucić.

Margot ścisnęła go mocniej za ramię.

- Wszyscy mają ubrania w taką samą kratę - szepnęła ze zdziwieniem. - Wyglądają niemal identycznie.

- To barwy MacKenziech, a tartan to tradycyjny szkocki strój.

- Ale... - rozejrzała się dookoła.

- Świece są z pszczelego wosku - poinformował zadowolony z siebie. Kazał nawet zamknąć w kuchni psy, żeby nie plątały im się pod nogami podczas tańców.

- Chodźmy - rzekł zachęcającym tonem. Musiał ją odrobinę pociągnąć, ale w końcu ruszyła z miejsca i przeszła z nim przez



środek sali. Po drodze uśmiechała się uprzejmie do zgromadzonych gości i dziękowała im za przybycie. Kiedy weszli na podest i usiedli za stołem, MacKenzie przywołał Fergusa.

- Szampan dla milady i whisky dla mnie - powiedział, po czym uściśnął żonę za rękę. - Pragnęłaś towarzystwa, więc się o nie postarałem. Jesteś zadowolona?

- Towarzystwa? - powtórzyła i spojrzała na niego, jakby nagle zaczął mówić w obcym języku. - Tak, ale... sądziłam, że zaprosisz sąsiadów...

Roześmiał się w głos.

- To są moi sąsiedzi. Innych nie mam.

Wyglądała na zawiedzioną, ale uśmiechnęła się, kiedy Fergus wrócił z szampanem.

- Kiedy zaczną się tańce? - zapytała podekscytowana.

- Zaraz. - Dał sygnał muzykantom, którzy natychmiast zaczęli grać.

Griselda i jej najnowszy fatygant wyszli na środek jako jedni z pierwszych.

- Masz ochotę do nich dołączyć? - zapytał Arran.

- Nie, zaczekajmy chwilę - odparła, popijając szampan. - Zatańczymy później.

Wkrótce na sali zawrzało od śmiechu i podniesionych głosów. Biesiadnicy doskonale się bawili i podśpiewywali w takt zwawej ludowej melodii.

Lady MacKenzie przyglądała się skocznym płąsom z konsternacją i lekkim przerażeniem.

- Co się stało?

Spojrzała ze zgrozą na męża.

- Ćwiczyłyśmy z Nell cały tydzień, ale...

- To nie takie trudne, jak się wydaje... - Roześmiał się. - Chodź, pokażę ci.

- Nie! Nie chcę! - zaprotestowała gwałtownie.

- Nie zatańczysz ze mną? Margot...

- Nie prosz mnie, Arranie. Naprawdę nie mogę. - Poderwała się od stołu i zniknęła w tłumie.

O co jej znowu chodzi? - zastanawiał się ogłupiały. Nie pojmował powodów tego wybuchu.

Wróciła pół godziny później. Usiadła sztywno na krześle i zapatrzyła się w przestrzeń.

Tymczasem członkowie klanu ucztowali w najlepsze. Pili piwo, tańczyli i rozmawiali między sobą po gaelicku. Gdy zaczęli podchodzić do podestu i gratulować im z okazji ślubu, Margot milczała jak zakłeta. Nie raczyła się nawet uśmiechnąć. Zachowywała się tak, jakby w ogóle ich nie widziała.

Arran przyglądał jej się w bezsilnej złości. Jej dąsy i naburmuszona mina zaczynały działać mu na nerwy. W końcu nie wytrzymał i wstał od stołu. Dołączywszy do swoich, zaprosił do tańca pierwszą napotkaną dziewczynę. Nie miał zamiaru siedzieć beczynnym obok skwaszonej żony i zastanawiać się, co ją ugryzło. Przez jakiś czas dobrze się bawił, nie zwracając na nią uwagi.

Kiedy spojrzał w stronę podestu, już jej nie było. Rozeźlony i odrobinę podпиты poszedł za nią. Zastał ją w łóżku.

- Co z tobą, kobieto? - zapytał bez wstępów, odprawivszy pokojówkę. - Zechcesz mi objaśnić, w czym ci znowu uchybiono?

Usiadła i wlepiła w niego urażony wzrok.

- To chyba oczywiste!

- Oczywiste?! - zirytował się jeszcze bardziej. - Nie pytałbym, gdyby to było oczywiste. Z tobą nic nigdy nie jest oczywiste! Chciałaś towarzystwa, dałem ci towarzystwo. Chciałaś zabawy, wyprawiłem ci bal, a ty uciekasz i płaczesz do poduszki jak rozkapryszone dziecko!

- Nie płaczę! Raczej snuję plany ucieczki!

- Chcesz ode mnie uciec? - Podeszedł do drzwi i otworzył je na oścież. - Proszę bardzo! Droga wolna!

Nawet nie drgnęła, więc zatrzasnął je z powrotem. Z taką siłą, że niemal wypadły z framugi.

- Wiesz, ile pracy i wysiłku włożyliśmy w przygotowanie tego balu? Pomyślałaś o tym chociaż raz?

- Coś takiego nazywasz balem?! - wrzasnęła i wyskoczywszy z łóżka, podeszła do toaletki. - To nie był żaden bal! Kolejny wspólny wieczór w Balhaire, ot co! Zbieracie się tak codziennie!

- *Diah!* W życiu nie spotkałem drugiej tak rozbisurmanionej

pannicy! Ludzie przyszli, żeby złożyć nam życzenia i powinszować z okazji ślubu, a ty siedziałaś nadęta, kompletnie ich ignorując! A potem zwyczajnie sobie wyszłaś, z nikim się nie pożegnawszy. Czy tak zachowuje się pani domu? Żona przywódcy klanu?

Cisnęła szczotką o podłogę. Brakowało tylko, żeby tupnęła nogą.

- Próbowałam się z nimi przywitać! Ale oni ciągle mówią w tym waszym okropnym języku! Poza tym nikt nie włożył nawet stosownej toalety! Gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie tylko wełna i ta paskudna krata! A zamiast szampana pili piwo! Kto woli piwo od szampana?! I te wasze tańce! - zakończyła, wznosząc oczy ku niebu.

- Na litość boską, kobieto! Przecież chciałaś tańczyć!

- Tak! Tańczyć, a nie podskakiwać bez ładu i składu! Nigdy nie widziałam takich tańców!

- Zatem wszystko zrobiliśmy nie tak, jak byś sobie tego życzyła?

Westchnęła ciężko.

- Nie, nie w tym rzecz. Wcale nie powiedziałam, że wszystko było nie tak.

- Może i nie powiedziałaś. Ale za to pokazałaś. Bardzo dobitnie. Jesteś... - urwał.

- Jaka? - splotła ramiona na piersi i posłała mu wyzywające spojrzenie. - No jaka? Powiedz!

- Nieznośna!

- Ty wcale nie jesteś lepszy, że nie wspomnę o tym przeklętym odludziu!

Wypuścił głośno powietrze i przesunął dłonią po włosach.

- Powiesz mi wreszcie, o co tak naprawdę poszło? Niczego nie naprawię, jeśli nie dowiem się, co jest źle.

Popatrzyła na niego z wahaniem.

- Idzie o to, że... marna ze mnie tancerka. W ogóle nie umiem tańczyć, a co dopiero...

Prychnął z niedowierzaniem.

- Chciałaś wiedzieć, więc ci mówię - mruknęła urażona.

- Słowo daję, nie mam pojęcia, co zrobić, żebyś choć raz była

zadowolona – oznajmił chłodno.

– Ciebie też niełatwo zadowolić – odpaliła ze złością.

Nie spodobał mu się jej ton. Miarka się przebrała.

Podszedł do niej zdecydowanym krokiem i chwycił ją mocno za ramię.

– Dość tych fochów, Margot. Próbujemy ci dogodzić na wszelkie możliwe sposoby, a ty wciąż zachowujesz się, jakby działa ci się ogromna krzywda. Czy ci się to podoba, czy nie, jesteś moją żoną, więc może zamiast nieustannie się buntować i szukać dziury w całym, powinnaś raczej postarać się przywyknąć do nowego życia. I nowych ludzi wokół siebie. Nazywasz się MacKenzie, jak my wszyscy w Balhaire, i jesteś teraz Szkotką. Jedną z nas.

– Niedoczekanie! – zawołała hardo. – Nigdy nie będę Szkotką! Ani jedną z was!

Arran zwykle szczyił się swoim męstwem. Sądził, że jest nieustraszony i niewzruszony jak skała, ale przy Margot często czuł się bezradny. Miał do niej tak wielką słabość, że zazwyczaj gotów był wybaczyć jej wszystko. Była rozkapryszona, krnąbrna i wyniosła. Przez większość czasu miał z nią same utrapienia. A jednak nie potrafił długo się na nią bocyć. Była bardzo młoda i bezbronna. Czuła się obco w obcym kraju. Nietrudno było to zrozumieć.

Ujął jej twarz w dłonie i pogłaskał ją po policzku.

– Obojgu nam nie jest łatwo – powiedział najspokojniej, jak umiał. – Proszę... błagam cię, nie utrudniaj nam życia jeszcze bardziej.

– Wątpię, by mogło być jeszcze trudniej niż jest – odparła, ocierając z oka pojedynczą łzę. Potem zacisnęła powieki i uniosła ku niemu twarz.

Nie wiedział, co zrobić, więc ją pocałował. Potem zaniósł ją do łóżka, rozebrał i postarał się, żeby poczuła się doceniona, wyjątkowa i godna pożądania.

Kiedy wplotła mu palce we włosy i wzdychała z rozkoszy, pomyślał, że choć to jedno ich łączy.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

*Balhair, 1710 rok*

Arran niewielu rzeczy był tak pewien, jak tego, że Anglikom i kobietom nigdy nie należy do końca ufać. Nie zdziwił się więc, gdy zbudzony w środku nocy jakimś hałasem, przyłapał żonę na grzebaniu w jego rzeczach. Choć ogień w kominku niemal całkiem wygasł, a izba była pogrążona w ciemnościach, widział ją wyraźnie na tle okna. Stała przy komodzie luźno owinięta w koc.

Przez moment przyglądał jej się zachłannie, gdy wspięła się na palce, żeby obejrzeć wierzch kredensu. Włosy opadały jej na plecy, sięgając niemal do uda. Wypielegnowane palce dotykały kolejno różnych przedmiotów, aż natrafiły na odpieczętowany list od przywódcy klanu MacLearych. Obracała go chwilę w dłoni, jakby rozważała, czy powinna rozwinąć papier i odczytać wiadomość.

Wstając bezszelestnie z łóżka, pomyślał, nie po raz pierwszy tego dnia, że jest urzekająco piękna. Albo wyładniała, albo w ciągu ostatnich trzech lat zwyczajnie zapomniał, jak jest urodziwa.

Podszedł bliżej i stanąwszy tuż za jej plecami, splótł ręce na ramionach.

- Co robisz? - zapytał spokojnie.

Podsłoczyła jak na rozżarzonych węglach i upuściła list.

- Nie mogłam zasnąć - odparła, odwracając się w jego stronę.

- Czyżby?

Ni stąd, ni zowąd podsunęła mu pod nos złoty łańcuch.

- Dla kogo te błyskotki?

- Dla ciebie, *leannan* - odrzekł bez mrugnięcia okiem, w międzyczasie sięgając po list. Położył go na komodzie pod parą rękawiczek.

- Dla mnie? - prychnęła z drwiną. - Paradne.

- A dla kogóż by innego? - skłamał gładko, wyjmując jej z ręki naszyjnik. W rzeczywistości wymienił go za pistolet.

- Może dla tej dziewczki, która siedziała ci wieczorem na kolanach? - podsunęła, unosząc brew.

Usiłuje dowieść, że jest zazdrosna? - pomyślał z niedowierzaniem i zmarszczył brwi.

- Przypomnij sobie, co robiliśmy kilka godzin temu. Czy kochałbym się z tobą w ten sposób, gdybym zamierzał obsypywać złotem inne kobiety? - Odwrócił ją plecami do siebie i odgarnął jej włosy. Potem włożył jej naszyjnik i cmoknął ją w kark. - Zatrzymaj go. Jest twój.

- Nie chcę - powiedziała, ale nie zdjęła łańcucha z szyi.

Nie oponowała, gdy ściągnął z niej koc, objął ją ramieniem i położył jej rękę na brzuchu. Oparła się o niego całym ciężarem i przesunęła dłońmi po jego udach. Była inna niż kiedyś. Rozumiała, jak działa na niego jej dotyk.

Zaprowadził ją do łóżka i opadł na wznak na posłanie, pociągając ją za sobą. Usiadła na nim i położyła mu ręce na torsie.

- Jesteś nienasycony - mruknęła cicho.

Nie zaprzeczył. Zawsze miał spory apetyt na życie. Pogłaskał ją wierzchem dłoni po policzku. Posłała mu frywolny uśmiech i przechyliła głowę, żeby pocałować go w rękę. Tym uśmiechem mogłaby zawrócić w głowie każdemu mężczyźnie. Była piękna, ale nie wiedzieć czemu, odczuwał ból, gdy na nią patrzył.

Westchnęła i zamknęła oczy, kiedy się zespolili.

Nie była z nim szczerą. Odkąd pokazała się ponownie w Balhaire, kłamała jak z nut. Nadal nie wiedział, po co wróciła. Cóż, będzie musiał jakoś to z niej wyciągnąć... W głębi duszy chciał wierzyć, że przyjechała, bo jej na nim zależało, że naprawdę pragnęła ratować ich małżeństwo. Wiele ich dzieliło, ale był człowiekiem honoru i nie miał zwyczaju łamać danego słowa. Choć nie spędzili ze sobą zbyt wiele czasu, przywiązał się do swojej młodej, nieśmiałej żony. Darzył ją szczerym uczuciem. Pomimo trudnych początków.

Nie było sensu się oszukiwać. Nie wróciła dla niego. Wcale nie miała zamiaru naprawiać tego, co się między nimi zepsuło.

Ani teraz, ani nigdy. Była tu z jakiegoś innego powodu. Co gorsza, przyjdzie mu dociekać, co ją skłoniło do powrotu. Chyba wolałby nie znać jej motywów. Czy kiedykolwiek będzie umiał znów jej zaufać? Prawdopodobnie nie. Pomyśli o tym jutro. W tym momencie zajmowało go coś zupełnie innego.

- Nadal twierdzisz, że jestem nieznośna? - zapytała, pochylając się ku jego twarzy. - Czy teraz wydają ci się wyniosła?

- Nie gadaj tyle, kobieto - uciszył ją i zaczął gwałtowniej się w niej poruszać. Tym razem uważnie jej się przyglądał. Nie potrafił odmówić sobie tej przyjemności. Wcześniej pozwolił jej wyczytać ze swoich oczu prawdę. Teraz sam czegoś wypatrywał. Czego? Nie miał pojęcia. Jakiejś emocji, czegokolwiek, co pozwoliłoby mu odczytać jej intencje. Rychło jednak wszelkie myśli uleciały mu z głowy. Dał się ponieść chwili. Zapomniał już, ile dla niego znaczy dotyk kobiety. Jej dotyk. W którymś momencie w wąłym świetle z kominka dostrzegł to, czego szukał. Na jej twarzy pojawił się smutek. A może raczej żal?

Żal za czym? Za nim? Za tym, co utracili? Długo nie dawało mu to spokoju. Nie mógł przestać o tym myśleć.

Rankiem, jeszcze przed świtem, wyplątał się z jej objęć. Nie odsunęła się od niego nawet na minutę. Oplotła go sobą, jakby obawiała się wypuścić go z rąk.

Nie chciał budzić służby, więc umył się pobieżnie w zimnej wodzie. Kiedy wrócił, Margot nadal spała. Wyglądała niewinnie jak anioł.

Westchnął i podszedł do komody, żeby zabrać ukryty pod rękawiczkami list. W progu natknął się na młodego sługę, który chrapał w najlepsze na podłodze. Jock, jak zwykle zapobiegliwy, przysłał go pewnie na wypadek, gdyby lady MacKenzie próbowała poderżnąć mężowi gardło. Uśmiechnął się mimowolnie. Jego kuzyn ufał kobietom i Anglikom jeszcze mniej niż on sam.

Pochylił się i potrząsnął lekko młokosem. Chłopak poderwał się, jakby tuż nad uchem wypaliła mu armata.

- Do usług, panie - odezwał się, mrugając oczami.

- Wracaj do łóżka. Lady MacKenzie jeszcze śpi.

Służący podniósł płaszcz, na którym leżał, i powlókł się niezgrabnie w stronę schodów.

Tymczasem Arran wszedł do gabinetu, który przylegał do gotowni. Usiadł za biurkiem obłożonym papierami i księgami rachunkowymi. Ostatnio miał mnóstwo pracy. Przygotowywał rejs do Francji, gdzie miał wymienić wełnę na tkaniny i wino, a te z kolei przewieźć do Irlandii i sprzedać lub zamienić na wyroby ze skóry.

Po jakimś czasie w drzwiach stanął Fergus. Miał zaczerwienione oczy i włosy w kompletnym nieładzie.

- Podać śniadanie? - zapytał zwięźle.

- Tak, zjem tutaj. I przyślij mi Jocka.

Kuzyn pojawił się w ciągu kwadransa. W odróżnieniu od Fergususa wyglądał świeżo i sprawiał wrażenie wypoczętego.

- Jak się miewasz, wodzu, w ten piękny poranek? - zapytał z uśmiechem. - Sądziłem, że o tej porze wciąż będziesz wylegiwał się w łóżku.

- Mógłbym skończyć z poderzniętym gardłem. Wolałem nie ryzykować.

Jock roześmiał się i usiadł naprzeciw niego na krześle.

- Co mamy na dziś w planach? - spytał Arran.

- Naukę walki wręcz.

MacKenzie natychmiast się ożywił. Wszystkiego, co umiał, nauczył się od ojca, a teraz szkolił innych. Żołnierze, którzy wychodzili spod jego ręki, cieszyli się dobrą sławą w całym królestwie.

- Ech, nie pogardzę porządną burdą... - wyznał, przecierając oczy. - Chętnie bym kogoś sprął. - Nic tak dobrze nie robi na samopoczucie jak solidna bójka, dodał w myślach. Zwłaszcza kiedy człowiek jest w podłym nastroju albo kiedy ma zamęt w głowie. A tak właśnie się czuł. Targały nim sprzeczne emocje, głównie złość i rozczarowanie z domieszką nadziei i fizycznego zaspokojenia. Świat byłby o wiele lepszy, gdyby kobiety rzeczywiście były słabszą płcią, życzliwą i uległą, a nie zdradziecką i niebezpieczną.

- Wzięłaś Anglików na spytki? - zapytał rzeczowo.

- Wziąłem. Niestety nie byli szczególnie rozmowni.

- A pokojówka?

Jock machnął ręką, jakby opędzał się od muchy.



- Durna dziewczka. W dodatku krnąbrna. - Wykrzywił lekko usta. - Co o tym wszystkim sądzisz?

- Sam nie wiem, co mam sądzić - przyznał Arran. - Westchnął i wyjął z kieszeni list od MacLeary'ego. - Przyłapałem Margot w nocy na grzebaniu w moich rzeczach. Miała to w ręku, ale nie zdążyła przeczytać.

- Myszkowała? Coś podobnego...

- Są tylko dwie możliwości. Ojciec przegnał ją z domu albo przysłał do Balhaire z jakiegoś konkretnego powodu. Rozpieszczona i nawykła do luksusów kobieta nie wybrałaby się w tak daleką podróż z własnej woli. Tak czy owak, jestem pewien, że to nie był jej pomysł.

Jock podrapał się po brodzie.

- Zgoda, ale po co stary Norwood miałby ją tu wysłać? - Spojrzał na wiadomość od przywódcy zaprzyjaźnionego klanu. Wiedział, co zawierała. MacLeary próbował ich ostrzec po tym, jak dotarli do niego niepokojące wieści z Anglii. Nowe porozumienie pomiędzy Anglią i Szkocją oraz przytłaczająco wysokie podatki nie przypadły do gustu niektórym wpływowym jakobitom<sup>[8]</sup>. Jeśli wierzyć plotkom, owi niezadowoleni wielmoża knuli spisek, który miał przywrócić do władzy Jamesa Stuarta. Od podpisania traktatu trzy lata temu tego rodzaju pogłoski były na porządku dziennym. W doniesieniach MacLeary'ego nie byłoby więc niczego szczególnego, gdyby nie jeden znaczący szczegół. Otóż, wśród spiskujących przywódców klanów wymieniało także Arrana. Nigdy wcześniej nikt nie łączył nazwiska MacKenzie z ruchem jakobitów.

Treść listu zaskoczyła Arrana. Starał się żyć w zgodzie zarówno ze zwolennikami niezawisłości Szkocji, jak i z tymi, którzy podobnie jak on, czerpali korzyści z unii z Anglią. Nie był miłośnikiem Anglików i nigdy im nie ufał, ale jego priorytetem było zapewnienie godnego życia swoim ludziom. I udawało mu się to właśnie dzięki owemu przymierzu. Prowadził handel wymienny z Francuzami i Irlandczykami, hodował bydło i owce, które sprzedawał na targach w Glasgow i Edynburgu. Ziemie wokół Balhaire były na tyle urodzajne, że mógł bez trudu wyżywić cały klan. Tak czy owak, nigdy nie popierał jakobitów i nie pojmo-

wał, dlaczego raptem zaczął za takiego uchodzić. Bez swojej wiedzy i zgody. Coś było na rzeczy. I z pewnością nie mogło to być nic dobrego.

Służąca przyniosła tacę z jedzeniem i postawiła ją na stole.

- Nawet się nie domyślam, co knuje mój „szacowny” teść - rzekł Arran pomiędzy jednym kęsem a drugim. - Ale jestem przekonany, że nagłe pojawienie się mojej żony i jej „miłosne” deklaracje nie są dziełem przypadku. Zważ, że wróciła niedługo po tym, jak dostałem list od MacLeary’ego. Musiałbym być kompletnym głupcem, by uwierzyć, że to cudowny zbieg okoliczności.

- Racja. Stary ani chybi przysłał ją z jakąś misją. Tylko jaką?

- Dowiem się. Dbałem o nią, jak umiałem. Kiedy wyjechała, posyłałem jej pieniądze. Nigdy nie powiedziałem złego słowa, ani przeciwko niej, ani przeciw jej ojcu. Bóg raczy wiedzieć, jakie miał powody.

Jock wzruszył ramionami.

- Może to jednak był zbieg okoliczności? Może stary uznał, że miejsce żony jest przy mężu, i przepędził ją z domu.

- Nie wydaje mi się. Gdyby tak było, nie czekałby z tym trzy lata. Wygnałby ją już dawno. Chodzi o coś więcej. I to, że nagle uznano mnie za jakobitę... Tuż przed jej przyjazdem... Powiadam ci, ta sprawa cuchnie na milę. Będą z tego kłopoty.

- Co zamierzasz?

MacKenzie odłożył widelec i spojrzał w okno. Nad wzgórzami właśnie wschodziło słońce. Owszem, mile wspominał ubiegłą noc, ale nie ufał żonie. Jej nieoczekiwany powrót do Szkocji zwyczajnie nie miał sensu. Poza tym coś jeszcze nie dawało mu spokoju. Smutek, który widział wczoraj w jej oczach. Czyżby żałowała tego, co zrobiła trzy lata temu? A może żałowała, że kazaano jej wbić mu nóż w plecy? I że będzie musiała to zrobić?

- Kiedy ostatni raz nadeszły wieści od Dermida? - zwrócił się do kuzyna. Mówili o człowieku, którego najął, by ten miał baczenie na Margot podczas jej pobytu w Anglii.

- Będzie jakiś miesiąc temu - odparł po chwili namysłu Jock. - Może trochę więcej.

- Dziwne, że o niczym nas nie uprzedził. Powinien był wie-

dzieć, co się święci. Niemożliwe, żeby umknęły mu przygotowania Margot do wyjazdu.

- W rzeczy samej. To do niego niepodobne. Co chcesz zrobić?

Arran odłożył chleb i przesunął ręką po skroni. Ogarnęły go złe przeczucia.

- Odeślę ją do drogiego papy - oznajmił, wstając zza biurka. - Dasz jej naszych czterech najlepszych ludzi. Odwiozą ją i jej fircyków do Anglii. Sam jej to zakomunikuję. Przejrzałeś jej rzeczy?

Jock westchnął i także podniósł się z krzesła.

- Tak, ale musiałem wpiernić pokojówkę. Pogryzła mnie, piekielnica jedna. Dasz wiarę? - Na dowód uniósł dłoń, która istotnie nosiła ślady zębów. Potem pokręcił z niedowierzaniem głową. Biedaczysko nigdy nie radził sobie z kobietami. - Niczego nie znalazłem - dodał bardziej rzeczowym tonem. - Poza fatałaszki. Całym mnóstwem fatałazzków. I butów. Powiedz mi, na co komu tyle butów. Jak to możliwe, że jednej babie potrzeba trzydziestu par trzewików? Zawracanie głowy, ot co. - Machnął ręką i wyszedł, zostawiając Arrana samego.

MacKenzie podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. *Dlaczego, Margot? Czemu znów mi to robisz? Nie dość ci krzywd, które mi wyrządziłaś? Za mało przez ciebie wycierpiałem?*

Z czasem łatwiej mu było wspominać dzień, w którym od niego uciekła. Miał na to całe trzy lata, ale bywało, że ból stawał się nie do zniesienia. Jakby ktoś posypywał mu otwartą ranę solą.

W głębi duszy nawet nie był wtedy zaskoczony. Kilka dni wcześniej znów się pokłócili. Jak zwykle o to samo. Jego żona nie potrafiła zadomowić się w Balhaire. Wyobrażał sobie, że z dnia na dzień stanie się Szkotką. Owszem, czyniła pewne próby, lecz za każdym razem zabierała się do tego w niewłaściwy sposób. Cały kłopot polegał na tym, że uważała się za wyjątkową i patrzyła na wszystkich z góry. Wydawało jej się, że pochodzi z bardziej cywilizowanego świata i ma prawo się wywyższać. Przy takim nastawieniu trudno było oczekiwać, by ktokolwiek ją polubił. Ludzie odpłacali jej pięknym za nadobne. Szkoda, że nie widział tego wcześniej. Poznał ją za to od innej, lep-

szej strony, tej, której nie mógł się oprzeć, za którą ją pokochał.

Miał też jednak wiele miłych wspomnień. Zapamiętał szczególnie pewien zimowy poranek. Zaprowadził ją wówczas do zagrody dla psów i pokazał jej szczeniaki. Była zachwycona. Usiedli razem na słomie, śmiali się i przyglądali baraszkującym psiakom. Opowiedziała mu o piesku, którego miała w dzieciństwie, o tym, jak go ubierała i wozila po ogrodzie w wózku dla lalek. Było więcej takich chwil, chwil, w których cieszyli się swoim towarzystwem i było im ze sobą dobrze. W takich momentach miał nadzieję, że uda im się zbudować wspólną przyszłość, że mimo wszystko będą razem szczęśliwi.

Ale ona nie podzielała jego optymizmu. Przed ostatnią awanturą przez kilka dni nie było go w domu. Kiedy zmęczony i głodny wrócił z polowania, zastał ją we łzach. Nienawidził jej łez. Czuł się bezradny, gdy płakała, a płakała niemal bez przerwy.

- Chcę wracać do domu - oznajmiła, szlochając. - Nie podoba mi się tu i nie mam zamiaru tak dłużej żyć.

- Chcesz wracać, wracaj, droga wolna - warknął w odpowiedzi. - Nie będę cię zatrzymywał. Pewnie wszystkim nam to wyjdzie na dobre. - Wybiegł z izby, trzaskając drzwiami wściekły na nią i na siebie.

Naturalnie wcale tak nie myślał. Powiedział to w złości i niemal od razu tego pożałował. Postąpił bezmyślnie i nierozważnie, bo stracił nad sobą panowanie. Poza tym sądził, że Margot traktuje przysięgę małżeńską równie poważnie jak on. Wydawało mu się, że mają mnóstwo czasu na to, żeby uporać się z tym, co ich dzieli. Nie wierzył, że jego żona naprawdę zabierze swoje rzeczy i wyjedzie. Niestety tak właśnie zrobiła.

Wyjechała, ani razu się nie obejrząwszy. Zraniła go w najgorszy możliwy sposób.

Wiedział, że nie zdoła o tym zapomnieć. Uświadomił sobie coś jeszcze. Od jej wyjazdu upłynęły trzy lata. Lata obojętności i milczenia. Czas na pojednanie dawno minął. A nawet gdyby nie było dla nich za późno, postanowił, że już nigdy nie pozwoli zrobić z siebie głupca.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lady MacKenzie obudziła się rano i natychmiast stwierdziła, że nie jest sama. Jakaś jejmość z ponurą miną odsłoniła okna, wpuszczając do komnaty snop światła, po czym oznajmiła, że przygotowała jej kąpiel. Pewnie Arran się o to postarał.

- Dziękuję - powiedziała, osłoniwszy oczy przed słońcem. - Czy może pani przysłać do mnie pokojówkę?

Kobieta wymamrotała coś pod nosem i wyszła.

Margot zaczekała, aż zamkną się za nią drzwi, i usiadła. Była wyczerpana, cudownie obolała i mocno oszołomiona.

Nie spodziewała się takiego przyjęcia. Arran pokazał jej się z zupełnie innej strony i kompletnie zbił ją z pantafelku. Dał upust gwałtownym emocjom, nawet nie próbując ich okiełznać. Gniew, frustracja i niepohamowana namiętność parowały z niego każdym porem, były niemal namacalne. Nie znała go takim. Obchodził się z nią dość gruboskórnie, ale jej to w ogóle nie przeszkadzało. Przeciwnie, sprawił, że jej ciało obudziło się do życia z długiego snu.

Arran był teraz zupełnie inny. Starszy i mądrzejszy. I bardziej pewny siebie. Bez względu na to, co oznaczał jego czuły gest, Margot nie była w stanie o nim zapomnieć. Rozpamiętywała go na okrągło, bo chwycił ją za serce i obudził w niej uczucia, którym nie potrafiła stawić czoła - dojmującemu smutkowi i żalowi. Tak, żałowała tego, że uciekła od męża. Żałowała też wielu innych rzeczy. Ubolewała nad tym, że nie potrafiła przeciwstawić się woli ojca, że pozwoliła mu się zmusić do małżeństwa i że po ślubie jej życiem kierowały wyłącznie negatywne emocje.

Nie odeszła od Arrana dlatego, że go nienawidziła. Przeprowadzka do Szkocji okazała się trudna. Margot nie wiedziała nic o życiu ani o obowiązkach żony. Nie zdołała z nikim się zaprzyjaźnić. Miała wrażenie, że cały klan traktuje ją jak intruza, a jej

mąż zupełnie tego nie dostrzega.

W którymś momencie czara goryczy się przelała. Oboje wrzeszczeli i powiedzieli sobie okropne rzeczy. Próbowwała mu wytłumaczyć, dlaczego jest nieszczęśliwa. Oznajmiła, że czuje się jak samotna łódź dryfująca na środku oceanu, bez nadziei na ratunek.

- Boże miej nas w opiece - skwitował wówczas Arran. - Bo w tym małżeństwie są dwie samotnie dryfujące łodzie.

Nie zapytała, co miał na myśli. Usłyszała i wykrzyczała wówczas zbyt wiele przykrych rzeczy. Po tej awanturze straciła cierpliwość i wyjechała. Wbrew temu, co twierdził MacKenzie, tak naprawdę to wcale nie była ucieczka. Kiedy powóz przejeżdżał przez bramę, jej mąż wracał właśnie do domu. On i jego ludzie zatrzymali konie, żeby ją przepuścić. Arran przyglądał jej się z kamiennym wyrazem twarzy i zaciśniętą szczęką. Patrzył, jak odjeżdżała, i nic nie zrobił. Nie kiwnął palcem, żeby ją zatrzymać. Widok jego nieruchomej sylwetki w siodle utkwiał jej w pamięci na zawsze. Uznała, że się ucieszył, ba, może nawet mu ulżyło, że wreszcie się jej pozbył.

Gdy zawrócił konia i pognał w stronę zamku, przycisnęła twarz do skórzanej kanapy i zalała się łzami. Złamał jej serce. Prawdę mówiąc, sama nie wiedziała, czego chce. Nie lubiła prostego życia w Szkocji i rozpaczliwie tęskniła za domem. Marzyła o tym, żeby znaleźć się jak najdalej od Balhaire, a jednocześnie pragnęła, by mąż o nią walczył.

Po powrocie do Anglii w końcu zdołała stłumić uczucia, jakie żywiła do męża. Nie wyzbyła się ich, zepchnęła je tylko do podświadomości i zajęła się własnym życiem.

Ojciec nie był zadowolony, ale nie robił problemów. Przeciwnie, wykazał się zaskakującym zrozumieniem.

- Wiadomo nie od dziś - stwierdził autorytatywnie - Szkoci, a zwłaszcza górale, to banda dzikusów.

Banda dzikusów i barbarzyńców, pomyślała z przekąsem, ale kiedy wydawałeś mnie za jednego z nich, jakoś ci to nie przeszkadzało.

- Najważniejsze, że wypełniłaś swoją powinność - dodał i uznał sprawę za niebyłą. Nie zdziwiła się. Pozyskał nowe zie-

mie w Szkocji i to mu wystarczyło. Los i szczęście jedynaczki najwyraźniej niewiele go obchodziły.

Po tej rozmowie pozwolił jej robić wszystko, na co tylko miała ochotę. Dostała zatem to, czego chciała, zamieszkała ponownie w rodzinnym domu, miała pieniądze i całkowitą swobodę. Szkołuł w tym, że nie wiedziała, co z nią zrobić. Zaczęła prowadzić bujne życie towarzyskie, urządziła przyjęcia, chodziła na bale i flirtowała z mężczyznami.

Westchnęła i oparła się o poduszkę. Serce zabiło jej żwawiej na wspomnienie minionej nocy. Zatliła się w niej iskierka nadziei. Oboje byli teraz starsi i mądrzejsi. Może jednak uda im się naprawić wzajemne relacje. Chciałaby, żeby tak się stało. Ale czy to możliwe? Arran żywił do niej urazę. Pokazał to wczoraj dobitnie.

A jeżeli pogłoski o jego udziale w spisku okażą się prawdziwe? Nie chciała, żeby stało mu się coś złego. Nie mogła znieść myśli, że mógłby skończyć na szubienicy.

Decyzja o jej powrocie do Balhaire zapadła tak szybko, że właściwie nie umiała powiedzieć, jakie były jej rzeczywiste powody. Zaczęło się od Bryce'a, jej najstarszego brata. Zagadnął ją pewnego wieczoru, kiedy wróciła do domu z proszonej kolacji z przyjaciółmi.

Nie miał na głowie peruki i wyglądał dość ponuro.

- Ojciec chce z tobą mówić - poinformował, pociągając ją za sobą w stronę biblioteki.

Lord Norwood siedział w fotelu z kocem na kolanach i kieliszkiem porto w dłoni. Uśmiechnął się dobrotliwie, gdy weszła do pokoju. Jej ukochany przyrodni brat, Knox, stał przy oknie. On także próbował się uśmiechnąć, tyle że z marnym skutkiem. W końcu spojrzał na nią przelotnie i szybko spuścił wzrok. Wtedy zrozumiała, że nie będzie to przyjemna rozmowa. Była niemal pewna, że nie spotka jej nic dobrego.

- Nareszcie jesteś, Margot - odezwał się ojciec. - Czekaliśmy na ciebie. Zameżnej kobiecie nie przystoi wracać tak późno do domu.

- Dobry wieczór, papo. - Pochyliła się i ucałowała go w policzek.

- Najwyższa pora, byś wróciła do męża - oznajmił bez wstę-  
pów.

Margot spojrzała na niego z rosnącym niepokojem.

- Słucham?

- Wracasz do męża - powtórzył zniecierpliwiony.

Zaniemówiła na moment.

- Dlaczego? - wykrztusiła, gdy odzyskała mowę. - Dobrze  
wiesz, że nie mogę wrócić!

- Nie unoś się. Możesz i wrócisz. Jesteś mi tam potrzebna.

- Potrzebna? Niby do czego? To jakiś nonsens...

- Twój pozał się Boże mąż jest zdrajcą! - Powiedział to tak,  
jakby to była jej wina. Jakby to ona, wbrew jego woli, wyszła za  
niewłaściwego człowieka i sprowadziła do domu nieszczęście.

- Co takiego? Wykluczone. To nieprawda. Musiała zajść jakaś  
pomyłka.

- Pomyłka? - odezwał się Bryce. - To ty jesteś jedną wielką  
pomyłką - dodał z jadem w głosie. - Żadnego z ciebie pożytku.  
Uciekłaś od męża i z płaczem przybiegłaś do tatusia!

- Bryce! - upomniał syna stary Norwood. Podniósł się z miej-  
sca i podszedł do kredensu. Napełniwszy kieliszek winem, po-  
dał go córce. - Wypij to i uspokój się.

Margot zignorowała jego „pojednawczy” gest i założyła rękę  
na ramiona.

- Kto rozsiewa te odrażające plotki? - zapytała wzburzona.

- To informacje z wiarygodnego źródła. Nie rób takiej zasko-  
czonej miny. Uprzedzałem cię, że twoja ucieczka może być  
brzemienna w skutkach.

- Uprzedzałeś mnie? Nie przypominam sobie. Nazwałeś Szotów  
dzikusami i na tym się skończyło.

- Decyzja o twoim zamążpójściu nie była łatwa - ciągnął oj-  
ciec, jakby jej nie usłyszał. - Dobrze ją przemyślałem. Narazi-  
łem na szwank swoją reputację. Dla ciebie i twoich dzieci. Porę-  
czyłem za MacKenziego przed królową. Za niego i za wszyst-  
kich jego przeklętych rodaków. Moje zdanie zaważyło na trakta-  
cie pomiędzy Anglią i Szkocją. Gdyby nie to małżeństwo, pew-  
nie w ogóle nie doszłoby do jego podpisania. Oddałem rękę je-  
dynaczki dla dobra kraju. A teraz twój mąż próbuje mnie znisz-



czyć.

Boże drogi, pomyślała Margot. Ojciec ma mnie za kompletną idiotkę. Przemawia do mnie, jakbym nie widziała, co się dookoła mnie dzieje.

- O ile mnie pamięć nie myli, zrobiłeś to przede wszystkim dla własnych korzyści - powiedziała hardo. Mogą narzucić jej swoją wolę, ale nie pozwoli traktować się, jakby nie miała ani odrobiny oleju w głowie. - Tak w każdym razie mówiłeś tuż przed moim ślubem. Twierdziłeś, że robisz to dla rodziny. Ani słowem nie wspomniałeś o dobru kraju. Widzę, że zmieniłeś zdanie.

- Z tego związku płynęło wiele korzyści. Dlatego na niego przystałem. Dlatego sama zgodziłaś się wyjść za MacKenziego.

- Zgodziłam się?! Przedni dowcip. Na nic się nie zgodziłam! Zmusiłeś mnie do tego małżeństwa. Bo przecież jedyną powinnością kobiety jest rodzić dzieci temu, kogo wskaże jej ojciec!

- Owszem, od tego właśnie są kobiety! Tyle że ty zapomniałaś o obowiązku i wróciłaś do domu. Powinienem być od razu odeśłać cię z powrotem do Szkocji. Okazałem się dla ciebie stanowczo zbyt pobłażliwy. Rozpieszczałem cię przez całe życie. Twoja ucieczka najwyraźniej przysporzyła nam kłopotów, więc będziesz musiała wypić piwo, którego nawarzyłaś. Nie masz wyboru, naprawisz szkody, które wyrządziłaś rodzinie.

Poczuła, że robi jej się słabo.

- Jakie szkody?

- Jakie szkody, jakie szkody? - powtórzył Bryce, naśladowując jej głos. - Zrobiłaś z męża pośmiewisko. Wszedł przez ciebie na durnia przed własnymi ludźmi. Nie przyszło ci to do tej puste głowy, że zechce się zemścić? Jeśli nie, to wiedz, że najwyraźniej zechciał. Sprzymierzył się z Francuzami. Zamierzają najechać wspólnie na Anglię i przywrócić na tron Stuarta. MacKenzie chcą odsunąć od władzy królową Annę i posadzić na jej miejscu katolika! W dodatku wespół z najgorszym wrogiem Anglii! Jesteś w stanie objąć to swoim malutkim rozumem?!

To, co mówili, w ogóle nie miało sensu.

- Arran szkoli żołnierzy dla królowej Anny. Jakie macie dowody jego rzekomej zdrady?

- Ależ ty jesteś durna! - warknął Bryce.

- Bryce! Hamuj się! - zganiał go Knox.

Ojciec wziął ją za rękę.

- Nie musisz wszystkiego rozumieć, gołąbeczko - stwierdził protekcjonalnym tonem. - Zostawiłaś go. Prawdopodobnie uznał, że twoja ucieczka zwalnia go z umowy. Anglik nie złamałby danego słowa, ale twój mąż to Szkot. Nie należy się spodziewać, że postępuje jak człowiek honoru. Jak sądzisz, kto zapłaci za jego przewiny?

- Ja? - zapytała niepewnie. Miała kompletny mętlik w głowie.

- Ty?! - roześmiał się szyderczo Bryce. - A kim ty niby jesteś, idiotko?!

- Nie, złotko - kontynuował spokojnie lord Norwood. - To mnie przypadnie rola kozła ofiarnego. W końcu to ja sprowadziłem go do kraju. Zapłaci za to cała nasza rodzina. Jak nic oskarżą nas o udział w spisku. Stracimy wszystko. Jeśli nam nie pomożesz, mogą mnie nawet powiesić. Tylko ty możesz się dowiedzieć, co planuje MacKenzie. Nie mamy chwili do stracenia. Wyjedziesz jak najrychlej i nakłonisz go, żeby ci o wszystkim powiedział.

Odsunęła się i spróbowała zebrać myśli.

- Nawet jeśli wasze oskarżenia są prawdziwe, Arran niczego mi nie powie. Gardzi mną. Nie mam pewności, czy w ogóle będzie chciał mnie widzieć. Od trzech lat nie odezwał się do mnie ani słowem.

- A czyja to niby wina? - wtrącił Bryce. - Na jego miejscu też nie chciałbym mieć nic wspólnego z taką żoną.

- Módl się, żeby jednak coś ci powiedział - rzekł ojciec, ścisnąwszy ją boleśnie za ramię. - Biada nam, jeśli zawiedziesz. Jesteś naszą jedyną nadzieją. Rozumiesz powagę sytuacji?

- Nie, niczego nie rozumiem. Nie wierzę w ani jedno wasze słowo. Arran nie zrobiłby czegoś takiego, a nawet gdyby, to z pewnością niczego mi nie powie. Nie jest głupi...!

Tym razem to Bryce złapał ją za ramiona i mocno nią potrząsnął.

- W takim razie sama znajdziesz sposób, żeby zdobyć potrzebne nam informacje. Nikt nie prosi cię o zgodę, zrobisz, co każemy, albo pożałujesz. Łżyj, kradnij, szpieguj, jeśli trzeba,

a najlepiej zrób to, do czego wy, kobiety, jesteście stworzone, rozłóż przed nim nogi! Może wtedy zmięknie.

- Dosyć tego, Bryce! - ryknął Knox, po czym odepchnął go od siostry.

Margot do tej pory wzdragająca się, wspominając tę rozmowę. Przekonała się, jak niewiele znaczy dla ojca i Bryce'a. Jej los zupełnie ich nie obchodził. Była jedynie środkiem do celu.

Tylko Knox był jej życzliwy. Przyszedł do niej po całej awanturze, żeby ją uspokoić.

- Wiesz, że będę okrutnie za tobą tęsknić - powiedział, ściskając ją za rękę.

Kochała go najbardziej z całej rodziny. Byli w tym samym wieku, mieli tę samą piastunkę i razem się wychowali. Łączyła ich mocna więź, podobna do tej, jaka często łączy bliźnięta. W oczach świata Knox był bękartem, bo jego matka była kochanką, a nie żoną ojca. Dla Margot nie miało to najmniejszego znaczenia.

- Nie będziesz tęsknić, bo nigdzie się nie wybieram - oznajmiła z uporem. - Kto rozsiewa te paskudne plotki o MacKenziem? Przecież to nie może być prawda.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że ojciec spotkał się z sir Worthingiem i z sir Dunnem po ich powrocie z Londynu. Był potem bardzo wzburzony. To oni mają eskortować cię do Balhaire.

- Nie ma mowy. Za nic tam nie pojedę.

Objął ją ramieniem.

- Nie masz wyboru, moja droga. Nie wiadomo, czy to, co o nim mówią, jest prawdą. Być może nie. Tak czy owak, trzeba się upewnić, a nie może tego zrobić nikt poza tobą. Jeśli pojedę ja albo Bryce, twój mąż nie zechce z nami rozmawiać. Pewnie nawet nie wpuści nas za próg. Niestety to musisz być ty.

Boże Przenajświętszy. Miał rację.

- Popatrz, przyniosłem ci coś. - Podał jej ozdobne pudełko.

Otworzyła je i rozwinęła srebrny papier, na którym leżały rękawiczki z kozłej skóry.

- Knox, dziękuję, są piękne! - zawołała wzruszona.

- Niech MacKenzie wie, że dobrze o ciebie dbaliśmy. - Przytulił ją i otarł jej z oczu łzy. - To nie takie trudne, jak ci się wydaje,

zobaczysz.

- Nie znasz go. Mój widok z pewnością go nie ucieszy. Poza tym nie brak mu rozumu. Domyśli się, że coś jest na rzeczy. Za nic nie uwierzy, że za moim przyjazdem nic się nie kryje.

- Nie doceniasz swojej urody, droga siostrzo. Mężczyźni to mało skomplikowane istoty. Owszem, pewnie z początku będzie zły. Przez jakiś czas będzie się pieklił, ale koniec końców, spuści z tonu. Jak każdy mężczyzna, jedyne, czego w życiu pragnie, to zawsze być panem sytuacji i mieć u boku kobietę, która go za to podziwia. Jeżeli spełnisz jego oczekiwania w tej mierze, da ci wszystko, czego tylko zapragniesz.

- Obyś miał rację. Ale nawet jeśli przyjmie mnie z powrotem, zamiast przegnać na drugi koniec świata, na pewno nie wyjawia mi niczego o swoich związkach z Francuzami, o ile takowe istnieją. Dobrze go znam. Wyśmieje mnie, gdy mu powiem, że nagle za nim zatęskniłam. Z miejsca zwietrzy podstęp i zacznie doszukiwać się ukrytych motywów, zwłaszcza jeżeli będę zadawała zbyt wiele pytań.

- Więc nie zadawaj.

- Jak zatem mam się czegokolwiek dowiedzieć? Nie jestem wieszczką, nie potrafię czytać w myślach ani przepowiadać przyszłości.

- Nadstawiaj ucha i uważnie obserwuj, co się dookoła ciebie dzieje. Co jakiś czas przeglądaj jego rzeczy. Zdaj się na intuicję i jeśli trzeba, nie wahaj się wykorzystywać swoich wdzięków. Nie zdoła im się oprzeć. Gdy go nimi odrobinę omamisz, straci czujność i powie ci wszystko jak na spowiedzi. Wspomnisz moje słowa. Ani się obejrzysz, a będziesz z powrotem w domu.

Jęknęła i nakryła twarz poduszką. Kiedy teraz rozmyślała o tej rozmowie, zapewnienia brata wydawały jej się coraz mniej wiarygodne.

W głębi duszy była przekonana, że Arran nigdy się przed nią nie otworzy. Po tym wszystkim, co między nimi zaszło, raczej jej nie zaufa. I nie dziwne. Na jego miejscu też by sobie nie zaufała.

Spojrzała w stronę komody, na której natknęła się w nocy na list. Nie miała pojęcia, czego właściwie szuka. Czy to możliwe,

żeby ktoś tak rozważny i zapobiegliwy jak jej mąż zostawiał na wierzchu ważne dokumenty? Naturalnie, że nie. Mimo wszystko nie zaszkodzi, jeśli go przeczyta. Może wysłano go z Francji. Nie, niemożliwe, żeby to było aż tak proste.

Owinąwszy się w koc, wstała i stanęła na środku pokoju. W natłoku wrażeń wczoraj nie zauważyła, jaki panuje w nim nieład. Na podłodze i kilku krzesłach wały się ubrania, buty i kilka mieczy, jakby przez izbę przetoczyła się zamieć. Stół był zawalony papierami, rękawiczkami i innymi drobiazgami. Znalazła też na nim pistolet. Przy kominku leżały spodnie Arrana, a na nich przewrócona butelka whisky. Niemal cała jej zawartość rozlała się i wsiąkła w dywan.

- Święci Pańscy... - mruknęła do samej siebie. - Co się stało z panią Abernathy?

Powietrze nie było zbyt świeże, więc otworzyła okno. Zrobiła głęboki wdech i spojrzała na mury zamku oraz skąpane we mgle wzgórza. Kiedy przyjechała do Balhaire po raz pierwszy, szkocki krajobraz wydawał jej się przygnębiająco posępny, z czasem nauczyła się jednak doceniać jego surowe piękno.

Westchnęła i podeszła do komody. Przez kilka minut na próżno szukała listu, który wpadł jej wczoraj w ręce. Arran musiał zabrać go ze sobą. Nie chciał, żeby go przeczytała czy może zwyczajnie zamierzał na niego odpisać?

Co powinna teraz zrobić? Nie miała ochoty szpiegować własnego męża. Poza tym nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

Podskoczyła, gdy raptem otworzyły się drzwi. Wróciła jejmość z ponurą miną.

- Nie mogę nigdzie znaleźć paninej pokojówki - oznajmiła strapiona. - Sama pomogę pani się ubrać.

Boże drogi, tylko nie to, pomyślała Margot, ale uśmiechnęła się zachęcająco do służącej.

- Dziękuję - powiedziała, przygotowując się w duchu do ciężkiej przeprawy. Czekał ją pierwszy dzień wśród ludzi, którzy uwielbiali Arrana, a ją mieli za intruza.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pokojówka lady MacKenzie kipiała z gniewu, bardziej niż woda w kąpeli przygotowanej dla jej pani.

Cóż za oburzający brak ogłady! – pokrzykiwała urażonym tonem, wykładając na kanapę kilka sukienek. Były na szczycie baszty, w dawnych pokojach Margot. – Ten nieokrzesany gbur jest wielki jak dąb. Strach podejść: wiadomo, co takiemu do łba wpadnie? Tfu, bodaj szesz! Wparował tu jak do siebie i kazał sobie pokazać pani rzeczy! Do czego to doszło?! Słowo daję...

Zapewne ma na myśli Jocka, pomyślała z uśmiechem Margot, po czym weszła do wanny.

– Ja mu na to – ciągnęła Nell – że pani rzeczy to nie jego sprawa i że niczego mu nie pokażę. Chyba że drzwi z drugiej strony. A ten do mnie: „Zejdź mi z drogi, ty mała jędzo. Nie mam czasu na babskie fanaberie!”. Nie podoba mi się tu, milady. Poprzednim razem też mi się nie podobało. Co to za porządki, żeby jakiś ordynus grzebał w rzeczach pani domu, niczym łyżką w zupie. Gdyby nie ja, te jego wielkie łapska zniszczyłyby nasze najlepsze koronki i jedwabie. Mój ojciec całe życie powiadał, że Szkoci to nieczuły naród, a jedyna okoliczność, która przemawia na ich korzyść, to to, że wybudowali drogę do Anglii.

Margot roześmiała się w głos.

– Nie są wcale aż tacy źli. Chodź, pomożesz mi umyć głowę.

Kiedy skończyła poranną toaletę, postanowiła przespacerować się po zamku i rozeznać w sytuacji. Z westybulu dobiegały odgłosy rozmowy. Najdonośniej mówił jak zwykle Jock. Nie miała ochoty stawiać czoła kilkunastu MacKenziem na raz, więc zawróciła i wyszła przez frontowe drzwi na dziedziniec.

Spostrzegłszy nieopodal Sweeneya MacKenziego, podeszła doń rażnym krokiem. Nie była pewna, gdzie go umieścić w hierarchii dowodzenia, ale pamiętała, że, w odróżnieniu od innych, zawsze był dla niej miły.

- Dzień dobry, Sweeney - przywitała się pogodnie.

Sprawiał wrażenie zaskoczonego jej widokiem. Zerknął niepewnie na swoich dwóch towarzyszy.

- Dzi-dzień do-do-bry, *mi-milady*.

Dziwne. Jąkał się tylko, kiedy był wzburzony albo zdenerwowany. Przyjrzała mu się lepiej i uznała, że istotnie jest czymś mocno poruszony. W dodatku wszyscy trzej wyraźnie unikali jej spojrzenia, jakby bali się spojrzeć jej w oczy. Hm... o co może chodzić? Zapewne o nic dobrego.

- Wszystko w porządku? - zapytała, próbując ich wybadać.

- Tak, pa-pa-pani.

- Czy mój mąż jest gdzieś w zamku?

Sweeney pokręcił głową, ale się nie odezwał.

Co z nimi? Zirytowała się. Zapomnieli języka w gębie?

- Dokąd pojechał? Gdzieś daleko? - drążyła dalej.

- N-n-nie. Sz-szkoli lu-lu-dzi w te-te-renie.

- W takim razie zabierz mnie do niego.

Jej rozmówca przełknął głośno.

- Jo-Jock pa-pa-panią zabierze, *mi-mi-milady*. N-n-nam ka-ka-kazano zabrać pa-pa-pani rzeczy.

- Moje rzeczy? - zdziwiła się. - Jakie rzeczy?

MacKenzie zaczerwienił się jak wiśnia.

Jeden z jego druhów szturchnął go w plecy i wymamrotał coś pod nosem.

- Coś ci się pomyliło, Sweeney. Nell właśnie kończy rozpakowywać moje kufry. Wszystkie zaniesiono już do środka.

Biedaczysko poblądł jeszcze bardziej i poszukał ratunku u młodziana, który stał obok niego. Ten z kolei wpatrywał się z przerażeniem w Margot.

Podeszła bliżej i zajrzała Sweeneyowi w oczy.

- Zdaje się, że powinnam o coś wiedzieć.

Potrząsnął głową, po czym nagle zainteresował się własnymi butami. Przeniosła wzrok na wystraszonego młodzieńca. Nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat.

- Ty - powiedziała, wymierzając w niego palec.

MacKenzie popchnął chłopaka w jej stronę i odetchnął z ulgą, a przynajmniej tak jej się zdawało.

- Może ty mi powiesz, dlaczego to jesteście tacy zaambarasowani? Przystępujecie z nogi na nogę, jakbyście mieli robaki.

Zacisnął zęby i uciekł spojrzeniem w bok.

Nie zamierzała dać za wygraną. Przysunęła się i wlepiła w niego oczy.

- Co miał na myśli Sweeney, gdy mówił, że macie zabrać moje rzeczy? - zapytała aksamitnym, lecz stanowczym tonem.

Popatrzył na lewo, na prawo, a potem na rąbek jej sukni.

- Ja... ja tam nic nie wiem, jaśnie pani.

- A mnie się zdaje, że jednak wiesz. - Stała tak blisko, że musiał się odsunąć, żeby nie wylądowała na jego nosie. I w końcu na nią spojrzał. Zawahał się, jakby rozważał, co albo ile jej powiedzieć.

Tymczasem Sweeney i jego towarzysz sprawiali wrażenie, jakby nie wiedzieli, co ze sobą zrobić.

- Nie obawiaj się - naciskała Margot. - Powtórz mi tylko, co słyszałeś.

Młodzian westchnął ciężko i rzekł:

- Nie wiadomo, ile w tym prawdy, *milady*, ale powiadają, że ma pani jechać do domu.

- Do domu? Przecież jestem w domu.

- Do domu w Anglii! - sprecyzował odruchowo i natychmiast się skrzywił. Jakby się spodziewał, że za karę świat zawali mu się na głowę.

Margot zamarła. Więc jednak Arran chce ją wypędzić.

Zerknęła na Sweeneya, który nadal nie patrzył jej w oczy.

- Od kogo to słyszeliście?

- Ni-nie wiem. Wszy-wszy-wszyscy tak m-m-mówią.

Jąkanie MacKenziego było najlepszym dowodem na to, że pogłoski są prawdziwe. Tylko bez paniki. Tylko bez paniki, powtarzała sobie w popłochu. Jeśli wróci do Norwood z niczym, ojciec wpadnie w furję. Bóg raczy wiedzieć, co z nią zrobi. Pozostawała także kwestia winy Arrana. Jeżeli ją odeśle, to jakby do wszystkiego się przyznał. Raptem ogarnęła ją złość. Skoro mimo wczorajszej nocy jej mąż postanowił ją od siebie przepędzić, to powinien mieć odwagę powiedzieć jej o tym osobiście. Tak w każdym razie nakazywałaby zwykła przyzwoitość.



Podlec. Już ona mu pokaże, co o tym sądzi! – obiecała sobie w duchu.

Kipiąc z oburzenia, podparła się pod boki i podeszła do Sweeneya.

– Lepiej, żeby te rewelacje nie dotarły do Nell – wycodziła przez zęby. – Jeśli nie daj Boże usłyszysz, że ma się znowu pakować, ani chybi dostanie ataku apopleksji, a wówczas biada temu, kto znajdzie się w pobliżu. W najlepszym wypadku skończy się na tym, że powyrywa wam włosy z głowy. Rozumiemy się?

– Tak, *milady* – odparli chórem.

– Wybornie. A teraz znajdźcie mi konia – zwróciła się do Sweeneya.

– K-k-konia? – powtórzył tak, jakby zażądała gwiazdki z nieba.

– Tak, konia. Czterokopytne zwierzę z grzywą i ogonem. Nie zaszkodzi, jeśli będzie osiodłany.

Wyglądało na to, że wszyscy trzej zamienili się w słup soli. Żaden nawet nie drgnął. Ani nie mrugnął powieką.

Nie wytrzymała i złapała Sweeneya za klapy. Potrząsnęła nim z całej siły. Był od niej o wiele większy, więc ledwie drgnął, ale za to popatrzył na nią z wyraźnym przestraszaniem.

– Klnę się na Boga, Sweeney, że jeśli zaraz nie przyprowadzisz mi konia, gorzko tego pożałujesz. Owszem, może jutro już mnie tu nie będzie, ale dziś jestem jeszcze żoną waszego wodza i panią tego domu, a wy sprzeciwiacie się mojej woli!

Sweeney nabrał głośno powietrza.

– Co racja, to racja – odezwał się jeden z jego druhów.

– Milcz, durny! – wtrącił drugi. – Rozum ci odjęło? W Balhaire rozkazy wydaje tylko Arran MacKenzie. I nikt inny.

Margot podeszła do niego i zmierzyła go rozeźlonym wzrokiem.

– Czy aby na pewno? Dobrze się zastanów. Jeśli masz choć odrobinę oleju w głowie, może cię oświeci i zrobisz, co mówię.

– Cho-cho-chodźmy do stajni, *mi-mi-milady* – zakończył dyskusję Sweeney. – Skoro ży-ży-życzy pani sobie ko-ko-konia, dostanie pa-pa-ni konia. – Posłał reszcie kompanii piorunujące spojrzenie i ruszył przed siebie.

Obróciła się na pięcie i poszła za nim. Jutro pewnie będą się z niej śmiali. Wkrótce zaczną zrywać boki, opowiadając dzieciom o żonie wodza, którą ten przepędził na cztery wiatry naza-jutrz po jej przyjeździe z Anglii. Niech sobie mówią, co chcą. Przynajmniej dziś postawiła na swoim. Prędzej skona, niż wyje-dzie, nie wygarnąwszy wcześniej mężowi, który nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy i powiedzieć, że nie życzy sobie jej więcej oglądać.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Szkolenie ludzi do walki wręcz było sztuką samą w sobie. Arran zawsze czerpał satysfakcję z tego, że może przekazywać wiedzę innym. Dziś nie było inaczej. Jeździł niespiesznie wokół polany, raz po raz wykrzykując komendy, pochwały albo słowa zachęty.

W pewnej chwili zauważył, że część, a właściwie większość jego podkomendnych przestała okładać się pięściami. Niemal wszyscy stanęli jak wryci i spoglądali na drogę, którą miał za plecami.

MacKenzie zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, co ściągnęło ich uwagę. Spodziewał się co najmniej najazdu angielskiej armii albo nadciągającej komety. Za to z całą pewnością nie spodziewał się własnej żony nadjeżdżającej wierzchem od strony zamku. Siedziała na koniu okrakiem, z niejakim trudem utrzymując się w siodle. Suknia podwinęła jej się aż za kolana, a z włosów powypadały spinki. Pamiętał, że nie była wytrawną amazonką, a gnała przed siebie na złamanie karku. Jakby się za nią paliło. Kto, do jasnego pioruna, dał jej konia? I dlaczego nikt nie próbował jej powstrzymać?

Zatrzymawszy się gwałtownie, przechyliła się niebezpiecznie na bok. Tylko cudem uniknęła twardego lądowania na ziemi.

- Jesteś! - zawołała radośnie, co nie mogło być łatwe, jako że nie była w stanie złapać tchu. - Szukam cię od rana!

- Co tu robisz? - odparł bez entuzjazmu. - To nie miejsce dla kobiety. - W każdym razie nie dla delikatnej angielskiej różyczki. Szkocka góralka nie miałaby nic przeciwko odrobinie porządnego mordobicia.

- Niby dlaczego nie? - Pochyliła się, żeby pogłaskać konia po grzywie. - Grupka mężczyzn używa na sobie pięści. Nie widzę w tym niczego zdroźnego.

Powiedziała to tak, jakby lubiła przyglądać się bójkom, co

było oczywistą nieprawdą. MacKenzie popatrzył ponad jej głowę w kierunku Balhaire. Był niemal pewien, że za moment ujrzy Jocka, który wyruszył za nią w pościg, ale gościniec wciąż był pusty. Nikt nie uznał za stosowne pofatygować się po zbląkaną owieczkę.

- Piękny mamy dziś dzień, nieprawdaż? - stwierdziła z werwą. - W tak piękne dni niektórzy mężowie zabierają żony na piknik - dodała, unosząc wyczekująco brew.

- Piknik... - powtórzył powoli, jakby użyła zupełnie nieznanego mu słowa. Cóż, słowo wprawdzie nie było mu obce, tyle że nigdy nie padło z jego ust. Mógłby z ręką na sercu stwierdzić, że przez całe swoje życie nie wypowiedział go ani razu.

- Jeśli nie na piknik... - podjęła niezrażona - ...to może chociaż na spacer? Tak, przechadzka po plaży byłaby w sam raz. Mamy przecież mnóstwo spraw do omówienia.

Nie zdarzyło mu się jeszcze zmarnować dnia na czcze pogaduszki podczas jałowych spacerów.

- Nie mam czasu. Robota czeka.

- Naturalnie. Robota. - Uśmiechnęła się przeciągle. - Nie obawiaj się. Nie zapomniałam, jak ważna jest dla ciebie praca. Przedkładasz ją ponad wszystko.

Przechylił głowę i spojrzał na nią z ukosa.

- Czyżbym się przesłyszał? Zdawało mi się, że gdy powiedziałaś „praca”, w twoim głosie zabrzmiał wyrzut.

- Doprawdy? Jeśli tak, wybacź. Jesteś pewien, że nie masz mi nic do powiedzenia? Myślałam, że skoro dopiero co wróciłam, może zechcesz spędzić ze mną nieco więcej czasu.

Usłyszawszy za plecami chrząknięcie, przypomniał sobie, że mają publiczność. Skrzywił się bezwiednie. Sromota. Tylko tego mu brakowało: kłótni z żoną na oczach ludzi. Niestety, sądząc po jej rumieńcach, Margot była bliska wybuchu.

- Daruj pani, ale nie...

- Pomyślałam, że moja obecność cię ucieszy - przerwała mu bezceremonialnie. - Ale najwyraźniej się myliłam. W międzyczasie dotarły do mnie nad wyraz niepokojące pogłoski.

Westchnął ciężko.

- Zdradzić ci, co to za plotki? Otóż doszły mnie słuchy, że

mam wracać do Anglii.

Otworzył usta, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, powstrzymała go. Uniosła dłoń i wymierzyła w niego palec.

- Ponoć całe Balhaire już wie, że zamierzasz odesłać mnie do ojca. Ale to nie może być prawda. Żadną miarą! Bo gdybyś istotnie miał wobec mnie takie plany, gdybyś rzeczywiście chciał skazać mnie na wygnanie, to przecież poinformowałbyś mnie o tym osobiście. - Posłała mu szeroki uśmiech. Szkoda tylko, że jej oczy ciskały gromy.

Jęknął i obejrzał się za siebie. Wpatrywało się w nich tuzin par oczu.

- No i co tak stoicie jak te pieńki? - warknął poirytowany. - Powrastaliście w ziemię? Myślałby kto, że żaden nie ma żony! - Złapał konia Margot za uzdę i odciągnął go od grupy. Miał nadzieję, że znaleźli się poza zasięgiem ciekawskich uszu.

- O co ci idzie, kobieto? - wycedził ściszoneg głosem.

- O nic - odparła z miną niewiniątka. - Usiłuję zadać ci pytanie. Zasadne pytanie. Ot i wszystko.

- I nie mogłaś z tym zaczekać? Słowo daję, zupełnie postradałaś zmysły! Przyjeżdżasz tu na koniu, nad którym ledwie panujesz, gnasz jak na złamanie karku i przerywasz nam ćwiczenia tylko po to, żeby zadać mi pytanie? W dodatku takie, na które znasz już odpowiedź?

- Owszem, może w przypływie złości postąpiłam odrobinę nierozważnie - przyznała urażonym tonem. - Ale z pewnością doskonale panowałam nad koniem! Prawdę mówiąc, byłam nieco oszołomiona. I oburzona. Tak, oburzona. Nie przypuszczałam, że po wczorajszej nocy postanowisz mnie przepędzić. Poczulałam się dotknięta. Wiem, że nadal jesteś na mnie obrażony, ale...

- Obrażony? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Ale masz chyba choć odrobinę serca. Nie jesteś aż tak bezduszny i nieczuły, żeby wyrzucić mnie z domu po tym, jak się przed tobą ukorzyłam i jak dzieliliśmy ze sobą łożo.

Uniosła brew i spojrzała na niego wyzywająco. Jakby chciała sprawdzić, czy ośmieli się zakwestionować jej słowa.

- Zatem twoim zdaniem to ja jestem bez serca? I to ja jestem nieczuły?

- Powiedziałam tylko, że nie ulegasz sentymentom. W każdym razie nieczęsto.

- Na miłość boską, kobieto! Nie dbam o twoje pobudki. Nie obchodzi mnie, po co tu przyjechałaś i co próbujesz osiągnąć. Cokolwiek to jest, wiedz, że nie mam ani czasu, ani ochoty, żeby bawić się z tobą w kotka i myszkę. Masz mnie za kompletnego durnia? Zjawiasz się ni z tego, ni z owego, po trzech latach milczenia i oczekujesz, że przyjmę cię z otwartymi ramionami? Miałbym uwierzyć, że wróciłaś na dobre? Że nie masz żadnych ukrytych ani niegodziwych zamiarów?

- Naturalnie, że nie mam! - zawołała, kładąc rękę na piersi. - Chcę być tylko dobrą żoną. Nic więcej.

- Miałaś na to czas trzy lata temu - odrzekł twardo. - Ale dokonałaś innego wyboru. Nie chciałaś mnie.

- Nieprawda! - krzyknęła zapalczywie, lecz niemal natychmiast spuściła z tonu. - Rozumiem, masz powody tak myśleć. Przyznaję, dokonałam wyboru, ale wyjeżdżając z Balhaire, tak naprawdę nie wiedziałam, co robię.

Prychnął lekceważąco.

- Tak, Arranie! Popełniłam błąd. Niewybaczalny błąd i teraz tego żałuję. Nie masz pojęcia jak bardzo! Rozpaczliwie pragnę się z tobą pogodzić, wynagrodzić ci krzywdy, jakich ode mnie zaznałeś. Nie pozwolisz mi nawet spróbować? Czy wczorajsza noc naprawdę nic dla ciebie nie znaczyła? - Wyciągnęła rękę i położyła ją na jego dłoni.

Boże drogi, każ jej przestać mnie dotykać, zaklinał w duchu. Wolałby, żeby tego nie robiła. Wolałby, żeby trzymała się na dystans. Jego opór słabł, kiedy była zbyt blisko.

- To, że wziąłem cię do łóżka, nie znaczy, że mogę ci ufać - oznajmił, cofając dłoń. - Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Nie wróciłaś tu dla mnie, a skoro tak, to masz jakieś inne, niecne powody.

- Niecne?! - Sprawiała wrażenie dotkniętej do żywego. - Niecne?! - W jej ustach to słowo brzmiało znacznie bardziej bezdusznie niż w jego własnych, kiedy je przed chwilą wypowiedział. Przypisała mu jak najgorsze intencje. Zupełnie niesłusznie. - I ty śmiesz mówić mi o niecnych powodach? Sam potrak-

towałeś mnie nikczemnie! Postanowiłeś wypędzić mnie z Balh-  
ire i nawet nie miałeś odwagi powiedzieć mi tego prosto  
w twarz. Postąpiłeś jak ostatni podlec! Ja tylko zmieniałam zda-  
nie w kwestii naszego małżeństwa. Zrozumiałam swój błąd. To  
żadna zbrodnia.

- Mów, co chcesz. Ja w każdym razie nieprędko zmienię zda-  
nie na temat twojej osoby. Twoje deklaracje nie robią na mnie  
najmniejszego wrażenia. Nie sądziłem, że potrafisz być tak ob-  
łudna, ale najwyraźniej się myliłem. Nie pozwolę ci się mną ba-  
wić. Nie zamierzam brać udziału w tej farsie, którą nazywasz  
próbą pojednania. Żegnaj, żono. Przekaż moje uszanowanie  
drogiemu papie. - Wypuścił uzdę i odsunął się, żeby klepnąć jej  
konia w zad.

Nim pojął, co się święci, Margot nagle cisnęła się ku niemu,  
wyciągając ramiona. Zaskoczony, zareagował instynktownie.  
Złapał ją w ostatniej chwili, nim runęła na ziemię pomiędzy ko-  
nie. Stratowałyby ją, gdyby spadła. Chryste, mogły zdeptać ją  
na śmierć! Chwycił ją mocno pod pachami i wciągnął na swoje  
siodło.

- *Diah!* Co ty najlepszego wyprawiasz?! Chcesz się zabić?!

Pisnęła i w geście desperacji rzuciła mu się na szyję.

- Ubiegła noc w ogóle się dla ciebie nie liczy? - spytała, ści-  
skając go z całej siły. Odeślesz mnie precz po tym, jak obnaży-  
łam przed tobą duszę?

- Obnażyłaś przede mną ciało, nie duszę - rzekł, próbując się  
od niej uwolnić.

- Udowodnię ci to, zobaczysz - powiedziała pospiesznie i od-  
wróciła głowę, żeby pocałować go w policzek. - Tylko pozwól  
mi zostać. Proszę, Arranie, udowodnię ci.

- Co niby chcesz mi udowodnić? - zapytał rozdrażniony, kiedy  
pocałowała go w szyję. Zrobiło mu się gorąco.

- Że wróciłam dla ciebie, że chcę naprawić to, co zepsułam.  
Że chcę, żebyśmy zaczęli wszystko od nowa. Zmieniałam się. Je-  
stem teraz zupełnie inna, przysięgam. Pokażę ci. - Znów zaczę-  
ła go całować. W policzek. W ucho i jeszcze raz w policzek.

- Przestań. Nie całuj mnie więcej - syknął przez zęby. Jej bli-  
skość go rozpraszała. Nie mógł się na niczym skupić, kiedy czuł

na sobie jej usta. Ledwie rozumiał, co do niego mówi. Zdołał nieco ją od siebie odsunąć. – Dlaczego miałbym ci wierzyć? Podaj mi choć jeden powód. – Objął dłońmi jej twarz i spojrzał jej prosto w oczy. – Twierdzisz, że się zmieniłaś, i oczekujesz, że przyjmę twoje słowa za dobrą monetę? Upokorzyłaś mnie, zrobiłaś ze mnie ostatniego durnia. Odrzuciłaś nie tylko mnie, lecz także resztę MacKenziech, cały mój klan. Pogardzałaś naszymi obyczajami i naszą ciężką pracą. Narzekałaś na brak wytwornego towarzystwa. Nie mogę ci go zapewnić. Rozejrzyj się. To moje miejsce na ziemi. Tutaj żyję i pracuję. Staram się dbać o swoich ludzi. To się nigdy nie zmieni. Ty też się nie zmienisz. Pochodzisz z zupełnie innego świata. Nie ufam ci, zrozum to wreszcie. Po tym, co zrobiłaś, już nigdy ci nie zaufam.

Pobladała i zdjęła ręce z jego karku.

– Wiem, że mi nie ufasz – powiedziała smętnie. – I rozumiem dlaczego. Dałam ci ku temu powody. Ale nie jestem już tą samą naiwną dzielątką, co kiedyś. Chcę ci pokazać, że się zmieniłam. Proszę tylko, żebyś mi na to pozwolił.

Westchnął zniecierpliwiony.

– I pragnę urodzić dziecko.

Kiedy wypowiedziała te słowa, wyglądała tak, jakby miała ochotę natychmiast je cofnąć.

Arran popatrzył na nią sceptycznie.

– Tym usiłujesz mnie przekonać? – Pokręcił głową z niejakim obrzydzeniem. – Gotowa jesteś użyć dziecka jako argumentu? To twoja ostatnia deska ratunku? – Dobrze wiedziała, jak bardzo chciał mieć dzieci. Jak bardzo był rozczarowany za każdym razem, kiedy co miesiąc mówiła mu, że nie jest przy nadziei. On zaś wiedział, jak wielką ona sama odczuwała wówczas ulgę. Miałby uwierzyć, że raptem zapragnęła zostać matką?

– Nie patrz tak na mnie. – Przymknęła na moment powieki. – Naprawdę pragnę dziecka. Nie skłamałabym w takiej kwestii. Chcę być żoną i matką. Czy to tak ciężko zrozumieć? Trzy lata temu byłam na to za młoda. Zbyt głupia i zapatrzona w siebie. Jesteś moim mężem. I potrzebujesz dziedzica.

A niech ją. Umiała skruszyć jego opór. Powiedziała właśnie jedyną rzecz, która mogła sprawić, by zmienił zdanie. Trafiła



w rysę na jego zbroi. Marzył o dzieciach. Najlepiej całej gromadce, która biegałaby po dziedzińcu i skakała po jego łóżku. Nie miała pojęcia, jak trudno mu było podczas jej nieobecności. W każdej chwili mógł sprawić sobie dziecko z inną kobietą. Tyle że nie chciał. Chciał mieć dzieci z żoną. Sęk w tym, że jeśli pozwoli jej zostać, będzie nieustannie żył w strachu, że znów od niego ucieknie, tym razem zabierając mu dziecko.

Będzie lepiej dla wszystkich, jeśli zniknie z jego życia na dobre. Otworzył usta, żeby postawić na swoim, ale dostrzegł w jej zielonych oczach ten sam smutek i żal, które widział wczoraj.

Spojrzał na nią ze złością. Był wściekły. I na nią, i na siebie. Za to, że się ugiął. Wiedział już, że nie zdoła wygrać w tej bitwie.

- Błagam, nie odsyłaj mnie.

Zacisnął dłonie w pięści.

- Zgoda - rzekł po chwili milczenia. - Udowodnij mi, że chcesz być moją żoną. Żoną Szkota i górala, a nie angielskiego trefnisia, którym nigdy nie będę. Pokaż mi, że potrafisz być kobietą, która nie gardzi prostymi ludźmi i niewyszukanymi uciechami, która nie boi się głodu i znoјnej pracy. Pokaż, że umiesz być Szkotką. Jesteś pewna, że sprostasz moim oczekiwaniom?

- Tak! Sprostam. Zrobię, co zechcesz - zapewniła ochoczo i z przekonaniem w głosie. Ale w jej oczach nie było ani śladu przekonania. Pojawiły się w nich niepewność i niepokój.

Arran z trudem powstrzymał gorzki uśmiech.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Spędziła w Balhaire zaledwie pół dnia, a już zdążyła nieźle nabroić. Okłamała Arrana a potem obiecała, że będzie odtąd przykładną żoną. I że zrobi wszystko, żeby mu to udowodnić. To pewnie znaczy, że będzie musiała zabiegać o jego względy jak zadurzona debiutantka. A prawdziwa komedia zacznie się dopiero jutro. Arran oznajmił jej właśnie, i nie bez uciechy, że zamierza uczcić jej powrót, wydając przyjęcie z tańcami.

Spodziewała się, że będzie dokładnie tak samo, jak podczas poprzedniego balu. Jej goście będą rozmawiać we własnym języku, z którego nie rozumiała ani słowa, a podczas tańców będą podskakiwali i deptali sobie po nogach.

W drodze powrotnej bestia, którą osiodłał dla niej Sweeney, o mało jej nie zabiła. Cudem dotarła do murów zamku. Kiedy się zatrzymała i zsiadła na ziemię, była cała obolała. Usiłowała doprowadzić do ładu zrujnowaną fryzurę, kiedy bez słowa minął ją Jock. Łypnął na nią spod oka i zacisnął szczękę. Pewnie dotarły już do niego wieści o tym, że Arran pozwolił jej zostać.

Mamrocząc pod nosem, Margot weszła do środka. Niemal natychmiast natknęła się na Peppera i Worthinga. W świeżo wypudrowanych białych perukach i koronkowych mankietach wyglądali wyjątkowo nedorzecznie. Nie wpisywali się w surowy szkocki krajobraz.

- Dobry Boże! - zawołał na jej widok Pepper. - Ktoś cię napastował, pani?

- Napastował? Nie, skądże...

- W takim razie, co się stało? - Wyciągnął rękę, jakby chciał powiedzieć, żeby się do niego nie zbliżała.

Podążyła za jego spojrzeniem. Cóż, istotnie nie wyglądała najlepiej. Miała potargane włosy, a jej suknia była powalana i wymięta.

- Nic się nie stało. Jeździłam konno i... zresztą, nieważne.

- Za pozwoleniem, *milady* - odezwał się ściszoneg głosem Worthing. - MacKenzie nie może bezkarnie wyrzucić pani z domu i odesłać do Anglii. Umowa małżeńska rządzi się określonymi prawami...

- Prawami?! - prychnęła, jakby powiedział coś zabawnego. - Niech pan nie będzie śmieszny, Worthing. Jakież to prawo zabrania mężowi przegnać precz żonę, która wcześniej go porzuciła? Proszę sobie darować te mowy o prawach. Mężczyźni mogą robić, co im się żywnie podoba, to przywilej bycia mężczyzną, niestety. Tak czy inaczej, może pan być spokojny. Nigdzie nie jadę. Mielśmy tylko małą sprzeczkę, ale już sobie wszystko wyjaśniliśmy.

Jej rozmówcy wymienili między sobą sceptyczne spojrzenia.

- A wy? Kiedy wracacie do Anglii? - zapytała poirytowana. Nie wiedzieć czemu, ci dwaj zaczęli ją drażnić. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby wyjechali i raz na zawsze zniknęli jej z oczu.

Worthing zmarszczył brwi.

- Jak tylko będzie pani miała coś do przekazania ojcu. Jest coś, co chciałyby pani mu przekazać, lady MacKenzie?

- Owszem, więc możecie zacząć się pakować. Powiedzcie mu, że bezpiecznie dotarłam do celu. Jestem pewna, że drży z niepokoju o moje bezpieczeństwo. - Uraczywszy ich zdawkowym uśmiechem, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Gdy dotarła do swoich pokojów na szczycie wieży, Nell siedziała na krześle ze stopami opartymi o otomanę. Poderwała się tak gwałtownie, że niemal potknęła się o własne nogi.

- Przepraszam, *milady* - powiedziała zawstydzona. - Chciałam tylko odrobinę odsapnąć. Rozbolały mnie plecy i...

- Siadaj z powrotem - odparła Margot. - Należy ci się odpoczynek. Napracowałaś się przy rozpakowywaniu kufrow. MacKenzie wydaje jutro przyjęcie. Na szkocką modłę. Chcę się dobrze zaprezentować. Będę potrzebowała czegoś wyjątkowego. Przygotuj mi najlepszą suknię. Niech im oczy zbieleją, kiedy mnie w niej zobaczą.

- Ach, pojmuję - odparła, kiwając głową, służąca. - Ta z niebieskiego jedwabiu z wyszywanymi ptaszkami na gorsie będzie

w sam raz.

- Tak, doskonały wybór. - Suknię uszyto dla niej w Londynie. Oprócz haftowanych ptaszków, ozdobiły ją złote i srebrne nici, które sprawiały, że spódnica mieniła się przy każdym ruchu.

- Coś jeszcze, *milady*?

- Tak, ale raczej ci się to nie spodoba. - Rozejrzała się z namysłem. Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego wybrała akurat te pokoje. Zapewne głównie po to, żeby zrobić na złość Arranowi. Miała stąd wprawdzie cudowny widok na góry i morze, ale czuła się odrobinę jak w klatce. Wieża była bardzo wysoka i oddalona od reszty zabudowań zamku. Nie było w niej słycać żadnych odgłosów, nie docierało tu nawet szczekanie psów.

Arran od samego początku chciał, żeby dzieliła z nim komnatę. Kazał przygotować dla niej bawialnię i gotownię przylegające do jego własnych pomieszczeń. Naturalnie odmówiła. Była wtedy zbyt pruderyjna i zbyt „światowa”, aby przystać na jego prośbę. Takie rozwiązanie wydawało jej się plebejskie, za mało wyszukane na jej salonowy gust. Ależ była naiwna! - zganiała się. Na szczęście od tego czasu mocno wydorosła.

- Postanowiłam zmienić pokoje - oznajmiła spokojnie.

- Zmienić pokoje? - powtórzyła z niedowierzaniem pokojówka. - Jak to, przecież dopiero co...

- Wiem, ogromnie się natrudziłaś, ale to konieczne. Nie możemy tu zostać. W tej baszcie jestem całkowicie odcięta od męża i reszty klanu. Nie naprawię naszych stosunków, jeśli nie będę go widywać.

Nell wyglądała tak, jakby miała ochotę się rozplakać. Lady MacKenzie podeszła do niej i pogłaskała ją po rękę.

- To dla ciebie dodatkowy wysiłek, ale zrozum, Nell, mąż nadal się na mnie boczy. Ma mi za złe, że go zostawiłam i wyjechałam z Balhaire. Jeśli nie będę przykładną żoną, odeśle mnie do ojca. Chciał to zrobić nie dalej jak dzisiaj. Nie mogę na to pozwolić.

- Wedle życzenia, *milady* - przytaknęła ponuro służąca. - Już biorę się do roboty.

Margot zostawiła Nell samą i udała się na poszukiwanie Fergusa. Odnalazła go w westybulu. Udawał, że jej nie widzi, ale

nie pozwoliła się długo ignorować.

- Dzień dobry, Fergusie - przywitała się pogodnie.

- *Milady* - odparł bez entuzjazmu.

- Dziękuję za przygotowanie moich dawnych pokoi. Jestem ci bardzo wdzięczna. Postanowiłam jednak się przenieść. Pragnę być bliżej męża. Jeśli to nie kłopot, wywietrz, proszę, bawialnię i gotownię przylegające do komnat pana. Nell właśnie pakuje mój dobytek.

- Przenosi się pani do komnat wodza? - powtórzył powoli, jakby sądził, że się przesłyszał.

- Nie inaczej - potwierdziła ze stoickim spokojem. - Jak mówiłam, chcę być w pobliżu męża. Och, na miłość boską, nie rób takiej przerażonej miny. Przysięgam, że nie mam zamiaru zamordować go podstępnie podczas snu. Uspokołam cię?

Łypnął na nią spod oka.

- Nie. Nieszczególnie. Zresztą, nie mogę spełnić pani prośby bez zgody pana.

- Ależ możesz. W końcu jestem panią tego domu, nieprawdaż? A twój pan już się zgodził. Zapewniam cię. Rozmawiałam z nim.

- Nie wydaje mi się...

- Rób, co każe lady MacKenzie - wtrącił niski głos za plecami Margot.

Jock, pomyślała natychmiast. Naturalnie. Któż by inny? Zawsze kręcił się gdzieś w pobliżu.

- Tu jesteś - stwierdziła, spojrzawszy przez ramię. - A już zaczęłam się niepokoić, że gdzieś się zapodziałeś.

- Nie stój tak, Fergus, rób, co masz robić - zwrócił się ponad jej głową do służącego.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała, gdy zostali sami. - To bardzo miłe z twojej strony...

- Nic podobnego - zaprotestował bez ceremonii. - Nie próbowałam być miły. Stąd będzie mi łatwiej mieć cię na oku, nieprawdaż?

- Tak ci się tylko zdaje, przyjacielu. - Uśmiechnęła się zagadkowo. Gdy odchodziła, nadal czuła na plecach jego świdrujące spojrzenie.

Jako że nie miała nic innego do roboty, wyszła ponownie na dziedziniec. Nie miała pojęcia, dokąd zmierza, ale podeszła do bramy z wysoko uniesioną głową. Ludzie albo unikali jej wzroku, albo kompletnie ją ignorowali.

Naprawdę nią pogardzali. Cóż, trudno im się dziwić. Porzuciła przecież ich ukochanego pana. Będzie musiała im udowodnić, że nie jest aż taka straszna, za jaką ją uważają. Nie miała tylko pojęcia, jak tego dokonać.

Dotarwszy do wioski, zwolniła kroku i zaczęła przyglądać się sklepom, które w niczym nie przypominały tych, które widywała w Londynie. Nikt nie sprzedawał tu jedwabów, porcelany ani nawet rękawiczek z koziej skóry.

Mimo to jeden z szyldów przykuł jej uwagę. Na parapecie stały doniczki z peoniami, a napis głosił, że właścicielką kramu jest pani Agnes Gowan.

Kiedy przestąpiła próg, nad drzwiami zadzwonił dzwoneczek. W powietrzu unosiła się przyjemna woń świeżo upieczonych ciastek i perfum. Na półkach i stołach ustawiono najrozmaitsze produkty, słoiki z konfiturami, porcelanowe talerze i filiżanki, sole kąpielowe oraz mydła, pachnące wrzosem i lawendą.

Odwróciła się, usłyszawszy za sobą stłumione szepty. Za ladą stały dwie kobiety, jedna dość zaawansowana w latach i tęga, druga znacznie młodsza i szczuplejsza, ale podobna do starszej. Matka i córka, stwierdziła w duchu Margot, posyłając im życzliwy uśmiech. Panią Gowan pamiętała z kościoła. Swego czasu próbowała zachęcać ludzi do ofiarowywania datków dla biednych, ale jej wysiłki jak zwykle okazały się daremne.

- Dzień dobry. - Przywitała się uprzejmie, lecz odpowiedziało jej głuche milczenie. - Mają panie cudownie pachnące mydła. - Spróbowała z innej beczki. I tym razem jej próby pozostały bez odzewu. - Nie pamięta mnie pani, pani Gowan? Widywałyśmy się na nabożeństwach w Balhaire. Rozmawiałyśmy o zbiórce pieniędzy dla potrzebujących. - Skończyło się na niczym. - Nie rozumiała, dlaczego nikt nie chce jej pomóc. Chodziło przecież o szczytny cel. W Anglii większość kobiet z wyższych sfer zajmowała się dobroczynnością. W końcu oświeciła ją w tym względzie Griselda. Wyjaśniła jej z niejaką irytacją, że klan dba

o najbiedniejszych, używając do tego wspólnych zasobów, a w Balhaire zwyczajnie nie ma głodujących sierot. – Zawsze troszczymy się o swoich – stwierdziła z dumą. – Tak wygląda życie w Szkocji.

– I owszem, pamiętam – odezwała się lodowatym tonem właścicielka sklepu.

– Macie tu bardzo piękne rzeczy. Skąd pochodzi ta porcelana?

– Od naszego pana – odparła córka. – Sprowadza ją z Francji i daje nam na sprzedaż.

– Z Francji? Często przyplływają tu francuskie statki?

– Ostatni cumował wczoraj.

Wczoraj... odnotowała w myślach Margot. Czyżby trzymano to przed nią w tajemnicy?

– Za pozwoleniem – odezwała się. – Chciałabym kupić od pań trochę mydła i soli kąpielowych. Proszę dostarczyć je na zamek i powiedzieć, że są dla lady MacKenzie. – Powinny być zadowolone. Z pewnością nie co dzień miewają tak ważne klientki. Sklepikarze w Norwood zabiegali o jej względy na każdym kroku. Łatwiej im było potem wychwalać towary przed innymi interesantami. Niestety pani Gowan nie sprawiała wrażenia szczególnie uradowanej.

– W kwestii wyboru zdam się na panie – dodała dla zachęty.

– Jak pani sobie życzy, *milady*. – Młodsza kobieta dygnęła i podeszła do półek, żeby zapakować towar.

Jej matka nadal wpatrywała się w Margot nieprzyjaznym wzrokiem. O co mogło jej chodzić? Nie obawiała się reakcji Arrana? Raczej nie powinna traktować w ten sposób żony przywódcy klanu.

– Czyżbym w czymś pani uchybiła, pani Gowan? – spytała zdumiona.

Sklepiarkarka łypnęła na nią spod oka.

– W rzeczy samej. Uchybiła pani, tyle że nie mnie.

– Miarkuj się, mamó! – upominała ją córka.

– Nie bardzo rozumiem. Przecież dopiero co wróciłam do Balhaire...

– Właśnie. – Starsza kobieta posłała jej wymowne spojrzenie.

Lady MacKenzie poczuła, że się czerwieni.

- Nie wiem, jakie obyczaje panują w pani stronach. My, Szkoci, żyjemy według prostych zasad. Kiedy ktoś krzywdzi jednego z naszych, krzywdzi cały klan, a mój syn chodził do szkół razem z naszym panem.

- Mamo, zlituj się. Ani słowa więcej.

- A ty siedź cicho. Będę mówiła, co mi się podoba. Nie boję się jej.

Margot była bardziej zdumiona niż oburzona. Nigdy dotąd nikt nie przemawiał do niej w ten sposób.

- Ja też się pani nie boję - oznajmiła wyważonym głosem. - Zapewne to panią zdziwi, ale mnie także wyrządzono krzywdę. Jakkolwiek by było, nie powinna się pani mieszać w coś, co pani nie dotyczy. Mój wyjazd to sprawa wyłącznie pomiędzy mną a moim mężem.

Pani Gowan jeszcze z nią nie skończyła.

- Skoro już pani wyjechała, trzeba było nie wracać. Nie wiem, po co pani tu przyjechała. Nie obchodzi mnie to, ale już nigdy nie chcę oglądać naszego pana takiego jak wtedy, kiedy go pani zostawiła. Wystarczająco się przez panią nacierpiał. Nie zasłużył na to, żeby przechodzić przez to jeszcze raz.

Lady MacKenzie zdębiała. Otworzyła usta, ale wszystkie słowa uleciały jej z głowy. Przez moment stała nieruchomo, wpatrując się z osłupieniem we właścicielkę sklepu.

- Nacierpiał? - powtórzyła, z trudem wydobywając z siebie głos.

- A tak, nacierpiał! - odpaliła ze złością pani Gowan. - Całymi miesiącami chodził jak kwoka, której odebrano pisklęta.

- Mamo! - zawołała z przerażeniem jej córka.

Margot była wstrząśnięta. Rozejrzała się bezradnie dookoła. Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie miała nawet pewności, czy dobrze rozumie, co sklepikarka ma na myśli. Jej słowa wydawały się kompletnie niedorzeczne. Owszem, Arran był na nią zły. Nie wahał się okazać swego gniewu, ale na pewno przez nią nie cierpiał. To niemożliwe.

- Twierdzi pani, że był nieszczęśliwy z powodu naszego małżeństwa? Że żałował, że się ze mną ożenił?

- Nie. Twierdzę, że był nieszczęśliwy, kiedy nas pani opuściła!



Nigdy o tym nie mówił, ale trzeba było być ślepym, żeby tego nie widzieć! Złamała mu pani serce!

Margot poczuła, że oblewa się zimnym potem.

- Nieprawda! - zaprotestowała jak mała dziewczynka, która nie potrafi się przyznać, że nabroiła.

- Prawda! Był przygnębiony jak zbity pies. Zżerała go taka zgryzota, że do niczego nie miał serca, a ja nie mam serca dla kobiety, która go porzuciła.

Córka pani Gowan powiedziała coś do matki po gaelicku.

Starsza kobieta kiwnęła niechętnie głową i popatrzyła ponownie na lady MacKenzie.

- Powiedziałam, co miałam do powiedzenia, i wcale tego nie żałuję. Każę doręczyć pani mydło na zamek. - Z tymi słowy odwróciła się na pięcie i wyszła.

Margot wciąż nie mogła dojść do siebie. Na myśl o tym, że rzeczywiście mogła złamać Arranowi serce, robiło jej się słabo. Sądziła, że ucieszył się z jej wyjazdu. Przecież gdyby chciał, żeby została, dałby jej to do zrozumienia. Powiedziałyby coś, próbowałyby ją zatrzymać. A jeśli nie pozwoliła mu na to duma?

Wyszła ze sklepu i oparła się ciężko o drzwi.

Na drodze pojawiła się grupka jeźdźców. Jeden z nich zatrzymał się gwałtownie tuż obok niej.

Otworzyła zaciśnięte powieki. Arran.

- Margot? - zdziwił się na jej widok. - Co robisz we wsi? Nigdy wcześniej nie zapuszczałaś się tak daleko.

Zerknęła niepewnie na szyld.

- Robiłam zakupy u pani Gowan.

MacKenzie spojrzał na nią, a potem na sklep.

- Będiesz musiała poradzić sobie dziś beze mnie - oznajmił szorstko. - Mam coś do załatwienia w Lochalsh. Wracam jutro.

W Lochalsh? Jakież to niby miał tam interesy? Przecież to mała rybacka wioska. Nie ma tam niczego godnego uwagi.

- Nie będzie cię aż do jutra? - jęknęła żałośnie. - Ale... myślałam, że moglibyśmy...

- Nie zamierzasz chyba zacząć narzekać? - przerwał jej w pół słowa. W jego głosie słychać było wyraźne ostrzeżenie.

Zacisnęła usta. Bezbłędnie odczytał jej intencje. Istotnie mia-

ła wielką ochotę się poskarżyć.

- Naturalnie, że nie - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

- Tak właśnie myślałem. - Spiął konia i odjechał.

Popatrzyła za nim, po czym ruszyła w stronę zamku.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Margot zjadła kolację w bawialni przylegającej do pokoiów męża. Towarzystwa dotrzymywała jej Nell. Jakiś czas później udała się na spoczynek.

Fergus kręcił się nerwowo po sypialni pana, jakby oczekiwał, że za moment nadciągnie niszczycielski kataklizm, który zmiecie z powierzchni ziemi całe Balhaire.

- Nie napalono w kominku, *milady* - oznajmił, przystanąwszy pośrodku izby.

- W takim razie bądź tak doby i napal - powiedziała najmilej, jak umiała.

Spełnił jej prośbę, ale zaraz potem wpuścił do środka psy. Prawdę mówiąc, przywołał je specjalnie. O to też sprzeczała się niegdyś z Arranem. Jej mąż pozwalał błąkać się po zamku starym psiskom, które były zbyt wiekowe, żeby nadal polować i służyć właścicielom. Swego czasu było ich razem około tuzina. Szwendały się nieustannie za ludźmi, obwąchując kąty i żebrząc o resztki ze stołu.

Wylegiwała się już w łóżku, kiedy trzy wielkie bestie położyły łby na pościeli i merdając ogonami, wlepiły w nią pełne nadziei ślepie. Bez Arrana czuła się niespokojna i bardzo samotna, więc uległa ich urokowi i dała się namówić.

- Niech wam będzie, ale tylko dziś - mruknęła, poklepując siennik.

Nie trzeba ich było dwa razy prosić. Wszystkie trzy wskoczyły na łóżko i umościły się obok niej.

Przypomniała sobie pewne zimowe popołudnie, kiedy Arran pokazał jej szczeniaki. Była smutna, a on chciał poprawić jej nastrój. Takich miłych dni, kiedy było im ze sobą dobrze, znalazłoby się znacznie więcej. Rozmyślała o nich z rozrzewnieniem w Norwood, zwłaszcza w chwilach, gdy doskwierała jej nuda.

Rano obudziła się zepchnięta na brzeg łóżka, a na podłodze

znalazła kolejne dwa psy. Do pełni szczęścia brakowało jej tylko męża. Westchnęła i podniosła się. Czyżby rzeczywiście potrzebował tak dużo czasu na interesy w Lochalsh? Pocieszała się tym, że w takim odludnym miejscu raczej trudno by mu było dopuścić się zdrady. A może wcale tam nie pojechał?

Bez względu na to, co robił i gdzie był, nie może dać po sobie poznać, że coś ją niepokoi. W oczach innych ma być przede wszystkim skruszoną żoną.

Wypuściwszy psy, zadzwoniła po Nell. Po porannej toalecie zeszła na śniadanie do westybulu. Uśmiechała się po drodze do wszystkich MacKenziech, to jest do tych, którzy dla odmiany postanowili jej nie zignorować.

Później włożyła pelerynę i udała się do wioski. Minąwszy sklep pani Gowan, skręciła w boczną drogę. Przeskoczyła kilka kałuż i opędzając się od zbłąkanych kur, dotarła do domu, którego szukała.

Drzwi otworzył jej starszy, pomarszczony mężczyzna.

- Dzień dobry, panie Creedy.

Wpatrywał się w nią w milczeniu, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

- Lady MacKenzie. Poznaliśmy się kilka lat temu.

- A tak, pamiętam.

Odchrząknęła i poprawiła płaszcz.

- Przyszłam, żeby poprosić o... Potrzebny mi tartan.

Sprawiał wrażenie zaskoczonego. Potem łypnął na nią podejrzliwie.

- Dziś wieczorem ma się odbyć przyjęcie - zaczęła niepewnie.

- To znaczy... mój mąż postanowił przywitać mnie uroczyście w domu i... chciałabym włożyć coś w kratę...

- Chce pani włożyć coś w kratę... - powtórzył z niedowierzaniem.

Czy to naprawdę takie dziwne?

- Tak, chcę włożyć kratę.

- Hmm... coś podobnego... Czyżby zmieniła pani zdanie na temat naszych obyczajów?

Nie mogła winić go za nieufność. Wielekroć przychodził do niej ze swoimi wyrobami. Miał ich całe mnóstwo. Był dumny ze

swojej pracy, a ona zawsze odsyłała go z kwitkiem. W dodatku niezbyt uprzejmie. Oczekiwano od niej, że zamiast jedwabów nagle zacznie nosić obskurną wełnę, a jej wówczas coś takiego nie mieściło się w głowie.

- Tak. Nie myślę już tak jak kiedyś. Jestem panu winna przeprosiny, panie Creedy. Nie powinnam była...

- Och, dajmy pokój dawnym urazom, *milady*. Puśćmy to w niepamięć. Nieważne, co było kiedyś. Ważne, co jest teraz.

Zamrugła gwałtownie. Raptem zaczęło ją dręczyć sumienie. Przecież nie była jeszcze pewna, czy wróciła do Balhaire na dobre. A może jednak była? Coraz częściej zapominała, po co znalazła się z powrotem w domu męża. Była coraz bardziej zagubiona. Nie rozumiała już nawet własnych uczuć.

- Szkoda czasu na próżne żale, moja pani - odezwał się staruszek. - Co konkretnie by panią interesowało?

- Co by mnie interesowało? Hmm...

- *Arasaid*<sup>[9]</sup>, a może kamizelka? Nie, z kamizelką nie zdążę. Do wieczora za mało czasu.

- Aras... jak?

- Chodźmy do środka. Sama pani zobaczy.

Pochyliła głowę i przestąpiła próg. W chacie była tylko jedna izba. Na jednej ścianie stało łóżko, na drugiej duże krosno. Były też rozmaite przedzie oraz półka z ułożonymi równiutko gotowymi tkaninami. Pan Creedy zdjął jedną z nich i rozłożył przed Margot. Wyglądała jak ogromny koc.

- Jeśli się pani podoba, utniemy kawałek i zrobimy z niego szarfę. Pokażę pani, jak ją nosić, *aye*<sup>[10]</sup>?

- *Aye* - odparła bez zastanowienia.

Odciął szeroki pas pledu, przerzucił jej go przez prawe ramię i zebrał na lewym biodrze.

- Będzie pani potrzebne *luckenbooth*<sup>[11]</sup>, żeby spiąć końce.

- Ma pan na myśli broszkę? Ach, już rozumiem. Wspaniale. Zdąży ją pan przygotować przed wieczorem?

- Obszyjemy końce i w godzinę będzie gotowa. Syn przyniesie ją pani do zamku.

- Dziękuję, panie Creedy. - Uśmiechnęła się i ścisnęła go za rękę. - Jestem panu ogromnie wdzięczna.

Dzień minął Margot nadspodziewanie szybko. Zadomowiła się w nowych pokojach, a potem spacerowała po Balhaire, żeby zaznajomić się na nowo z otoczeniem. Zbliżała się pora wieczery, a po Arranie wciąż nie było ani śladu. Pojawiła się za to Nell. Przyszła pomóc jej się ubrać, a przy okazji przyniosła najnowsze wieści.

- Wrócił pani mąż - oznajmiła, rozczesując jej włosy. - Przywiózł ze sobą jakichś dwóch jegomościów i mnóstwo ryb.

Lady MacKenzie spojrzała na nią w lustrze.

- Pojechał łowić ryby? - zapytała zdumiona.

- Tego nie wiem. W każdym razie wyjechał bez ryb, a przyjechał z rybami.

Zostawił mnie samą na tyle czasu, żeby łapać ryby? Margot nie posiadała się z oburzenia. Dobrze, że chociaż raczył pojawić się z powrotem przed rozpoczęciem przyjęcia. Postanowiła, że nie będzie się złościć. Czekał ją trudny wieczór, a złość w niczym jej nie pomoże.

Kiedy przygotowania dobiegły końca, stanęła przed lustrem. Wyglądała wyjątkowo okazale, jak królowa. Do kompletu brakowało jej tylko korony. Zamiast niej miała za to kraciatą szarfę od pana Creedy'ego.

Niestety stroiła się zbyt długo i przyszła na kolację mocno spóźniona. Gdy dotarła do westybulu, wszyscy byli już na miejscu.

Nie weszła na salę od razu. Zatrzymała się w progu, żeby zaczerpnąć tchu. Musiała zebrać się na odwagę. Jak to w Balhaire, w pobliżu nie było lokaja, który mógłby ją zaanonsować. Była zdenerwowana i wystraszona. Bała się, choć sama nie wiedziała czego. W końcu zadarła podbródek i ruszyła z miejsca. Raz kozie śmierć, dodała sobie w duchu otuchy.

Jej wejście nie pozostało niezauważone. Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę, a rozmowy umilkły jak na komendę. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Widelce i łyżki zawisły w powietrzu w połowie drogi do ust. Jej mąż siedział na podłodze i patrzył wprost na nią. Był świeżo ogolony i miał na sobie czyste odzienie. Wyglądał dostojnie i mocarnie, jak prawdziwy pan na zamku. Na jego widok serce mocniej zabiło jej w piersi.

Zrobiło jej się gorąco. Miała wrażenie, że Arran zagląda jej w głąb duszy, ale z jego oczu trudno było cokolwiek wyczytać. Jeśli jej wygląd zrobił na nim wrażenie, to nie dał tego po sobie poznać.

Inni też byli bardziej zaciekawieni niż zachwyceni. Po namyśle uznała, że wolałaby, żeby jej jednak nie zauważyli. Nigdy dotąd nie czuła się tak niepewnie i tak niezręcznie. Policzki piekły ją od rumieńców. Uśmiechała się na prawo i lewo najpiękniej, jak umiała, rozpaczliwie wypatrując choć jednej przyjaznej twarzy. W Anglii jej wielkie wejście spotkałoby się z uznaniem, w Szkocji okazało się kompletnym fiaskiem.

Arran nie przyszedł jej z pomocą. Nie kiwnął palcem, żeby oszczędzić wstydu. Nie wstał nawet od stołu, żeby ją przywitać. Siedział sobie w najlepsze, rozparty jak basza i uśmiechał się z nieskrywanym zadowoleniem.

Jej zakłopotanie najwyraźniej go bawiło. Rozeźlona, przyrzekała sobie, że nie da mu satysfakcji i zrobi wszystko, żeby dobrze wypaść. Zebrała się w sobie i zaczęła rozmawiać z mijanymi po drodze ludźmi. Zupełnie jakby nic się nie stało, jakby nigdy ich nie porzuciła, nie uciekła od niego i od nich wszystkich.

- Dobry wieczór, wielebny ojciec - odezwała się, ściskając za rękę pastora. - Jak się ojciec miewa?

- Dziękuję, bardzo dobrze, chwalić Boga.

- A pańskie córki?

- Synowie, *milady*, synowie - poprawił z życzliwym uśmiechem.

- Naturalnie, przepraszam - powiedziała pospiesznie, czerwieniąc się po czubek nosa.

- Wszyscy już się pożenili - pochwalił się z dumą. - Pod koniec roku zostanę dziadkiem.

- Winszuję - odparła i zaczepiła kolejną osobę. - Miło mi panią widzieć, pani MacRae.

- MacRaney, *milady*. - Kobieta dygnęła, ale nie spojrzała jej w oczy.

Szkoci, pomyślała ze zniecierpliwieniem. Zawzięci jak osły. W ogień by skoczyli za swoim panem. Ich lojalność była do prawdy godna podziwu. Nie każdy potrafił wzbudzić u ludzi taki

szacunek. Chyba po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że Arran naprawdę zasłużył na uznanie.

Była już w połowie drogi do podestu, kiedy jej mąż wreszcie raczył się podnieść i do niej podejść.

- Lady MacKenzie - powiedział z ukłonem. - Witaj w domu.

- Dziękuję. - Dygnęła i podała mu rękę.

- Pięknie dziś wyglądasz, moja pani - stwierdził, spoglądając na jej tartanową szarfę. - Czyżbyś naprawiła stosunki z panem Creedym?

- W rzeczy samej. Był dla mnie bardzo miły. Podoba ci się?

Obejrzał ją od stóp do głów.

- Owszem, podoba mi się. Nawet bardzo. Zechcesz dołączyć do mnie przy stole? - Zachowywał się irytująco oficjalnie.

Pozwoliła zaprowadzić się na podest i zajęła krzesło obok niego.

- Poprosić, żeby podali ci piwo? - zapytał, przywołując służącego.

- Wolałabym wino.

Uniósł brew i popatrzył na nią przeciągle.

- Macie chyba wino, prawda?

- Aye, oczywiście, że mamy - rzekł z niejakim zniecierpliwieniem. - Ale my, MacKenzieowie, wolimy piwo. Jock warzy je sam i jest z niego bardzo dumny. Powinnaś spróbować.

Zatem nie będzie nawet mogła pić ulubionych trunków... Pojęła, że to część pokuty, i skinęła głową.

- Naturalnie. Piwo Jocka jest z pewnością wyborne. Mam tylko nadzieję, że mój kufel nie będzie zatruty.

- Tego nie mogę obiecać - odparł z uśmiechem. - Jock! Lady MacKenzie życzy sobie skosztować twojego piwa.

Kuzyn Arrana popatrzył na nią z powątpiewaniem.

- To prawda - powiedziała głośno, dotykając dłoni męża. - Mój mąż wychwala je pod niebiosa. Nie mogę pozwolić, żeby moje podniebienie nie poznało tak wysławianego smaku. - Sądziła, że jej słowa zabrzmiały wiarygodnie, ale Jock nie wyglądał na przekonanego.

Uklonił się pospiesznie i odszedł.

- Zadowolony? - spytała, spoglądając na MacKenziego.



- Nieszczęśliwie - odparł gładko. - Ale za to odrobinę udo-bruchany - dodał z rozbawieniem w oczach. - Jock jest wobec ciebie jeszcze bardziej nieufny niż ja.

- Nazwałabym to raczej pogardą. Twój kuzyn nigdy za mną nie przepadał. Ale to twoja wina.

- Moja? - powtórzył zdumiony.

- A tak. Twoja. To ty mu powiedziałaś, że trudno ze mną wy-trzymać. I... że w ogóle o mnie nie dbasz.

- Co ty pleciesz, kobieto? Nigdy niczego takiego nie mówiłem.

- Owszem, mówiłeś. „Wziąłem za żonę kłótniwą sekutnicę w przebraniu księżniczki”, zdaje się, że tak to ująłeś. A moje je-dwabie i koronki to ponoć tylko kamuflaż.

Roześmiał się, ale zaraz zmarszczył brwi.

- Niemożliwe. Na pewno tak nie powiedziałem.

- Powiedziałaś. Tam. - Skinęła w stronę kominka. - On i Jock myśleli, że są sami. Nie słyszeli jej, bo było późno, a na dworze głośno hulał wiatr.

- Nie... coś ci się musiało pomylić... chociaż... - Nagle przypo-mniał sobie tę rozmowę. Rzeczywiście skarżył się kiedyś kuzy-nowi na swoją niezdolność, angielską żonę. - Masz rację. Chyba zwyczajnie o tym... zapomniałem.

- Ja nie zapomniałam niczego.

- Nie wątpię. Cóż, kobiety mają bardzo długą pamięć. Rzekł-bym nawet, że są pamiętliwe.

- Za to mężczyźni zupełnie nie przywiązują wagi do tego, co naprawdę istotne. Zwłaszcza gdy przestają się czymś intereso-wać.

- Niekoniecznie. Ja też wiele pamiętam, *leannan*. - Zatrzymał wzrok na jej ustach. - Zwłaszcza długą listę twoich żalów i skarg.

Wpatrywał się w nią w taki sposób, że zaczęła się rumienić.

- A mnie się zdaje, że to nie były skargi, lecz błagania o po-moc. Potrzebowałam wsparcia. Nie było mi łatwo przywyknąć do nowych warunków.

Położył rękę na jej udzie.

- Ach tak, więc pomyliłem prośby o wsparcie z niemilknącymi narzekaniami. Wybacz, nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale

miałem wrażenie, że Balhaire nie spełnia twoich wygórowanych oczekiwań.

Ścisnęła jego dłoń, a potem ją odsunęła.

- Próbowałam dać ci do zrozumienia, że cię potrzebuję - powiedziała szczerze, zaglądając mu w oczy. - Może robiłam to w niewłaściwy sposób.

- Odrobinę zbyt wrzaskliwy, to na pewno - wypomniął bezlitośnie.

Raptem zrobiło jej się słabo. Zrozumiała, że Arran prawdopodobnie nigdy jej nie wybaczy. Co gorsza, zrozumiała też, że ona naprawdę tego pragnie. Tak, pragnęła, żeby jej wybaczył, i chciała się z nim pojednać.

- Istotnie, byłam kłótniwa - przyznała pokonanym tonem. - I głupia. Nie wiedziałam, jak inaczej zwrócić na siebie twoją uwagę. Wydawało mi się, że krzyki to jedyna droga. Dostrzegalesz mnie tylko wtedy, kiedy się kłóciliśmy albo kiedy płakałam.

- Chryste, Margot - mruknął, kiedy pojawił się przed nimi Jock z piwem. - Czy zrobiłem chociaż jedną rzecz tak, jak trzeba? Czy choć raz byłaś ze mnie zadowolona?

- Owszem, nawet wiele razy. A ty? Byłaś ze mnie kiedykolwiek zadowolony?

Nie odpowiedział, bo akurat postawiono przed nimi talerze i zajęli się posiłkiem.

Margot była przeraźliwie głodna. Przypomniała sobie, jak niewiele jadła od przyjazdu do Balhaire. Łupacz w kremowym sosie okazał się wyśmienity, a ciemne piwo idealnie podkreślało jego smak. Zjadła i wypła tak dużo, że niebawem gorset zaczął uwierać ją w żebra. Miała wrażenie, że za chwilę pęknie.

Gdy uprzątnięto ze stołu, Arran skinął na muzykantów, żeby zaczęli grać.

Niemal natychmiast podszedł do nich jakiś młodzieniec w kraciastych spodniach. Miał kręcone włosy i przypominał odrobinę średniowiecznego trubadura.

Ukloniwszy się nisko, zwrócił się do Arrana:

- Panie MacKenzie, pozwoli pan, że zaproszę pańską żonę do tańca?

Margot poprawiła się niespokojnie na krześle.

- Bardzo dziękuję, ale wolałabym...

- Nie zdążył jeszcze poprosić, a ty już mu odmawiasz? - wtrącił MacKenzie. - Czyżbyś miała coś przeciwko szkockim tańcom, droga żono?

- Nie, skądże. Nie o to idzie...

- Ach, pamiętam. Marna z ciebie tancerka, *aye*? Tak w każdym razie twierdziłaś przy okazji poprzedniego balu.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Widzisz? Jednak i ja coś pamiętam.

Niech go diabli, zaklęła w duchu.

- Rzecz w tym, że nie znam się na tutejszych tańcach - oznajmiła słodko. - Nie wolałby pan nieco bieglejszej partnerki? - powiedziała bezpośrednio do młodzieńca.

- Naturalnie, że nie - odparł za niego Arran. - Bo nie ma w sali piękniejszej niewiasty niż moja małżonka, prawda, młody człowieku?

- Istotnie, panie MacKenzie. Święte słowa.

- Śmiało, Margot. Nie kryguj się. Nigdy się nie nauczysz, jeśli choć raz nie spróbujesz, *aye*? - Posłał jej szelmowski uśmiech.

Kopnęłyby go pod stołem, gdyby nie rozsadzały jej przyciasna suknia i za duża ilość jedzenia. Zamiast tego uśmiechnęła się szeroko do młodziana, z którym miała tańczyć, a potem wstała.

- Dziękuję za zaproszenie. Będzie mi niezmiernie miło.

Chłopak rozpromienił się i podał jej rękę.

Tymczasem mąż popatrzył na nią z rozbawieniem w oczach.

- Niech ci nie przyjdzie do głowy ją oszczędzać, Gavin. Moja żona to wyjątkowa kobieta. Brak umiejętności nadrabia szczerym entuzjazmem. Nigdy nie brak jej zapału do zabawy.

Gdyby wzrok zabijał, MacKenzie leżałby, dogorywając w kałuży krwi.

- Radzę ci, mężu, uprzątnąć ze stołu wszystkie noże, zanim wrócę - zaszcebiotała słodziutko.

Schodząc z podestu, usłyszała za plecami jego śmiech.

Gavin poprowadził ją z werwą na środek i skłonił się nisko, niemal dotykając podłogi.

- Bardzo pan wytworny - zauważyła pełna podziwu. - Jakby bywalec francuskiego dworu.

- Na dworze wprawdzie nie bywałem, ale istotnie pobierałem nauki od Francuzów.

Hm... Interesujące, zastanowiła się. Ciekawe, jaki miał powód, żeby zawędrować aż do Francji? Nim zdążyła zadać mu pytanie, zakręcił nią dookoła, a potem puścił jej ramię i odsunął się na bok.

- Niech pani skacze, jak nogi poniosą! - zawołał radośnie.

Zaraz potem złapał ją ktoś inny, a potem jeszcze inny. Wszyscy w lot pojęli, że lady MacKenzie w ogóle nie umie tańczyć. Nie miała za grosz poczucia rytmu i cały czas była co najmniej trzy takty za resztą tancerzy. Za nic nie mogła za nimi nadążyć, w dodatku nieustannie deptała komuś po piętach, najwięcej biednemu Gavinowi. Uwierały ją buty, misterna fryzura zupełnie się rozsypała, a po plecach i między piersiami spływał jej pot.

Mimo to doskonale się bawiła. Nikt nie patrzył na nią krzywo, nikt nie był nawet zdumiony jej nieporadnością. Ludzie zrywali boki ze śmiechu, krzyczeli coś do siebie po gaelicku i poklepywali ją dla zachęty. Była w doskonałym nastroju, śmiała się bez oporów razem z całym klanem MacKenziech. Doszła do wniosku, że właśnie tak powinna była tańczyć przez całe życie.

Kiedy muzyka umilkła, Gavin odprowadził ją z powrotem na podest.

- Znakomicie sobie pani poradziła, milady.

- Nędzna ze mnie tancerka - odrzekła z uśmiechem. - Pan to co innego. Idę o zakład, że pobierał pan nauki.

- W rzeczy samej, pobierałem. Po śmierci ojca moja matka wyszła ponownie za męż. Za Francuza. Nasz ojczym *monsieur* Devanault zadbał o naszą dworską edukację. - Jego uśmiech był zaraźliwy.

- Jakim sposobem panu Devanault udało się znaleźć we Francji nauczyciela szkockich tańców?

- Szkockich tańców nauczyłem się tutaj, od ciotki. We Francji, jeszcze przed wojną, uczyłem się innych przydatnych rzeczy.

Pożegnali się, kiedy odsunął dla niej krzesło.

- Dziękuję i przepraszam, że zdeptałam panu nogi.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Ukłonił się, po czym

zniknął w tłumie.

Arran popatrzył na nią i roześmiał się w głos.

- Jesteś czerwona jak bu... - urwał i od razu się poprawił: - jak piwonia.

- Nie sądziłam, że to takie przyjemne. Doskonale się bawiłam.

- Jestem ci winien przeprosiny. Mówiłaś prawdę, rzeczywiście marna z ciebie tancerka.

Miała szczerą ochotę trzepnąć go porządnie w twarz, żeby zetrzeć z niej ten uśmieszek zadowolenia. Zamiast tego posłała mu własny lukrowany uśmiech.

- To wasze podskakiwanie jest wyjątkowo porywające. Musisz koniecznie ze mną zatańczyć...

- Nic z tego - oznajmił, podnosząc się raptem od stołu. - Wstaję jutro o świcie. Chcę się porządnie wyspać.

Wiedział, że nikt jej tu nie lubi, a mimo to zamierzał zostawić ją samą z całym klanem MacKenziech. Na domiar złego przysiedli się do niej Pepper i Worthing. Rozparli się na krzesłach i z napuszonymi minami spoglądali pogardliwie na bawiących się Szkotów.

- Wychodzisz? - zapytała cokolwiek wystraszonym tonem. - Mówiłeś, że ma być uroczyście...

- I jest - odparł gładko. - Powitałem cię w domu z należną celebrawą, a teraz udaję się na spoczynek. - Ujął ją za podbródek i zajrzał jej w twarz. - To dla ciebie znakomita sposobność, żeby odnowić znajomość z resztą klanu. Dasz sobie radę, Margot. Włożyłaś tartan. To miły gest. Jestem pewien, że ludzie go docenią. - Pocałował ją lekko w usta. - Dobranoc. - Pożegnał się i zaczął przeciskać ku wyjściu.

Gbur, podlec i niewdzięcznik! - pomyślała zawiedziona. Tak liczyła na jego wsparcie. Potem przyszło jej do głowy, że mąż odplaca jej pięknym za nadobne. Trzy lata temu on także oczekiwał wsparcia, którego od niej nie otrzymał.

Zerknęła na swoich wyfiokowanych rodaków. Wlepiali w nią oczy, jakby właśnie wstała z krypty po stu latach spędzonych na tamtym świecie. Nie wiedzieć czemu, irytował ją sam ich widok.

- Mój mąż jest strudzony po długim dniu - oznajmiła pogod-

nie. – Postanowił wcześniej się położyć. Tańczył pan już, panie Pepper? To świetna zabawa. Poprawi panu nastrój.

Spojrzał na nią, jakby postradała zmysły.

– Wolę jednak pozostać przy stole.

– Pańska wola. – Wzruszyła ramionami, po czym zerknęła ukradkiem na Szkotów. Ci, którzy ją pamiętali, chowali do niej urazę, pozostali odnosili się do niej z nieskrywaną nieufnością. Czowała się skrępowana i zażenowana. Jediną osobą, która miała do niej choć odrobinę sympatii, był młody Gavin MacKenzie.

Uniosła kufel i opróżniła go do dna, żeby dodać sobie animuszu. Jej mąż pragnie, żeby odnowiła znajomości? Nic prostszego. Wypatrzywszy w tłumie pastora Gale'a, uniosła spódnice i przemaszerowała przez izbę.

Duchowny sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Lady MacKenzie... – odezwał się, gdy przystanęła u jego boku.

– Zechce pan ze mną zatańczyć? – zapytała bez wstępów.

– Słucham?

– Zatańczy pan ze mną, wielbny ojczy? – powtórzyła spokojnie.

– Och... – rozejrzał się dookoła, jakby szukał pretekstu do ucieczki. Nie znalazłszy go, odstawił kufel i podał jej ramię. – Naturalnie, *milady*. Z przyjemnością.

Nie miała pojęcia, jak długo została na sali. Tańczyła do upadłego, z każdym, kto nie miał odwagi jej odmówić. Przestała dopiero, gdy nogi zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa. Zanim wyszła, pożegnała się osobiście ze wszystkimi, którzy zechcieli z nią rozmawiać. Dawniej byłaby zdruzgotana tak nieprzychylnym przyjęciem, dziś cieszyła ją każda uprzejma wymiana zdań. Odnotowała z zadowoleniem, że pod koniec wieczoru coraz więcej MacKenziech spoglądało na nią życzliwszym okiem.

Arran wyszedł, bo chciał ją upokorzyć, nie miała co do tego wątpliwości. Sprawdzał, ile była w stanie ścierpieć. Być może sądził, że nie zniesie kolejnych zniewag i sama wyjedzie z Balhaire. Tym sposobem nie musiałby jej osobiście wypędzać. Karze ją za to, że go opuściła, ale przeliczy się, jeśli sądzi, że tak łatwo mu pójdzie. Nie była już tą samą słabą i naiwną dziewczyną

ną, która trzy lata temu przyjechała do obcego kraju.

Przestąpiła próg swojej bawialni i zadzwoniła po Nell.

Służąca wyszła z gotowalni i otworzyła usta ze zdumienia.

- Matko Przenajświętsza, co się pani stało? - spytała, zatrzymując wzrok na jej zrujnowanej fryzurze.

- Co mi się stało? Nic. Tańczyłam. Ot co! - Lady MacKenzie zrzuciła buty i opadła na otomanę. - Siedziałaś tu sama przez cały wieczór? - zainteresowała się, rozmasowując obolałe stopy.

- Nie, *milady*. Poszłam do kuchni. Gawędziłam sobie z innymi służącymi, ale przyszedł ten gburowaty osioł i nam przeszkodził.

- Jock? - zdziwiła się Margot. - A cóż on robił w kuchni?

- Kto to może wiedzieć? - odparła ze złością pokojówka. - Łazi za mną od samego początku. Gdzie ja, tam i on. Przyczepił się jak rzep. Skaranie boskie! Przynieść pani koszulę nocną?

- Nie. Odświeżę się tylko i pójdę do męża. Mam z nim do pomówienia.

Jakiś czas później, kiedy Nell doprowadziła do ładu jej włosy, weszła do sypialni. W kominku palił się ogień, ale po Arranie nie było ani śladu. A ponoć był taki zmęczony... Gdzie on się podziewa o tej porze? Spiskuje z Francuzami?

Uniosła świecznik i rozejrzała się po izbie. Jak zwykle panował tu niemożliwy bałagan. Pani Abernathy najwyraźniej zapadła się pod ziemię. Poza stertami ubrań na podłodze walały się także różnych rozmiarów noże i sztylety. Przy łóżku stały ubłocone buty. Schyliła się i zaczęła zbierać porozrzucane rzeczy. Skoro mieli dzielić pokój, ktoś musi w nim sprzątać. Jak można żyć na takim pobojuwisku?

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sweeney zatrzymał Arrana w drodze do sypialni.

- MacLeary i jego ludzie czekają na ciebie przy bramie - oznajmił bez wstępów.

- Teraz? - MacKenzie nie spodziewał się ich o tej porze.

- Tak. Donald Thane zabrał ich na barbakan i dał im flaszkę whisky.

Swego czasu ojciec Arrana urządził tam pokoje dla gości.

- Poszukaj Jocka i czym prędzej go do mnie przyślij.

- *Aye*.

MacLeary był postawnym starszym jegomościem z burzą siwych włosów. Miał też mięsisty podbródek i ogromne dłonie. Wyglądem odrobinę przypominał ośnieżony górski szczyt.

Kiedy w geście powitania „klepnął” Arrana po plecach, ten niemal padł jak długi na ziemię.

- Patrzcie no tylko, młody Arran MacKenzie - zagrzmiął z szerokim uśmiechem, spoglądając na swoich dwóch towarzyszy. - W całej Szkocji nie znajdziesz ładniejszego chłopaczyska, *aye*? Taką masz cacaną gębę, młokosie, że gdybym nie był od trzydziestu lat żonaty, z miejsca bym ci się oświadczył.

Wszyscy czterej roześmieli się w głos.

- Jeszcze dziś napiszę do twojej żony - rzekł MacKenzie. - Podziękuję jej za to, że tak długo z tobą wytrzymała, i nie omieszkam życzyć jej zdrowia. Co was sprowadza do Balhaire? - dodał poważniejszym tonem.

- Jesteśmy w drodze powrotnej do Coigeach - odparł MacLeary. - Zwołaliśmy spotkanie, na którym powinieneś być. Mamy ważne wieści dotyczące twojej osoby.

Otworzyły się drzwi. Jock wszedł po cichu do izby, przywitał się i usiadł na ławie.

- Co to za wieści? - zapytał Arran.

- Od Toma Dunna.



MacKenzie nie słyszał tego nazwiska od lat. Dunn był w ich stronach kontrowersyjną postacią. Niektórzy uważali go za szkockiego patriotę, inni widzieli w nim zdrajcę kolaborującego z Anglikami, zwłaszcza od czasu gdy zamieszkał w Londynie.

- Od Dunna? A co konkretnie mówi pan Dunn?

- Nie rozmawiałem bezpośrednio z nim. To co wiem, wiem od Marleya Buchanana. Otóż Dunn powiedział Buchananowi, że twój teść jest... jak to się mówi, chłopaki? *Mi-onorach*<sup>[12]</sup>.

Niełatwo było przetłumaczyć to słowo na angielski, ale MacKenzie natychmiast pojął w czym rzecz. MacLeary twierdził, że ojciec Margot jest zamieszany w jakieś ciemne interesy.

- Co mianowicie zrobił?

- Ponoć układa się z Francuzami w wojnie przeciwko Anglikom, bo można nieźle napchać sobie przy tym kieszenie. Tyle że kiedy ktoś wyczuł pismo nosem i zaczęło się mówić o jego zdradzie, ten postanowił zrzucić winę na ciebie. Odżegnuje się od wszystkiego i mówi, że to ty jesteś spiskowcem.

- Ja? - Arran nie posiadał się ze zdumienia. - To chyba jakiś żart. I to marny. Nigdy nie miałem żadnych bliskich związków z Francuzami. Owszem, prowadzę z nimi handel, ale robię to jawnie i legalnie.

- Nie o wymianę handlową tu idzie, chłopcze. Norwood rozpowiada na prawo i lewo, że zamierzasz sprowadzić francuskie wojska do Balhaire, a potem razem z nimi i własnymi oddziałami górali uderzyć na Anglię, żeby przywrócić na tron Jamesa Stuarta.

MacKenzie popatrzył niewidzącym wzrokiem na sąsiada. James Stuart żył na wygnaniu we Francji i był katolikiem. Na angielskim tronie zasiadała jego przyrodnia siostra, Anna - bezdzietna, podupadająca na zdrowiu protestantka. Zgodnie z Aktami Dziedziczenia jej sukcesor także musiał być protestantem, brat nie mógł zatem rościć żadnych praw do tronu. Następcą królowej miał zostać najbliższy krewny o protestanckich korzeniach, czyli Jerzy Hanowerski.

Część Szkotów, a nawet garstka Anglików uważała, że prawowitym spadkobiercą korony jest syn Jamesa Stuarta. Chodziło głównie o to, żeby utrzymać na tronie dynastię Stuartów. Zwo-

lenników tej opcji nazywano jakobitami.

Trudno było uwierzyć, że Norwood uwikłał się w tak niebezpieczną politykę. W końcu oddał Szkotowi rękę jedynej córki. Układ był korzystny dla obu stron. Dlaczego miały go teraz zniszczyć, szkalując zięcia?

- To niemożliwe - oznajmił stanowczo Arran. - Nie jestem i nigdy nie byłem jakobitą. A mój teść był jednym z tych, którzy doprowadzili do podpisania unii. Położył na szali własną reputację i jest lojalny wobec królowej. Ryzykowałby zbyt wiele...

- Niekoniecznie - odparł z namysłem MacLeary. - Nie od dziś wiadomo, że królowa ma nie po kolei w głowie. Sypia ze swoją pokojówką i nieustannie wyklóca się z księżną Marlborough o jakieś błahostki. Żadna z niej wielka przywódczyni i, jak powiadają, ponoć nie pożyje długo. Jej poddani to widzą. Niektórzy już teraz postanowili zadbać o swoją przyszłość. Paktują i targują się z tymi, którzy mają największe szanse na zwycięstwo w kolejnej politycznej rozgrywce. Taka to już ludzka natura. Poza tym Norwood to *Sassenach*<sup>[13]</sup>, a takiemu nigdy nie wolno ufać.

- Prawda - zgodził się MacKenzie. - Mimo to nie widzę w tym wszystkim sensu. Jeśli oskarżą mnie o zdradę i postawią przed sądem, moje ziemie, czyli także jego córki, ulegną konfiskacie.

- A królowa w akcie wdzięczności przekaże je z powrotem Norwoodowi. W dowód wdzięczności za to, że ujawnił zdrajcę. Po mojemu twój „szacowny” teść może wiele zyskać.

- Wątpię - Arran nie chciał wierzyć.

- Pan MacLeary ma rację - wtrącił Jock.

- Nie sposób ująć tego delikatnie - dorzucił MacLeary - więc nie będę owijał w bawełnę. Lady MacKenzie jest Angielką. Jeśli skonfiskują twoje włości, to jak nic oddadzą je potem jej ojcu albo braciom. Jeśli zaś oskarżą o zdradę Norwooda i to jemu zabiorą majątek, jego synowie nie będą mieli do niego żadnych praw. Za to ty będziesz mógł zgłaszać roszczenia jako mąż jego córki. Stary pewnie nie chce ryzykować, że jego ziemie przejdą w szkockie ręce. Woli zrobić z ciebie kozła ofiarnego. - Pociągnął łyk whisky i spojrzał ponownie na Arrana. - A to ci jeszcze powiem, chłopcze, że znajdą się pewnie i tacy, co powiedzą, że

spiskujesz wespół z teściem, żeby nabić sobie kabzę.

- Że niby co? - obruszył się MacKenzie. - Przed chwilą dowodziłeś, że mają mnie za jakobitę. A teraz nagle knuję z teściem? Nie mam żadnych powodów, żeby zadawać się z Norwoodami. Ani z jakobitami. Co według ciebie mógłbym na tym zyskać?

- Więcej ziem na terytorium Anglii, dajmy na to. Jeśli wydasz Angolom kilku Szkotów jako jakobitów i zdrajców, królowa z pewnością zechce sownie cię wynagrodzić.

- Panie MacLeary! - oburzył się Jock. - Nie przyjechał pan tu chyba po to, żeby obrażać naszego wodza?

- A czy ja go obrażam? Nie gorączkuj się tak, chłopcze. Powtarzam tylko, to co zasłyszałem, z czystej życzliwości.

- Zapewniam cię, że nie układam się ani z jakobitami, ani z rodziną mojej żony - stwierdził kategorycznie Arran.

- Nigdy cię o to nie posądzałem - oznajmił spokojnie MacLeary. - Ale to, że ja w to nie wierzę, nie znaczy, że inni podzielają moje zdanie. Dlatego radzę ci jechać jutro z nami do Coigeach i zapewnić o swojej niewinności rozmaitych niedowiarków.

MacKenzie zawsze był wierny ojczyźnie. Poszedł na układ z Norwoodem tylko po to, żeby uchronić własnych ludzi przed biedą i głodem.

- Tak zrobię - rzekł ponuro. - Jeśli któryś ma mi coś do zarzucenia, niech powie mi to prosto w twarz.

- Cóż, angielska żonka to zawsze ryzyko - podsumował chytrze jego gość.

Arran miał ochotę przefasonować mu twarz. Nie lubił, gdy ktoś wyrażał się niepochlebnie o jego żonie, ale wolał nie zadzierać z sąsiadem, który, jak sam twierdził, próbował go ostrzec.

- Nie inaczej - odezwał się, podchodząc do drzwi. - Spokojnej nocy. Do zobaczenia jutro w Coigeach. - Z tymi słowy wyszedł, zostawiając przyjezdnych z Jockiem.

Jego kuzyn myślał zapewne dokładnie tak samo jak stary MacLeary. Nie raz powtarzał mu, że nie powinien być żenić się z Margot, bo więcej z tego kłopotu niż pożytku. Może nawet miał rację. Tak czy owak, Arran nie wierzył, że jego żona ma świadomość machinacji ojca. Jeśli jej papa rzeczywiście usiłuje

go pograć, to bez jej udziału. Nie przepadała za nim. I najprawdopodobniej wróciła do Balhaire z nakazu ojca, a nie z własnej woli. Ale bez względu na ich burzliwą przeszłość, nie chciała posłać go na szubienicę. Był tego niemal pewien.

Byle tylko nie okazało się, że na próżno się co do niej łudził...

Wszedł do sypialni i przystanął w progu, żeby przyzwycząić oczy do kompletnych ciemności. Po chwili spostrzegł, że izba wygląda inaczej niż wtedy, gdy z niej wychodził. Nic nie leżało na podłodze. Zniknęły wszystkie ubrania, buty i noże, które zostawił porozrzucone dookoła byle jak i byle gdzie. Za to na krześle wisiała suknia Margot. Ta sama, którą miała na sobie dziś wieczór. Gdy weszła na salę w olśniewającej toalecie i kraciastej szarfie, zaparło mu dech w piersiach. Choćby szukał całe życie, nie znalazłby piękniejszej kobiety w całej Szkocji. Co więcej, owa piękna kobieta należała do niego.

Zaskoczyła go dzisiaj. Chociaż był dla niej niemły, Margot zachowała spokój i zaskakującą pogodę ducha. Co więcej, zrobiła wszystko, żeby klan przyjął ją jak swoją. Tańczyła, żeby wkupić się w ich łaski, co kiedyś było nie do pomyślenia. Przez cztery miesiące, które spędzili razem po ślubie, ani razu nie dała się na to namówić.

Przesunął dłonią po przewieszanej przez krzesło jedwabnej tkaninie. Skoro jest suknia, to powinna też być tu gdzieś jej właścicielka. Wytężył wzrok i podszedł do łóżka. Margot leżała na pościeli, a obok niej wylegiwały się trzy psy. Kolejna niespodzianka. Przegonił je po cichu i wypuścił na korytarz. Potem pozbył się odzienia i stanął ponownie u wezgłowia.

Jego żona spała na boku z twarzą wtuloną w poduszkę i włosami zaplecionymi w gruby warkocz. Nie przywykł do takiego widoku. Nigdy dotąd nie przespalała całej nocy w jego łóżku. W każdym razie nie z własnej woli.

Wślizgnąwszy się bezszelestnie pod pierzynę, przytulił się do jej pleców i objął ją ramieniem. Miała na sobie cienką jedwabną koszulę, a jej włosy pachniały kwiatami. Jej drobne, gibkie ciało było zachęcająco ciepłe i miękkie. Raptem przepełniło go kłopotliwe pragnienie, by ją kochać i chronić, opiekować się nią tak, jak dobry mąż opiekuje się żoną.

- Gdzie byłeś? - mruknęła zasnianym głosem.
- Musiałem się z kimś rozmówić.
- Masz kochankę?

Westchnął z rozdrażnieniem.

- Nie, nie mam kochanki. Choć nie było mi łatwo, pozostałem ci wierny. Tobie i przysiędze, którą złożyłem przed obliczem Boga. Niektórzy do dziś mi powtarzają, że to najlepszy dowód mojej głupoty.

Przewróciła się na wznak i spojrzała na niego spod ciężkich powiek.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się i odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów.

- Nie powiedziałbym tego, gdyby to nie była prawda, *aye*? Odkąd się pobraliśmy, nie byłem z nikim oprócz ciebie. A ty? Możesz powiedzieć to samo o sobie?

Musnęła opuszkami palców jego wargi.

- Dobrze się zastanów, zanim odpowiesz. I radzę ci, nie kłam. Po twoim wyjeździe Dermid kręcił się cały czas w pobliżu Norwood Park.

- Nie da się ukryć... - westchnęła z rezygnacją. - Nieustannie ktoś mnie pilnuje. Dobrze, będę z tobą szczerą, ale obawiam się, że nie spodoba ci się to, co usłyszysz.

Przygotował się na najgorsze.

- Mów. Nie trzymaj mnie w niepewności.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Wkrótce po powrocie do Norwood Park pozwoliłam się pocałować.

Zmarszczył brwi i w milczeniu czekał na ciąg dalszy. Wbrew zdrowemu rozsądkowi miał oczywiście nadzieję, że nie będzie ciągu dalszego.

- Komu? - Nie wytrzymał i zadał pytanie, które nie dawało mu spokoju.

- Czy to takie ważne?

- Owszem, ważne. - Złapał ją za rękę i nie pozwolił jej się ponownie dotknąć. - Kto to był?

- Sir William Dalton - odparła, uwalniając dłoń. - Raczej go nie znasz.

To prawda, nie znał go. Ale zapamiętał sobie dobrze jego nazwisko. Znajdzie kiedyś tego bawidamka i ukatrupi go jak psa.

- Dlaczego pozwoliłaś, żeby całował cię jakiś fircyk? - zapytał stanowczym tonem. - Kochasz go?

Zachichotała, jakby opowiedział jej przedni dowcip.

- Boże uchovej! Ani przez moment nic do niego nie czułam. - Przewróciła się na brzuch i oparła na łokciach. W powietrzu uniosła się subtelna woń jej perfum. Pachniała kwiatami. Jak łąka latem. - Prawdę mówiąc, sama nie wiem, czemu to robiłam. Wypiłam odrobinę za dużo wina i byłam w ponurym nastroju. Nie brakowało mi zmartwień.

- Zmartwień? Przecież dostałaś to, co chciałaś; wróciłaś do domu.

- Mimo to byłam strapiona i przygnębiona. Z twojego powodu, drogi mężu. Poza tym trudno mi było pozbyć się złości. Nie umiałam pogodzić się z tym, że zmuszono mnie do małżeństwa i że nie mogę tego zmienić. Jako mężatka nie mogłam liczyć na ponowne zamążpójście.

- Dziękuję, to wyjątkowo budujące - podsumował szyderczo. - Od razu mi lepiej. - Położył się na plecach i zasłonił ręką oczy. Nie miał ochoty jej teraz oglądać.

Cmoknęła ze zniecierpliwieniem.

- Nie dąsaj się jak urażona panienska, MacKenzie. Dobrze wiesz, o co mi idzie.

- Nie, Margot. Nie mam pojęcia, o co ci idzie. Nigdy nie wiem, co ci chodzi po głowie.

- To co mówię, nie powinno cię dziwić. Nasze małżeństwo zostało zaaranżowane przez mojego ojca, który miał na względzie wyłącznie pomnożenie własnego majątku. Zupełnie nie dbał ani o moje szczęście, ani tym bardziej o moje zdanie. Ani przez chwilę nie zastanowił się nad tym, czy my dwoje będziemy do siebie pasowali. Rozumiesz chyba, że gdybym miała jakikolwiek wpływ na rozwój wypadków, w żadnym razie nie zgodziłabym się na ślub.

- Zupełnie nie rozumiem dlaczego - stwierdził naburmuszonym tonem.

- Bo cię w ogóle nie znałam! - odparła, jakby to było oczywi-

ste. – Widzieliśmy się zaledwie dwa razy. Skąd miałam wie-  
dzieć, czy stworzymy szczęśliwe stadło? Nie wiedziałam nawet,  
jakim jesteś człowiekiem. Zresztą okazało się, że moje wątpli-  
wości były uzasadnione. Nie byliśmy szczęśliwi. Ani ty, ani ja.  
Więc wróciłam do domu, przytłoczona fiaskiem mojego małżeń-  
stwa...

– Nasze małżeństwo nie było fiaskiem!

– A sir Dalton, dżentelmen w każdym calu – ciągnęła, ignoru-  
jąc jego protesty – darzył mnie ogromną estymą. Wytrwale się  
do mnie zalecał i był nad wyraz przekonujący.

– I to twoim zdaniem ma mnie uspokoić? – wtrącił szorstko.

– Więc pozwoliłam mu się pocałować, ale to była tylko chwilo-  
wa słabość. A potem...

Zdjął rękę z twarzy, żeby na nią spojrzeć.

– Co potem?

– Potem uzmysłowiłam sobie, co robię. I zrozumiałam, że wca-  
le tego nie chcę. Opamiętałam się w samą porę i dziękuję za to  
Bogu. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym posunęła się za  
daleko.

Nie był pewien, czy wierzy w jej zapewnienia.

– A czemuż to nie posunęłaś się dalej? – zadrwił bezlitośnie. –  
Z pewnością nie przez wzgląd na mnie. Nigdy o mnie nie dba-  
łaś.

– To nieprawda – stwierdziła spokojnie i cmoknęła go w ra-  
mię. – Zawsze o ciebie dbałam. I nie chciałam dopuścić się  
zdrady z tego samego powodu co ty. Przysięgałam ci przed Bo-  
giem wierność.

– I owszem, przysięgałaś – warknął poirytowany.

Nie wiedzieć czemu, zaczęła chichotać. Jakby jego rozdraż-  
nienie sprawiało jej przyjemność. Zamierzał właśnie powie-  
dzieć, że ta rozmowa zupełnie go nie bawi, lecz wtedy schyliła  
się i przygryzła zębami jego sutek. Krew zawrzała mu w żyłach.  
Mimo to zacisnął zęby i położył się na boku.

Niezrażona, tym razem cmoknęła go w plecy, między łopatkami.

– A ty? Nigdy nie odczuwałeś pokusy? – zapytała nieco poważ-  
niejszym tonem.

- Oczywiście, że odczuwałem pokusę - odparł, próbując się od niej opędzić. Zrobił to bez większego przekonania, więc całowała go dalej. - Ale jestem żonaty, więc nigdy nie uległem chwilowym zachciankom.

- W takim razie masz znacznie silniejszy charakter niż ja - stwierdziła z przekonaniem.

Chrząknął, zanim znów się odezwał.

- Zapewne się zdziwisz, ale nie wzrusza mnie to, że przyznałaś się do słabości. Nie zdołasz mnie w ten sposób ułagodzić. Przeciwnie, będę wobec ciebie jeszcze bardziej nieufny.

Pocałowała go w kark.

- Nie opowiedziałam ci tego po to, żeby cię udobruchać. Chcę być z tobą szczerą i pragnę cię przeprosić.

- W takim razie zacznij jak najprędzej, bo lista twoich przewin jest długa, a przeprosiny zajmą ci sporo czasu.

- Tak, Arranie, masz rację. - Położyła mu rękę na torsie. Lista jest długa, ale uwierz mi, naprawdę chcę cię szczerze przeprosić. Za wszystko.

Za wszystko? A co to niby znaczy? Obejrzał się przez ramię i popatrzył jej w twarz. *Diah*, potrafiła rozpalić go do żywego jednym muśnięciem warg. Mówiła tak przekonująco... W dodatku wyglądała przy tym urokliwie i ponętnie. Jego serce nadal walczyło z rozumem i... innymi partiami ciała. Ale jeszcze się wzbraniał, jeszcze stawiał opór. Dlaczego tak bardzo pragnie jej wierzyć? Czemu w ogóle z nią rozmawia? I dlaczego, na miłość boską, od razu nie odesłał jej do ojca?

- Przepraszam. - Cmoknęła go w ramię. - Proszę, wybacz mi. Nie widzisz, jak bardzo się staram? Tańczyłam, chociaż zupełnie mi to nie wychodzi. Piłam piwo, tak jak wszyscy. I przyszedłam do twojego łóżka. Nieproszona. To nie pozory. Niczego nie udaję. Naprawdę robię, co mogę, żebyś był ze mnie zadowolony.

- Aj, też mi coś... - zbył ją machnięciem ręki. - Zrobiłabyś to samo dla jednej nowej kiecki.

- Nie wierzysz mi? W takim razie spróbuję przekonać cię inaczej. - Uśmiechnęła się i przesunęła ustami po jego żebrach.

Podskoczył jak oparzony. Miał tam łaskotki.

- Co robisz...? Przestań...



Pociągnęła go za ramię i przewróciła z powrotem na plecy. Jej wargi wędrowały niżej i niżej, by w końcu zatrzymać się w dole brzucha. Tu skończyły się jego zmagania. Już się nie opierał. Już nie walczył. Nawet gdyby chciał, nie potrafił. Jej język wodził teraz po jego przyrodzeniu. Czy tego też ją nauczył? Pokazał jej, jak doprowadzić mężczyznę do szaleństwa?

- Nie rób sobie nadziei - przestrzegł ją przytłumionym głosem. - Nie jestem kobietą. Nie przekonasz mnie do siebie pocałunkami ani czułościami. Jutro nie będę ufał ci bardziej niż dzisiaj.

- Istotnie, nie jesteś kobietą - oznajmiła z rozbijającym uśmiechem. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - dodała i wzięła go w usta.

Zamknął oczy i umilkł na dobre. Z miejsca przeszła mu ochota do sprzeczki. Jego żona nie była już niedoświadczoną dziewczyną. Doskonale wiedziała, jak na niego działa, jaki wznieca w nim płomień. Miała też znacznie większy apetyt. Taki, jaki przychodzi z czasem i z doświadczeniem w sztuce kochania.

Niewiele brakowało, a zupełnie by się zapomniał. Niemal w ostatniej chwili poderwał się raptownie i chwycił ją za ramiona. W mgnieniu oka położył ją na wznak i rozsunął jej nogi. Nie trzeba jej było zachęcać. Natychmiast podciągnęła koszulę. Pomógł jej ją ściągnąć i ułożył się między jej udami. Była gotowa.

Złapała go za pośladki i przyciągnęła bliżej, jednocześnie unosząc biodra. Bez wątpienia podobało jej się to, co robili. Była chętna i śmiało dawała do zrozumienia, czego chce. Kiedy wślizgnął się do jej wnętrza, westchnęła z zadowoleniem i na moment rozrzuciła radośnie ramiona. Potem zatrzymała dłonie na jego plecach, ugięła kolana i objęła go nogami. Arran zacisnął powieki i całkowicie poddał się niewiarygodnie intensywnym doznaniom. Odczuwał ich zbliżenie każdym zmysłem. Ona także wyzbyła się wszelkich zahamowań. Jej oddech stawał się coraz szybszy i urywany. Im bardziej się zatracala, tym większą rozkosz pragnął jej dać. Przyspieszył i uniósłszy jej biodra, zanurzał się w nią coraz głębiej i mocniej. Aż wreszcie w tym samym momencie porwała ich fala najwyższej rozkoszy. Z siłą, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyli.

Po wszystkim opadł z sił i oparł głowę na jej ramieniu. Uśmiechała się szeroko, kiedy znów na nią spojrział.

- Och, Arranie, Arranie, ty zawsze wiesz, jak mnie zadowolić - wyszeptała, składając pocałunki na jego oczach i skroniach.

Boże drogi, pomyślał, co ta kobieta ze mną wyprawia? To przerażające. Owinęła mnie sobie wokół palca. Sam jej uśmiech zapierał mu dech w piersiach. Wystarczyło, że poświęciła mu trochę uwagi, a gotów był wybaczyć jej wszystko. Zapominał o jej perfidnych kłamstwach, byle tylko znów mieć ją przy sobie.

- Dogodziłem ci bardziej niż sir Dalton?

- Och, o wiele bardziej! - zapewniła zdecydowanie. - Nie mógłby się z tobą równać.

Zamruczał usatysfakcjonowany i pocałował ją w usta. Potem odsunął się i położył na plecach.

Westchnęła rozkosznie i przytuliwszy się do jego boku, opłótła go ramieniem.

Pogłaskał ją po dłoni.

- Powiesz mi wreszcie prawdę, Margot? Chcę wiedzieć, po co przyjechałaś.

Wypuściła głośno powietrze.

- Ty znowu o tym?

- Tak, znowu. Będę o to pytał, dopóki się nie dowiem, co przede mną ukrywasz.

- Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć?

- Chcę, ale nie mogę. Pojawiasz się raptem po trzech latach milczenia i twierdzisz, że usychasz z tęsknoty. To bardzo wygodne wytłumaczenie, nie przeczę, tyle że...

- Wygodne? Nic w całym tym przedsięwzięciu nie było wygodne. Rzekłabym, że owa nieskończenie długa podróż naraziła mnie na wielkie niewygody. Wyobrażasz sobie, ile czasu zajęło mi pakowanie? A moja eskorta? Pomyśl tylko, jak długo byłam skazana na nieustające towarzystwo panów Peppera i Worthinga.

- Prawda. Te angielskie fircyki nie wyglądają na dobrych kompanów.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Naprawdę nie ucieszyłeś się, że wróciłam? - zapytała, wzdając palcem po jego torsie. - Ani odrobinę?

- Nie, ani trochę - odparł, choć było to wierutne kłamstwo. - A skoro nie chcesz powiedzieć mi prawdy, możesz wracać do swoich pokojów. Pomóc ci włożyć suknię?

- Nie.

- Zamierzasz przemaszerować przez Balhaire, jak cię Pan Bóg stworzył?

- Skądże. Zamierzam zostać tutaj. Z tobą. Niepotrzebne mi już własne pokoje.

- Wykluczone, nie zgadzam się...

- Przecież zawsze chciałeś mieć mnie obok siebie. Nie podołało ci się, że przesiaduję w wieży, z dala od ciebie i reszty klanu.

- Owszem, ale to było trzy lata temu. - Na myśl o tym, że co noc będzie spała w jego łóżku, ogarnęła go lekka panika. - Wiele się od tego czasu zmieniło.

- Tak, i ja się zmieniłam. Chcę być dla ciebie dobrą żoną. Chcę, żebyś był ze mnie zadowolony. Zresztą jestem ci potrzebna. Ta izba wygląda jak pobożowisko.

- Pani Abernathy wyjechała na kilka tygodni. Dogląda niedomagającej siostry.

- Sam widzisz. Nie poradzisz sobie beze mnie. - Pogłaskała go po policzku i pocałowała w usta. - Ktoś musi tu od czasu do czasu posprzątać.

Czuł, że przegrywa tę bitwę. Ale od początku był na straconej pozycji. Złapał ją za podbródek i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Nie słyszałaś, co powiedziałem? Nie jesteś mi do niczego potrzebna - oznajmił oziębło. - Do tej pory radziłem sobie jakoś bez ciebie, więc nie rób sobie wielkich nadziei.

- Dobrze, nie będę - zgodziła się słodkim głosem. - Co tylko zechcesz, mężu. - Odsunęła dłoń, która ścisnęła jej podbródek, ucałowała jej wnętrze, a potem ułożyła się wygodnie, wtulając głowę w jego ramię. Zupełnie tak, jak to zapamiętał.

Poczuł się bezpiecznie i błogo. Niech to wszyscy diabli! - pomyślał bezradnie. Wiedziała dokładnie, co robi. A robiła z nim,

co tylko chciała. Kusiła go i uwodziła, kiedy trzeba wkupywała się w jego łaski, a kiedy indziej sprzeciwiała mu się i stawiała na swoim. Równie dobrze mogłaby od razu wbić mu sztylet w serce. Był przy niej bezbronny jak dziecko.

I po co to wszystko? Czyżby naprawdę chciała, żeby skończył na stryczku? Jeśli tak, spotka ją srogi zawód... Już wkrótce zresztą będzie musiała wyjawić mu całą prawdę.

Zbudził ją delikatny klaps w pośladek. Poderwała się raptownie i rozejrzała dookoła zaspanym, odrobinę wystraszonym wzrokiem.

Arran stał przy łóżku w pełni odziany i gotowy, by rozpocząć kolejny dzień. Za oknem ledwie świtało, mimo to Balhaire tętniło życiem. Z dziedzińca dobiegały wyraźne odgłosy rozmów.

Margot przetarła oczy, skrzywiła się i zamrugnęła. MacKenzie błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

- Kiedy się kładłaś, wyglądałaś cudownie, jak z obrazka, a teraz przypominasz straszdyło? Jak to możliwe? - Zmierzył jej włosy i pogładził ją po policzku. - Wstawaj, śpiochu. Już najwyższa pora. Zadzwoń po pokojówkę, jeśli potrzebna ci pomoc. Ja muszę jechać do Coigeach.

- Znów cały dzień nie będzie cię w domu? - zapytała z rozczarowaniem w głosie.

- Wrócę wieczorem. Ani się obejrzysz, a będę z powrotem. - Włożył płaszcz, pochylił się i cmoknął ją w czoło. - Pamiętaj, masz się dobrze sprawować. Nie włócz się po zamku i nie strasz mi ludzi.

- Nikt się mnie nie boi - odparła, bez powodzenia tłumiąc ziewnięcie. - Nie lubią mnie.

- Raczej jedno i drugie. - Uśmiechnął się półgębkiem, rzucił jej na łóżko sukienkę i wyszedł.

Margot opadła na poduszki i przymknęła powieki. Była zadowolona i nie miała ochoty o niczym myśleć. Z przyjemnością wylegiwała się o poranku w małżeńskim łóżu. A jeszcze milej było przespać w nim całą noc z mężem u boku. Arran przez cały czas obejmował ją ramieniem przytulony do jej pleców. Przy nim czuła się cudownie bezpieczna i beztroska.

Wtuliła twarz w jego poduszkę i wciągnęła piżmowy zapach. Boże, ależ była kiedyś głupia, powiedziała sobie w duchu. We wspólnym spaniu było coś niesłychanie intymnego. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo tak prozaiczna czynność może zbliżać ludzi. Ciekawe, w ilu innych kwestiach nie miała racji... W czym jeszcze się myliła?

Powody, dla których znalazła się ponownie w Balhaire przestały się liczyć. Teraz zajmowało ją coś zupełnie innego. Naprawdę pragnęła pogodzić się z mężem, ale wciąż dręczyła ją niepewność. Niewykluczone, że swoją ucieczką zaprzepaściła wszelkie szanse na pojednanie i uratowanie ich małżeństwa. Niepokoiły ją także ciągłe wyjazdy Arrana. Chciałaby wiedzieć, dokąd jeździł i co robił. Łączyła ich coraz silniejsza więź. Ale co będzie, jeśli się okaże, że istotnie jest zdrajcą? Nie wierzyła w to ani przez chwilę, ale dla jego dobra, dla dobra ich obojga, wolałaby zdobyć namacalne dowody jego niewinności. I pokazać je tym, którzy rzucali przeciw niemu bezpodstawne oskarżenia.

Rozejrzała się po izbie. Nadarzyła się jej idealna sposobność, żeby przeszukać jego rzeczy. Sęk w tym, że zupełnie nie miała do tego serca. Nie przemawiała do niej idea szpiegowania własnego męża. Zwyczajnie nie chciała tego robić. Wiedziała, że to nikczemne i nieuczciwe. Wczoraj przed jego powrotem zajrzała wprawdzie pod łóżko i do szuflad komody, ale niemal natychmiast dała sobie spokój. Myszowanie nie przypadło jej do gustu. Poza tym nie wiedziała nawet, czego właściwie szuka.

Ku jej rosnącej irytacji Pepper i Worthing nadal przebywali w Balhaire. Co gorsza, stale mieli ją na oku. Śledzili niemal każdy jej krok. Zaczynała czuć się jak więzień we własnym domu. MacKenzie byli wobec niej podejrzliwi, a zausznicy ojca oczekiwali od niej informacji o rzekomej zdradzie męża. Innymi słowy, albo łąził za nią Jock, albo jej angielscy „przyjaciele”. Potrzebowała chwili samotności i odosobnienia. Chciała spokojnie pomyśleć i oczyścić umysł. Postanowiła wybrać się na przejażdżkę za mury zamku. Nie była wytrawnym jeźdźcem, ale nie miała wątpliwości, że jakoś da sobie radę. Musi tylko wymyślić jakiś pretekst do wyjazdu. Powie im, że zamierza złożyć komuś wizytę.

Przywołała Nell i godzinę później zeszła na śniadanie w stroju do konnej jazdy. Jako że wódz MacKenziech mieszkał z całą rodziną i przyległościami, posiłki spożywano razem w westybulu. Kiedyś wydawało jej się to niestosowne. Nie lubiła wspólnych śniadań także z tego względu, że nie przywykła do wczesnego wstawania. W końcu była panią domu i w przeciwieństwie do reszty klanu nie musiała pracować. Tak w każdym razie wówczas myślała. Myliła się, tyle że wtedy nie zdawała sobie z tego sprawy.

Sala była jeszcze pełna. Przy stołach zasiadały głównie kobiety z dziećmi. Nie wiedzieć czemu, niektóre patrzyły na nią tak, jakby za chwilę miały jej wyrosnąć rogi.

Podeszła do kredensu, na którym wyłożono jedzenie.

- *Madainn mhath*<sup>[14]</sup>, *milady* - usłyszała za plecami.

Spojrzała przez ramię na Lennona MacKenziego, tutejszego kowala.

- Dzień dobry - przywitała się uprzejmie.

- Dobry, żeby zatańczyć skakanego, *aye*? - zapytał nie bez drwiny, a jego kompani zarechotali w głos, jakby usłyszeli przedni dowcip.

Odwróciła się i posłała mu szeroki uśmiech. Był tak zaskoczony, że aż zachwiał się na nogach.

- Czyżbym podeptała panu wczoraj palce, panie MacKenzie? Najmocniej przepraszam. Jeszcze nie opanowałam waszych tańców, ale bardzo mi na tym zależy.

Lennon zerknął niepewnie na swoich druhów.

- Cała sztuka w tym, żeby płynnie przeskakiwać z nogi na nogę - rzekł w końcu. - To nic trudnego.

- W takim razie może mnie pan nauczyć? - spytała z entuzjazmem. Spoglądając na jego minę, miała ochotę się roześmiać. Towarzysze kowala sprawiali wrażenie zaskoczonych. Wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczami, czekając na odpowiedź.

- *Aye, milady* - odrzekł po chwili milczenia. - Oczywiście, że panią nauczę.

- Znakomicie. Dziękuję i trzymam pana za słowo. - Poklepała go po ramieniu i odeszła, żeby nałożyć sobie coś na talerz. Za-

stanawiała się właśnie, który wybrać ser, kiedy znów ktoś do niej podszedł.

Nie dadzą mi nawet spokojnie zjeść, pomyślała poirytowana, zwracając oczy ku intruzowi. Okazał się nim Pepper. Stał tuż obok niej, zasłaniając nos koronkową chusteczką. Zupełnie jakby zapach śniadania drażnił jego delikatne, angielskie nozdrza.

- Dzień dobry, lady MacKenzie - odezwał się, skłaniając głowę.

- Dzień dobry, panie Pepper. - Odwróciła się z powrotem do kredensu. - Pan też przyszedł po to, żeby wyśmiewać moje tańeczne umiejętności? Czy też raczej ich brak?

- Tego, co tu wyczyniają, nie nazwałbym tańcem - odparł sztywno. - Doszły mnie słuchy, że wódz wyjechał o świcie z Balhaire.

- Owszem, wyjechał - potwierdziła zwięźle.

- Dokąd?

Wzruszyła ramionami i nałożyła sobie sera.

- Nie wiem. Nie powiedział mi.

Przyjrzał jej się podejrzliwie.

- Jest pani ubrana w strój do jazdy - stwierdził mało odkrywczco. Trudno było tego nie zauważyć.

- A tak, jestem.

- Dokąd się pani wybiera?

Uniosła brwi.

- A czemuż to pana interesuje?

- Jak to, czemu? - spytał zniecierpliwiony, jakby rozmawiał z mało rozgarniętym dzieckiem. - Przysłano mnie tu po to, żebym dbał o pani bezpieczeństwo. Niechże pani weźmie ze sobą chociaż psa, tylko może jakiegoś młodszego i groźniejszego niż ten tutaj. - Zerknął wymownie w lewo.

Podążyła za jego wzrokiem. Przy palenisku wylegiwał się starénki ogar z siwym pyskiem.

- Mój mąż kocha psy - oznajmiła oziębło. A jeśli coś się panu nie podoba - dodała w myślach - to niech pan sobie znajdzie lepsze lokum poza zamkiem. Nagle przypomniała sobie pewną historię sprzed lat. Młody psiak, właściwie jeszcze szczeniak, wpadł w okolicach Balhaire we wnyki zastawione przez kłusow-

ników. Gajowy uznał, że nie da się go uratować. Co gorsza, było oczywiste, że będzie konał w męczarniach przez kilka godzin. Arran płakał, kiedy niósł biednego zwierzaka do lasu, żeby skrócić jego cierpienia. Jeszcze dziś ścisnęło jej się serce na myśl o tym, jak rozpaczał po tym piesku.

- Ponoć pan MacKenzie zabrał ze sobą kilku ludzi z klanu - drążył dalej Pepper.

- Doprawdy? - odpowiedziała pytaniem. Przeliczy się, jeśli mu się zdaje, że cokolwiek z niej wyciągnie.

- Nie wiedziała pani? - zdziwił się poirytowany. - Proszę nie wyjeżdżać bez eskorty - dodał natarczywie. - Niech pani zabierze ze sobą stajennego. W tych stronach ostrożności nigdy nie za wiele...

Zmierzyła go niechętnym spojrzeniem.

- W przeciwieństwie do pana, panie Pepper, jestem u siebie. Balhaire to mój dom, więc włos mi z głowy nie spadnie. Nie potrzebuję psa ani służącego. Zamierzam odwiedzić przyjaciółkę. Możliwe, że będzie miała dla mnie jakieś informacje. - Uniosła znacząco brew. - Niczego mi nie powie, jeśli nie pojedę sama.

Włożył do ust jagodę i obrzucił ją taksującym spojrzeniem.

- Tak czy inaczej, dziękuję za troskę - dodała, uznając rozmowę za zakończoną.

Pepper na szczęście nie naciskał, zauważyła jednak, że kiedy w sali pojawił się Worthing, natychmiast zaczęli między sobą szeptać. Jak długo zamierzają pozostać w Szkocji? Ich przedłużający się pobyt w Balhaire niczemu nie służył. Poza tym, że ich widok coraz częściej przyprawiał ją o dreszcz niepokoju. Mogliby wreszcie wyjechać i zostawić ją w spokoju.

Skończywszy śniadanie i upewniwszy się, że nikt jej już nie zaczepi, włożyła kapelusz oraz rękawiczki i udała się na poszukiwanie Sweeneya.

Znalazła go na dziedzińcu.

- Osiodłaj mi konia, Sweeney - powiedziała, gdy wymienili uprzejmości na powitanie. - Tylko błagam, nieco mniejszego i spokojniejszego niż ten, na którym jeździłam kilka dni temu. Takiego, nad którym bez trudu zapanuję. Aha, i chciałabym też odpowiednie siodło, jeśli to nie kłopot.



- Odpowiednie?

- Tak, odpowiednie dla damy.

- Hm... damskie siodło. Obawiam się, że to może być kłopot, ale poszukam. - Zniknął w stajni na przeszło kwadrans. Kiedy się z niej wreszcie wyłonił, przyprowadził ze sobą karego fella<sup>[15]</sup>. Miał długą, zmierzwioną grzywę, która zakrywała mu oczy. Był szeroki, ale niski w kłębie, znacznie niższy niż poprzedni wierzchowiec.

- Wspaniały - powiedziała uradowana, głaszcząc kuca po chrapach. - Na pewno się zaprzyjaźnimy.

- Aye, jest łagodny i stateczny. W sam raz dla niewprawnych i początkujących jeźdźców.

- Czyli w sam raz dla mnie - przyznała z westchnieniem.

Sweeney pomógł jej usadowić się w siodle, które widziało lepsze czasy i miało rysy w co najmniej kilku miejscach. Po chwili złapała równowagę i poczuła się w miarę swobodnie.

- Gdyby ktoś o mnie pytał - oznajmiła, ściągając wodze - powiedz, że wybrałam się w odwiedziny do przyjaciółki.

- Przyjaciółki? - powtórzył z niedowierzaniem.

Posłała mu piorunujące spojrzenie.

- Aye, *milady* - rzekł, jakby wiedział, że i tak nikt nie zapyta. - Wedle życzenia.

Spróbowała ruszyć z miejsca, ale fell nie zamierzał współpracować. Po kilku nieudanych podejściach MacKenzie zlitował się nad nią i klepnął kuca w zad.

W końcu wyjechała za bramę i pokłusowała wzdłuż ścieżki wiodącej przez wrzosowiska do lasu. Dookoła kwitły pierwiosniki i dzwonki, a w powietrzu unosił się zapach fuksji. Panowała cudowna cisza, przerywana jedynie ćwierkaniem ptactwa i szumem fal dobiegającym od strony morza. Nareszcie mogła nacieszyć się odrobiną samotności. Przez całe życie ktoś nieustannie ją obserwował. Najpierw ojciec i bracia, potem człowiek, którego Arran posłał za nią do Anglii, teraz jej wszechobecna eskorta.

Kiedy dotarła do plaży, spostrzegła zacumowany w oddali statek. Na pokładzie krzątali się ludzie. Kilku z nich spuściło do wody łódź i zaczęło wiosłować do brzegu.

Dawniej widok statku przygotowującego się do wypłynięcia w morze nie wzbudziłby jej zainteresowania ani tym bardziej podejrzeń. Dziś przyszło jej do głowy, że to, co widzi, może okazać się ważne, może rozstrzygnąć o winie lub niewinności jej męża.

Przyglądała się więc uważnie marynarzom, gdy nagle dostrzegła kątem oka jakiś ruch po swojej prawej stronie. Odwróciła się i zobaczyła wychodzącego z lasu mężczyznę.

Przystanął i popatrzył na nią bez słowa.

- Dzień dobry - odezwała się zaniepokojona jego długim milczeniem.

Nieznajomy nadal milczał. Pożałowała, że nie posłuchała Pepera i nie wzięła ze sobą psa.

- Lady MacKenzie - przedstawiła się.

- Aye, wiem, kim pani jest.

Chwała Bogu, pomyślała z niejaką ulgą. Skoro wie, kim jestem, być może mnie nie zamorduje. Mord na żonie przywódcy klanu źle by się dla niego skończył. O ile myśl o przykrych konsekwencjach w ogóle przyjdzie mu do głowy. Tego niestety nie mogła być pewna.

- Co pan tam robił? - zapytała stanowczo, skinąwszy w kierunku lasu. Uznała, że odpowiednio władczy ton zbije go z panatyku. A przynajmniej miała taką nadzieję.

Obejrzał się przez ramię. Za jego plecami stało kilka skrzynek. Nie wiedzieć czemu, przemknęło jej przez myśl, że są pełne broni. Jeżeli jej mąż rzeczywiście planuje rebelię, to będzie mu potrzebna broń, a tę z zasady przewozi się w skrzyniach...

- Nic szczególnego, *milady* - odpowiedział na pytanie nieznajomy. - Przywieźliśmy ze sobą odzienie i porcelanę. Trzeba było je rozładować.

- Skąd przyplłynęliście?

- Z kontynentu...

Raptem zrobiło jej się słabo. Ojciec i Bryce mówili o Francji! Zdrajca miał najpierw sprowadzić stamtąd broń, a potem ludzi.

- Sprowadziliście ze sobą jakichś ludzi? - zapytała pospiesznie. - Żołnierzy, oficerów?

Zmarszczył brwi wyraźnie zdezorientowany.

- Ludzi? Nie, skądże.

Do brzegu przybijała właśnie łódka z dwoma marynarzami. Nie miała zbyt wiele czasu na dalsze pytania.

- Kto dowodził statkiem?

- Kapitan MacKenzie.

Naturalnie. MacKenzie. Niemal wszyscy w Balhaire noszą nazwisko MacKenzie. To mógł być ktokolwiek.

Mężczyzna zaczął się do niej zbliżać.

- Mąż lada chwila ma do mnie dołączyć - oznajmiła w popłochu. Ze strachu serce podeszło jej do gardła. Zerknęła nawet w stronę ścieżki, jakby oczekiwała, że Arran jakimś cudem naprawdę się na niej pojawi i przyjdzie jej z pomocą.

- Jakże to? - zdziwił się. - Przecież pojechał z samego rana do Coigeach.

Przeraziła się nie na żarty. Wiedziała, że mógł bez trudu zrzucić ją z konia. Za nic w świecie nie utrzymałaby się w siodle. Spadłaby na ziemię jak kłoda. Arran miał rację. Powinna sprawić sobie parę spodni i nauczyć się jeździć okrakiem, jak wszyscy. Przysięgła sobie, że tak właśnie zrobi, jeśli dożyje jutra.

- Boże zlituj się - wymamrotała pod nosem, widząc, że nieznajomy wkłada rękę do kieszeni. Sądziła, że wyciągnie nóż, więc spanikowana spróbowała obrócić kuca. Na próżno. Uparte zwierzę tkwiło w miejscu jak zakłute. Dopiero gdy szarpnęła go mocno w lewo, odwrócił się, lecz tylko do połowy.

- *Milady!* Proszę nie odjeżdżać. Mam coś dla pani. - Mężczyzna stanął obok niej i przytrzymał konia za uzdę.

- Niech pan mnie natychmiast puści! - zawołała głosem drżącym ze strachu.

Wysunął ku niej otwartą dłoń. Spoczywała na niej porcelanowa figurka kobiety w strojnej, balowej sukni. Miała wysuniętą w ukłonie stopę, a jej ręce unosiły lekko rąbek spódnicy. Brakowało jej jednego z ramion, które najwyraźniej zostało utracone.

- Upuściliśmy jedną ze skrzyń - wyjaśnił tymczasem jej rozmówca. - Kapitan kazał nam wyrzucić potłuczoną porcelanę za burtę, ale ta figurynka bardzo mi się spodobała. Pomyślałem, że nada się na podarunek, więc ją zatrzymałem. Jest co prawda trochę wyszczerbiona, ale i tak wciąż śliczna. Dla pani, jeśli

pani zechce.

- Dla mnie? - zapytała niepewnie.

- Tak, *milady*. Proszę przyjąć ten skromny podarek.

Zawahała się, lecz w końcu podniosła figurkę.

- Dziękuję. Bardzo pan miły.

- Nie ukradłem jej. Nie jestem złodziejem.

- Naturalnie. Wcale tak nie pomyślałam. - Oczywiście, że tak pomyślała, a on doskonale o tym wiedział.

- Włożyłem ją do kieszeni, żeby dać naszemu wodzowi, ale potem usłyszałem, że jego żona przyjechała błagać, żeby przyjął ją z powrotem... - urwał gwałtownie, kiedy uzmysłowił sobie własny nietakt. - Znaczy się, chciałem powiedzieć, zjechała do domu - poprawił się pospiesznie. - I doszedłem do wniosku, że to idealny prezent dla pani. Na powitanie.

Zarumieniła się i obejrzała z bliska figurkę.

- Cóż, dla takiego prezentu warto było wrócić i ukorzyć się przed mężem.

Biedaczysko zrobił tak zaambarasowaną minę, że nie mogła się nie roześmiać.

- Jeszcze raz dziękuję. Jestem panu ogromnie wdzięczna. - Głównie za to, że jednak nie zamierzał zrobić jej krzywdy...

Skinął głową i odsunął się.

- Nie wszyscy w Balhaire cieszą się z pani przyjazdu. Skłamałbym, gdybym powiedział, że jest inaczej. Ale mężczyzna potrzebuje żony, taka jest prawda. Oddałbym wszystko, żeby moja ślubna była znów obok mnie. Nie potrafiłem jej docenić, dopóki nie odeszła.

- Odeszła od pana?

- Odebrała mi ją czarna febra.

- O mój Boże. Bardzo mi przykro. Proszę przyjąć moje kondolencje. - Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak druzgocąca musi być śmierć współmałżonka. Ona i Arran bardzo się różnili. Mieli swoje nieporozumienia, ale na samą myśl, że mogłoby mu się przytrafić coś złego, ogarniało ją paraliżujące przerażenie.

Pożegnała się i włożyła podarunek do kieszeni. Tym razem udało jej się obrócić konia i poprowadzić go wzdłuż klifu w kie-

runku Balhaire. Spoglądając na plażę, rozmyślała o tym, co powiedział nieznamy. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, czy Arran jej potrzebuje. Myślała wyłącznie o sobie i o własnych potrzebach.

Mąż z pewnością był jej potrzebny, ale czy ona była potrzebna jemu? Poza posagiem niewiele mogła mu dać. Jak dotąd sprawiała same kłopoty i była dla niego ciężarem, a nie towarzyszką życia, przyjaciółką i powierniczką.

Spojrzała jeszcze raz na zakotwiczony w oddali statek. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że jest stanowczo za mały, żeby przewozić nim wojsko. Cóż za nonsens, zganiała się w myślach. Niczego nie odkryje, jeżdżąc po okolicy i szukając, Bóg wie czego. Zresztą tak naprawdę nigdy nie wierzyła w domniemane zdradzieckie zakusy męża.

Zawróciła konia na ścieżkę przez las. Zapomniała już, jak piękny jest szkocki krajobraz, złoty lub purpurowy w zależności od tego, w którym miejscu znajduje się słońce. Powietrze pachniało mokrymi liśćmi i torfem.

Minąwszy pracujących w polu chłopów, uzmysłowiła sobie, że życie w Balhaire choć proste, przynajmniej nie jest puste i pozbawione sensu. Ci ludzie ciężko harowali na chleb i na to, żeby wychować dzieci. Nie zabiegali o akceptację wyższych sfer, nie dbali o przywileje i koneksje. Cieszyły ich proste przyjemności. Nie potrzebowali wiele do szczęścia, co nie znaczy, że nie byli szczęśliwi. Nawet ślepiec by zauważył, że wioska dobrze prosperuje i żyje się w niej skromnie, lecz wystarczająco dostatnio. Dlaczego Arran miałby rezygnować ze wszystkiego, co tu zbudował? W imię przymierza z Francuzami i przywrócenia na tron Jamesa Stuarta? Po co? Przecież niczego by na tym nie zyskał.

Gdyby tylko udało jej się znaleźć jakieś namacalne dowody jego niewinności... Tak, dołoży wszelkich starań, żeby oczyścić jego imię.

Wróciwszy do zamku, odprowadziła kuca do stajni i pobiegła do swoich pokojów. Pochłonięta własnymi myślami otworzyła gwałtownie drzwi – tak gwałtownie, że wystraszona Nell niemal spadła z krzesła.

- Jest pani nareszcie! Już myślałam, że nigdy pani nie wróci.

Ależ miałam ciężki dzień! Znów nachodził mnie ten kosmaty rudzielec. Powiedział, że pod żadnym, ale to żadnym pozorem nie wolno mi wchodzić do komnat pana. Też mi coś, ja mu na to, że to również komnaty mojej pani, więc będę tam wchodzić, kiedy tylko mnie zawoła. Powiadam pani...

Margot powstrzymała jej tyradę, unosząc dłoń.

- Nell, nie teraz. Opowiesz mi o tym później. Chciałabym się zdrzemnąć przed kolacją.

- Och, *milady!* - załamała ręce służąca. - Żle się pani czuje? Coś pani dolega?

- Nie, nic mi nie dolega. Odrobinę boli mnie głowa, to wszystko. Ja też miałam trudny dzień.

- Przynieść pani...

- Nie, dziękuję. Niczego mi nie trzeba. Zadzwonię po ciebie. - Weszła do sypialni męża i zamknęła za sobą drzwi. Naprawdę miała zamiar się położyć, po namyśle podeszła jednak do komody. Przeszukała ją dokładnie, ale oprócz ubrań i kilku osobistych drobiazgów nie natknęła się na nic godnego uwagi.

Przycupnęła na krześle, żeby zebrać myśli. Kiedy zerknęła w stronę gotowalni, nagle przypomniała sobie, że można stamtąd wejść do przyległego gabinetu. Tak, zdecydowanie powinna rozejrzeć się po gabinecie. Nie zwlekając ani chwili, wprowadziła swój plan w czyn. Nacisnąwszy ostrożnie klamkę, uchyliła drzwi i wstrzymując oddech, przestąpiła próg. Pokój był pusty i pogrążony w półmroku. Nie napalono jeszcze w kominku, a wątle popołudniowe światło wpadało do środka jedynie przez okna, które wychodziły na wzgórze.

Spojrzała na zegar. Był kwadrans po piątej. Nie miała zbyt wiele czasu. Musiała się spieszyć. Nell niebawem przyjdzie pomóc jej się przebrać do kolacji. W każdej chwili mógł ją też przyłapać pierwszy lepszy służący. Na przykład Fergus, który być może zechce przygotować izbę na powrót pana.

Otworzyła szuflady biurka, ale niczego w nich nie znalazła. Na blacie leżały tylko księga rachunkowa i korespondencja od jakiegoś innego MacKenziego.

Podenerwowana zamierzała wymknąć się z powrotem do gotowalni, gdy kątem oka dostrzegła w kącie niewielką szafkę. Po-

ciągnęła za uchwyt w drzwiczkach. Nie ustąpiły. A niech to, były zamknięte na klucz. Serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe. Przez chwilę zastanawiała się gorączkowo, jak je otworzyć. Zakłęła pod nosem i pobiegła do sypialni po jeden z rozrzuconych tam noży. Kiedy wróciła, natychmiast zaczęła gmerać nim w zamku. Czują pod palcami, że już prawie odskoczył, gdy wtem usłyszała na korytarzu głos męża. Głośny i wyraźny.

- Fergus! Przygotuj mi kąpiel! Muszę zmyć z siebie ten kurz. Mam go chyba nawet w uszach!

Margot wciągnęła bezgłośnie powietrze i na moment zdrętwiała. Nie sądziła, że Arran wróci tak wcześnie.

- Tak, teraz! W tej chwili! - zawołał do kogoś w oddali.

Zerknęła ze zgrozą na nóż w swojej ręce. Boże dopomóż! Poderwała się z klęczek i rozejrzała dookoła w poszukiwaniu kryjówki. Ale pokój był za mały. Nie było gdzie się schować.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Arran przystanął na progu izby zdziwiony widokiem Margot. Nim zdążył zareagować, padła mu w ramiona z takim impetem, że niemal zmiotła go z nóg.

- Co, u licha? - Złapał ją mocno, z trudem utrzymując równowagę.

- Tak się cieszę, że już jesteś!

- Sądziłaś, że cię opuściłem? - Uśmiechnął się krzywo, odsuwając się nieco, żeby na nią spojrzeć.

W odpowiedzi ujęła jego twarz w dłonie i zaczęła go całować.

Zrobiło mu się przyjemnie gorąco, ale przypomniał sobie, jak ciężki ma za sobą dzień, i z miejsca przeszła mu ochota na amory.

Wyplątał się z jej ramion, ale wciąż obejmował ją luźno w tali. Co ona robi w moich pokojach? - zastanawiał się w duchu.

- Czemu zawdzięczam tak ciepłe przyjęcie? - zapytał nie bez drwiny. - Nie sądziłem, że potrafię wzbudzać taki entuzjazm. - O tej porze powinna siedzieć w bawialni albo stroić się do kolacji. Po tym, co dziś usłyszał w Coigeach, był wobec niej jeszcze bardziej podejrzliwy niż dotychczas. Stanąwszy na środku komnaty, rozejrzał się uważnie dookoła.

- Stęskniłam się za tobą - powiedziała z zapałem. - Jak podróż?

- Męcząca - odparł zwięźle. Delikatnie rzecz ujmując. Do tej pory krzywił się w duchu na wspomnienie tego, co go spotkało w siedzibie MacLearych. Oprócz gospodarza na spotkanie zjechało czterech innych przywódców klanów. Wszyscy z wyjątkiem MacLeary'ego byli zdeklarowanymi jakobitami. I wszyscy jak jeden mąż oskarżyli go o zмовę z Anglikami.

Ich zarzuty były nie tylko obraźliwe, lecz także kompletnie pozbawione sensu. Margot była jego żoną od ponad trzech lat, z czego większość tego czasu spędzili osobno. Po jej wyjeździe



nie kontaktował się ani z nią, ani tym bardziej z jej rodziną. Jak zatem miałyby spiskować z nimi przeciwko Szkotom, skoro nawet ze sobą nie rozmawiali? Przez cały ten czas ciężko pracował dla dobra swojego klanu.

- Nie dbam o cudze pretensje do tronu - oznajmił stanowczo.  
- Mam lepsze rzeczy do roboty niż płatanie się w wielką politykę.

- Aye - odrzekł Buchanan, potężny jegomość z burzą ognistych rudych włosów i taką samą brodą. - Ale może umyśliłeś sobie, że skoro otwarcie handlujesz z Francuzami, możesz ugrać jeszcze więcej na konszachtach z Anglikami.

- Zdradzając przy tym ojczyznę i własny klan? Nie jestem chciwy. Wystarczy mi to, co mam. A pieniądze zarabiam uczciwie. Nie muszę wikłać się w ciemne interesy, żeby nabić sobie kabzę.

- Przyznasz jednak - wtrącił MacLeary - że nagły powrót twojej żony wydaje się cokolwiek podejrzany? Zwłaszcza że dziwnym trafem zbiegł się w czasie z początkiem plotek, które rozsiewają o tobie w Anglii.

- Moja żona to nie wasza sprawa - oświadczył oschle MacKenzie. - Przyjechała do Szkocji wyłącznie po to, żeby naprawić nasze stosunki, które sama niegdyś zerwała.

Prychnęli jak jeden mąż, po czym wygłosili kilka uwag na temat tego, gdzie jest miejsce kobiety. Krew zagotowała mu się w żyłach, ale zdołał utrzymać nerwy na wodzy. Miał dość tradycyjne zapatrywania na małżeństwo oraz określone oczekiwania wobec żony, ale nigdy nie podzielał zdania mężczyzn, którzy matki, siostry i żony uważali za swoją własność, rozporządzali swobodnie ich życiem i nie pozwalali im samodzielnie myśleć.

- Rozumiesz chyba nasze obawy - rzekł Rory Gordon. - Dunn rozpowiada, że za spiskowanie ze Stuartami grozi nam konfiskata mienia.

- To nie ja jestem jakobitą, lecz wy. A co do Stuarta, jego pretensje do tronu są zupełnie nieuzasadnione. Przynajmniej w świetle obowiązującego obecnie prawa.

Buchanan skwitował jego uwagę wybuchem śmiechu.

- A od kiedy to Anglicy kierują się literą prawa, gdy idzie

o Szkotów i ich ziemie, co? Wierzę ci na słowo, MacKenzie, boś uczciwy. Wprawdzie twoja piękna żonka przypomniała sobie, że ma męża akurat w czasie, gdy polujemy na angielskiego szpiega, ale niewykluczone, że to jedynie zbieg okoliczności.

- Powtarzam wam po raz ostatni, lady MacKenzie nie ma z tym nic wspólnego. O mnie możecie sobie mówić, co wam się żywnie podoba, ale jeśli któryś jeszcze raz powie choć słowo przeciwko mojej żonie, z miejsca go wyzwę i ubiję jak psa. - Arran był bliski wybuchu. Panował nad sobą z najwyższym trudem.

Żaden z zebranych się nie odezwał, ale gdy wyjeżdżał, nie szczędzili mu podejrzliwych spojrzeń. W drodze do Balhaire zatrzymał się w domu Gryzeldy w Kishorn. Zrelacjonował jej ostatnie wydarzenia i poprosił ją o przysługę.

- Ech, ta dziewczyna to same kłopoty - skwitowała z westchnieniem, mając na myśli jego żonę.

Nie zaprzeczył, bo sam był w stosunku do niej nieufny.

- Ale zrobisz to, o czym rozmawialiśmy?

- Naturalnie.

Po powrocie MacKenzie udał się do swoich komnat, gdzie natknął się na Margot. Wyglądała jak zwykle przepyszenie, a on nadal nie miał pojęcia, co z nią począć. Nie wiedział nawet, co o niej myśleć.

Ściągnął płaszcz i cisnął go niedbale na pobliskie krzesło. Podniosła okrycie i zaczęła otrzepywać je ręką.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Chcę go tylko trochę oczyścić, jest okropnie zakurzony - wyjaśniła, posyłając mu promienny uśmiech. - Wybrałam się dziś na przejażdżkę - dodała po chwili.

Arran nie potrafił pozbyć się uczucia, że coś przed nim ukrywa.

- Na przejażdżkę? A po co? - spytał od niechcienia, lustrując ukradkiem wszystkie kąty.

- Powinnam chyba od czasu do czasu zażyć świeżego powietrza, prawda? - Oparła się o komodę, trzymając przed sobą płaszcz, który złożyła wcześniej w kosteczkę.

- Pani Abernathy będzie chciała zabrać go do prania - stwier-

dził rzeczowo.

- W takim razie odłożę go na miejsce do czasu jej powrotu.

Kiedy się przysunął, żeby otworzyć jej szufladę komody, nagle zmieniła zdanie.

- Nie, lepiej go powieszę - oznajmiła, rozrzucając fałdy tkaniny. - Przynajmniej się wywietrzy.

O co jej znowu chodzi? - zastanawiał się skołowany.

Na widok jego miny zmarszczyła nos.

- Jest za bardzo zakurzony, żeby kłaść go razem z czystymi rzeczami - oświadczyła, po czym pomaszerowała z płaszczem do gotowalni.

- O ile mnie pamięć nie myli - zaczął, gdy wróciła - nigdy nie przepadałaś za przejażdżkami. - Przyjrzał jej się z mieszaniną zaciekawienia i podejrzliwości. - I z pewnością nie miałaś zwyczaju sprzątać. Są jakieś inne rzeczy, na które raptem nabrałaś ochoty?

Zamrugła gwałtownie.

- Daruj, ale nie bardzo rozumiem...

- A co tu jest do rozumienia? Zadałem ci proste pytanie.

Na jej policzkach pojawił się rumieniec.

- W takim razie nie, nie ma takich rzeczy.

*Diah*, ależ marna z niej kłamczucha.

- Czy aby na pewno? - Zerknął na nią z powątpiewaniem i zniknął za drzwiami gotowalni. Zdjął z półki świeżą koszulę i wrócił do sypialni. - Twoi przyjaciele nadal siedzą w Balhaire.

- Moi przyjaciele? - powtórzyła zdumiona.

- Mam na myśli trefnisiów, którzy cię tu przywieźli. Jak długo zamierzają korzystać z naszej gościny? A może... Może czekają na ciebie, hm?

- Na mnie? - Potrząsnęła głową. - Z pewnością nie. Nigdzie się nie wybieram. Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego jeszcze nie wyjechali. Jestem przecież w domu, nie potrzebna mi już eskorta. Cóż, możliwe, że mój ojciec jest przesadnie ostrożny.

Uśmiechnął się drwiąco.

- Doprawdy? Nigdy bym go o to nie posądził. Przeciwnie, wydaje się czasem cokolwiek nierozważny. Układa się ze Szkotami i Bóg raczy wiedzieć kim jeszcze. - Spojrzał na nią wymownie. -

Mam rację?

Wzruszyła ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Nie ma zwyczaju informować mnie o swoich poczynaniach. No, chyba że każe mi się wydać za męża. To jedyny raz, kiedy uczynił wyjątek.

- Więc o niczym nie wiesz? I nie masz mi nic do powiedzenia?

- Usiadł na łóżku, żeby zdjąć buty.

Odskoczyła od komody i przyklęknęła przed nim na podłodze.

- Nie orientuję się w interesach ojca, jeśli o to pytasz - powiedziała, ujmując jego stopę.

- A to co znowu? Od dziś będziesz zdejmować mi buty?

- Wierzysz teraz, że się zmieniłam?

- Nie wierzę - odparł beznamiętnie. - Widzę za to, że *kelpie*<sup>[16]</sup> porwało mi żonę i nawiedza mnie pod jej postacią.

Uśmiechnęła się, pociągając za cholewkę jego buta.

- Nie wiem, co to jest *kelpie*, ale mówię szczerze, prosto z serca. Jestem teraz zupełnie inna niż kiedyś.

- Mmm - mruknął niezobowiązująco. - Cóż, *leannan*, spełniłaś swój żoniny obowiązek. - Uniósł usta w krzywym uśmiechu. - Pozwalam ci się oddalić. Zamierzam wziąć kąpiel i zjeść kolację w samotności.

- Zjem z tobą i...

- Wolałbym nie - przerwał jej w pół słowa. - Jestem półżywy ze zmęczenia.

Zmarszczyła brwi.

- Ale myślałam, że...

- Nie, Margot. Mówię przecież, że jestem ledwie żywy. Nie mam ochoty wysłuchiwać kolejnych pytań ani tym bardziej twojego trajkotania. Nie dziś. Dość się już nasłuchałem jak na jeden dzień.

- Trajkotania, powiadasz... - powtórzyła, cedząc słowa. - Pojmuję... - Podniosła się zgrabnie i podeszła do drzwi. Sądził, że się obrazi i wyjdzie, ale zamiast tego pociągnęła dzwonek. Tak mocno, że niemal zerwała tasiemkę. Potem stanęła z rękoma na biodrach i wlepiła w niego rozeźlony wzrok.

- Miałaś iść do siebie. Chyba wyraziłem się jasno.

Nim zdążyła odpowiedzieć, na progu stanął młody służący.

- Przekaż Fergusowi, że po kąpieli pan zje kolację u siebie.
- Tak, *milady*.
- I znajdź moją pokojówkę. Niech przyjdzie do gotowalni.
- Wedle życzenia, jasnie pani. - Chłopak uklonił się i odszedł w głąb korytarza.

Arran uniósł brew i popatrzył wymownie na żonę.

- Co tu jeszcze robisz? Prosiłem, żebyś wyszła. Nie słyszałaś?
- Owszem, słyszałam. Bardzo wyraźnie. Ale wyjdę wtedy, kiedy sama uznam to za stosowne. Jestem twoją żoną i panią tego domu. Ja też mam tu coś do powiedzenia. Naprawdę, musisz mi w końcu wybaczyć!

- Co mianowicie mam ci wybaczyć? To, że mi się sprzeciwiasz?

- Nie, to, że cię opuściłam!

Poczuł w piersi nieoczekiwane ukłucie bólu. Jakby wbiła mu nóż prosto w serce. Przypomniał sobie dzień, w którym patrzył, jak jej powóz odjeżdża z Balhaire. Wraz z jej zniknięciem umarła jakaś część jego duszy. Jak śmie żądać, żeby jej wybaczył? Rozjątrzyło go to do białości. Podeszedł do niej niespiesznie, chwycił ją za podbródek i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

- Nie mam zwyczaju pozwalając, by ktokolwiek mi rozkazywał - wycedził przez zęby. - A już na pewno nie ty, moja pani! Niczego nie muszę ci wybaczać. Nie muszę też trzymać cię dłużej przy sobie. Nie poczuwam się do tego obowiązku, bo sama mnie z niego zwolniłaś! Radzę ci więc, pilnuj języka, bo wyrzucę cię stąd. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Oczekiwał, że zaleje się łzami i ucieknie, ale znów się przeliczył.

- Czy to już wszystko, co chciałeś mi wygarnąć? - zapytała, przechylając głowę. - A może jest tego więcej?

- Nie wyprowadzaj mnie z równowagi, kobieto! - ryknął, zdejmując rękę z jej twarzy. Miał ochotę zrobić coś głupiego... na przykład ją pocałować, więc uznał, że lepiej będzie jej nie dotykać i odsunąć się na bezpieczną odległość. - Nie zapominaj, że w każdej chwili mogę cię przepędzić. Co więcej, jestem tego bardzo bliski.

Uśmiechnęła się i ruszyła do wyjścia.

- Dopilnuję, żeby jak najprędzej przygotowano ci kąpiel. - Nie oglądając się za siebie, wymaszerowała na korytarz. Dla lepszego efektu zostawiła otwarte drzwi.

Popatrzył za nią i zaklął pod nosem. Jej idealna postura i rozkołysane biodra były jak magnes. Nie mógł oderwać od nich wzroku. Niech ją diabli!

Jakiś czas później wyszedł z gotowalni i po raz drugi tego dnia przystanął ze zdumieniem w progu. Stół był nakryty isticie po królewsku i podsunięty pod otwarte okno. Nie pamiętał nawet, że jest „szczęśliwym posiadaczem” kunsztownej porcelany i kryształowych kieliszków. Zapewne z drogocennych naczyń wszystko smakuje lepiej, pomyślał cierpko.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Fergus, który zapalał świece w srebrnym kandelabrze.

Służący zmarszczył czoło i nalał mu wina.

- To pomysł lady MacKenzie - wyjaśnił zwięźle.

Arran domyślił się, że to kaprys jego żony, nie rozumiał tylko, dlaczego i od kiedy służba lekceważy jego polecenia.

- Mówiłem przecież wyraźnie, że chcę zjeść sam. Nie potrzebuję wykwintnego nakrycia, wystarczą mi nóż i widelec. Nikt mnie już nie słucha w tym domu?! Nie należy mi się odrobina świętego spokoju?!

Lokaj spojrział na niego z miną winowajcy.

- Naturalnie, ale jaśnie pani... - zastanowił się chwilę, jakby szukał właściwego słowa. - Jaśnie pani nalegała.

- Naturalnie. Nalegała. - MacKenzie wychylił duszkiem wino i odstawił z hukiem kieliszek. - *Diah*, trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam - wymamrotał pod nosem. - Zrobiłeś, co kazała jaśnie pani, ugościłeś mnie jak króla, więc na litość boską, wracaj, skąd przyszedłeś, i zostaw mnie wreszcie samego!

Fergus spuścił oczy, po czym wyszedł.

Arran próbował skupić się na posiłku, ale jedzenie z trudem przechodziło mu przez gardło. Wciąż rozpamiętywał nieprzyjemną rozmowę w Coigeach i fałszywe oskarżenia, którymi z taką łatwością go obrzucano. Nikt nawet nie próbował wysłuchać jego racji. Miał wrażenie, że już wydano na niego wyrok.

A wszystko to z powodu jakichś nonsensownych pomówień.

W końcu dał za wygraną i odsunąwszy talerz, zadzwonił po służącego.

- Sprzątnij to i przestaw stolik na miejsce - polecił młodemu posługaczowi, odkładając na komodę papiery, które przeglądał podczas kolacji. Zamierzał zabrać się do nich ponownie, kiedy tylko odzyska stół.

- Tak, milordzie.

Podszedł do umywalki, żeby umyć ręce i twarz. Słyszał, jak chłopak wychodzi, ale nie zamknęły się za nim drzwi.

Kiedy się odwrócił, stała w nich jego żona. Miała na sobie piękną jasnożółtą suknię z niebieskimi wstawkami. Wyglądała jak świeży polny kwiat.

Wystarczyło, że na nią spojrzał, a serce zaczynało żywiej bić mu w piersi. Coś pchało go ku niej z nieposkromioną siłą. Zawsze miał do niej słabość. Pomimo rozłąki to się nigdy nie zmieniło i pewnie już nigdy się nie zmieni. Może nawet doprowadzi go do ruiny.

- Co tu robisz?

Wyciągnęła ku niemu pudełko, które trzymała za plecami.

- Pomyślałam, że dotrzymam ci towarzystwa. Moglibyśmy zagrać w szachy.

Przesunął wzrokiem po jej ponętnych kształtach. Nawet nie próbował się przed tym powstrzymać.

- Już nie pamiętam, kiedy rozegrałem ostatnią partię...

- Tym lepiej dla mnie. Będę miała nad tobą przewagę. - Rozstawiała szachownicę na stole.

- Nie powiedziałem, że z tobą zagram - zaprotestował bez przekonania. Nie powstrzymał jej, gdy rozstawiała figury ani gdy nalewała mu wina.

- Widzę, że jesteś bardzo pewna swego - stwierdził, spoglądając na kieliszek w jej wyciągniętej dłoni.

Uśmiechnęła się, jakby wiedziała z góry, że nie zdoła jej się oprzeć. Co gorsza, nie myliła się. Westchnął i przeczesał palcami włosy. Były jeszcze wilgotne po kąpieli. Stał przed nią boso w samych spodniach i koszuli. Jedyne, na co miał ochotę, to wślizgnąć się pod pierzynę i porządnie się wyspać. Nie kłamał,

kiedy mówił, że jest zmęczony. Spędził pół dnia, przekonując sąsiadów, że jego żona jest czysta jak łąka i nie ma złych intencji, choć prawdę mówiąc, sam miał co do tego poważne wątpliwości.

Okazało się to wyjątkowo wyczerpujące zadanie, niemal ponad jego siły.

- Wolałbym whisky - rzekł zrezygnowany.

Uśmiechnęła się triumfalnie, zabrała wino i zamieniła je na whisky.

- Mówiłem ci, że nie chcę dziś towarzystwa - przypomniał, zatrzymując wzrok na jej ustach.

- Doprawdy? Hm... pewnie o tym zapomniałam.

Chwytał ją za nadgarstek i przyciągnął bliżej siebie.

- Daruję ci to jawne nieposłuszeństwo, ale tylko dzisiaj. Nie będę już tak pobłażliwy, jeśli to się powtórzy.

- Nie powtórzy się. Obiecuję. - Posłała mu promienny uśmiech, który rozświetliłby zachmurzone niebo podczas burzy.

- I pamiętaj, nie jestem jednym z usychających z miłości durniów, którzy ganiłi za tobą w Norwood Park.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Oczywiście, że nie. Nigdy bym tak o tobie nie pomyślała. Uwierz mi, w niczym ich nie przypominasz. - Pochyliła głowę i ucałowała wnętrze jego dłoni. Nie pozostał obojętny. Jego ciało instynktownie zareagowało na jej dotyk.

Odsunął się, żeby zachować dystans, i usiadł na krześle. Do diaska, znów robiła z nim, co chciała, pomyślał, wyglądając przez okno na zachodzące słońce.

Margot nalala sobie porto i zajęła miejsce naprzeciw niego. Powiedziała mu kiedyś, że dżentelmen powinien wysuwać kościec krzesła. Rzadko to robił, więc w jej oczach nie był prawdziwym dżentelmenem. Może gdyby bardziej starał się sprostać jej wymaganiom, nie wyjechałaby z Balhaire. I nie przyszłoby jej do głowy, żeby go zdradzić i szpiegować na rzecz ojca. Ale czy rzeczywiście maczała palce w spisku, który ktoś najwyraźniej uknuł przeciwko niemu? Kiedy na nią patrzył, uśmiechniętą i zadowoloną z tego, że znów postawiła na swoim, nie wierzył, że mogłaby zwrócić się przeciwko niemu. Może jest naiwny



i niepotrzebnie się ludzi. Kiedyś nie wierzył, że byłaby zdolna do ucieczki.

- Gotowe - oznajmiła, skończywszy ustawiać figury na szachownicy.

- Zadowolona?

- Nie do końca. Byłabym o wiele bardziej rada, gdybyś mi pozwolił towarzyszyć ci przy kolacji.

Była znacznie pewniejsza siebie niż przed trzema laty.

- Naprawdę się zmieniłaś, Margot.

- Tak sądzisz? Mam nadzieję, że na lepsze.

Tego nie był już taki pewien. Tak czy inaczej, wydawała mu się znacznie bardziej intrygująca.

- Twój ruch.

Przysunął się do szachownicy i przestawił pionek. Przez kilka minut grali w milczeniu. Margot skupiła się na grze, a trzeba powiedzieć, że była w niej nadzwyczaj dobra. Uśmiechała się, a jej oczy błyszczały w świetle świec niczym dwa szmaragdy. Widać było, że lubi wyzwania. Czemu nie zauważył tego wcześniej? Czemu tuż po ślubie nie zadał sobie trudu, żeby lepiej ją poznać? Mnóstwo pytań wciąż pozostawało bez odpowiedzi.

Ona pierwsza zbiła jego pionek.

- Ha! - ucieszyła się jak dziecko. - Musisz bardziej uważać, Arranie, bo inaczej zaraz zbiję ci hetmana.

- Nie wątpię.

Podniosła na niego wzrok.

- Nadal jesteś śliczna jak z obrazka - zauważył od niechcienia.

- Ale w niczym nie przypominasz już wylęknionego dziewczątka, które stanęło ze mną na ołtarzu.

Zaśmiała się beztrósco.

- Nie da się ukryć, byłam mocno wystraszona. Trzęsłam się jak osika i ledwie trzymałam się na nogach.

- Taki byłem straszny?

Tym razem roześmiała się w głos.

- Gdzie tam straszny. Krzepki... i interesujący. Od samego początku sądziłam, że jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam na oczy.

Parsknął z niedowierzaniem. Jej pochlebstwa brzmiały w jego

uszech mało wiarygodnie.

- Naprawdę tak myślałam. Mówię całkiem szczerze. Intrygowałeś mnie, tyle że byłam zupełnie niewinna. Ledwie skończyłam osiemnaście lat. Nie miałam pojęcia o życiu. Nie znałam cię. W ogóle niewiele wiedziałam o mężczyznach ani o tym, co znaczy być żoną. Moja matka zmarła, kiedy byłam dzieckiem. W moim życiu nie było żadnej kobiety, nikogo, kogo mogłabym się poradzić, kto opowiedziałby mi cokolwiek o Szkocji, a już na pewno nikt nie oświecił mnie w kwestii tego, co się dzieje pomiędzy mężem i żoną za drzwiami sypialni. - Uśmiechnęła się zalotnie.

- Aye, prawda, w sypialni też drżałaś jak osika, przynajmniej na początku.

- Ty też, jeśli dobrze pamiętam.

Zachichotał pod nosem.

- Może trochę.

- A potem przyjechaliśmy tutaj. Wydawało mi się, że Balhaire to koniec świata. Ludzie mówili w obcym języku i traktowali mnie jak intruza. Nie miałam nawet z kim porozmawiać. Czułam się kompletnie zagubiona.

Przestawił gońca i podniósł na nią oczy.

- Ja też byłem odrobinę zagubiony.

- Ty? - zdziwiła się.

- Tak, ja. Przed ślubem byłem wolny, mogłem robić, co tylko chciałem, kiedy chciałem i z kim chciałem. Nie musiałem się nikomu opowiadać ani dzielić z nikim swojego czasu. Mogłem na przykład jadać w samotności, kiedy tylko miałem na to ochotę.

- Popatrzył na nią wymownie.

Zaśmiała się i wzruszyła ramionami.

- Ja też stąpałem po niepewnym gruncie. Podobnie jak ty, nie miałem rodziców, do których mógłbym zwrócić się po radę. Powinienem wprowadzić żonę w nowe życie, pomóc jej się przystosować, a zupełnie nie umiałem się do tego zabrać.

- Ale... wydawałeś się taki pewny siebie i...

- Nie byłem. Ty nie wiedziałaś, co znaczy być żoną, a ja nie miałem pojęcia, co znaczy być mężem. Nie chciałem cię skrzywdzić ani przysparzać ci zgryzot.

- Nigdy mnie nie skrzywdziłeś. A co do zgryzot, to przyspa-  
rzałam ich sobie sama.

- Dawniej mówiłaś co innego.

Westchnęła smętnie.

- Cóż, nie da się ukryć, że powiedziałam wówczas całe mnó-  
stwo rzeczy, których teraz żałuję.

- Ja też nie jestem bez winy - przyznał szczerze. - Miałaś po-  
wody do niezadowolenia, a ja za mało się starałem.

- Być może.

Spojrzał na nią ponad stołem.

- Co się z nami stało, Margot? - zapytał poważnie. - Do dziś  
nie wiem, o co tak naprawdę poszło.

- Ja też nie - stwierdziła ponuro. - Pamiętam tylko, że czułam  
się samotna i opuszczona. Nie miałam tu nikogo oprócz ciebie,  
a ciebie tak często nie było... Z pewnością nie pomogła też moja  
naiwność.

- Gdybyś chciała, mogłabyś się z kimś zaprzyjaźnić.

- Próbowałam, ale jakoś mi nie wychodziło.

- Prawda. Jesteś Angielką, a my nie przepadamy tu za Angli-  
kami. Tak jak wy nie przepadacie za Szkotami. Macie nas za  
bandę dzikusów. Pewnie dlatego moim ludziom trudno było  
przymknąć oko na twoją pyszałkowatość i wzgardę.

Zamrugnęła oczami, a potem się roześmiała. Nie owijał w ba-  
weinę, ale jego ocena była jak najbardziej trafna.

- Jesteś boleśnie szczery, mój panie, ale zawsze taki byłeś. Za-  
tem twierdzisz, że byłam wyniosła? - Położyła sobie rękę na  
piersi, udając oburzenie.

- Aye, ociupinkę - odparł z uśmiechem.

- Cóż, nie robiłam tego z rozmysłem. Wydawało mi się, że po-  
stępuję, jak przystało na wytworną damę, panią na zamku. -  
Odsunęła się od szachownicy i oparła plecy o krzesło. - Panicz-  
nie bałam się tego, że powiem albo zrobię coś niewłaściwego.  
Ważylaam każdy gest i każde słowo. Niewiele mi to pomogło.  
Okazało się, że wszystko robię nie tak, jak należy. Ludzie cię tu  
uwielbiają, Arranie. Trudno było się z tym mierzyć. Zwykle czu-  
łam się onieśmielona i trochę się ciebie bałam.

- Teraz też się mnie boisz?

Posłała mu zaraźliwy uśmiech.

- Nie, teraz już nie.

Nie zdołał się oprzeć i sam też się uśmiechnął.

- Ja przynajmniej cię nie opuściłem - stwierdził bez złośliwości.

- Owszem - zaprotestowała stanowczo. - Zostawiałeś mnie samą co dzień, na długie godziny. To tak, jakbyś mnie porzucił.

- Cóż, przyznaję, ty też odrobinę mnie onieśmielałaś, *leannan*.

- Ja? Ciebie? Niemożliwe. - Roześmiała się i potrząsnęła głową.

- Możliwe, Margot. Byłaś taka śliczna, że oczu od ciebie nie mogłem oderwać. Oboje niczego nie wiedzieliśmy o życiu.

- Oj, tak - zgodziła się ochoczo. - Nigdy nikt się do mnie nie zalecał, nawet nie zdążyłam się w nikim zadurzyć... i nagle zostałam żoną. Ty jesteś ode mnie starszy, na pewno byłeś kiedyś zakochany.

- Tak, byłem zakochany - przyznał bez namysłu. - W tobie.

Uśmiech zastygł jej na ustach.

- Nie mów tak, nigdy w to nie uwierzę.

Sięgnął przez stół i ścisnął ją za rękę.

- To prawda. Nie powiedziałbym tego, gdyby tak nie było. - Nawet teraz czuł się, jakby ktoś strącił go w otchłań nieutulonej tęsknoty.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Kiedy się we mnie zakochałeś? Nie wiedziałam o tym. Do głowy by mi nie przyszło, że mógłbyś...

*Diah*, jak mogła tego nie wiedzieć? Dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo ją zawiódł.

- Od razu. W chwili gdy zobaczyłem cię na balkonie w Norwood Park.

Rozchyliła usta ze zdumienia.

- Już wtedy?

- Tak, już wtedy. Cóż, czasem miłość spada na nas zupełnie niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba.

- Ale... nigdy mi o tym nie powiedziałaś...

Westchnął ciężko.

- Nie powiedziałem, bo byłem głupi. Sądziłem, że mam na to

mnóstwo czasu, całe życie. Nie przypuszczałem, że moja ukochana zwyczajnie ode mnie ucieknie. Próbowałem cię uszczęśliwić, jak umiałem, tyle że nic mi z tego nie wychodziło. Nie udało mi się spełnić twoich oczekiwań, ale nie z braku dobrych chęci. Sęk w tym, że niczego nie rozumiałem.

- Boże drogi, nie miałam o tym pojęcia...

- Wiem. - On też nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie odeszła.

- A teraz? - zapytała niepewnie. - Nadal czujesz to samo?

Zajrzał jej prosto w oczy.

- Nie, Margot. Już nie. Jakże miałbym czuć to samo? Nie ufam ci, *leannan*.

Oddałby wszystko, za to, żeby rozwiała jego wątpliwości. Chciał, żeby powiedziała coś, co wreszcie odeгна jego niepokój. Potrzebowała zapewnienia, że żona przed nim niczego do ukrywa.

Niestety nic takiego nie padło z jej ust. Milczała przez chwilę, a potem dotknęła ręką czoła, jakby rozboleła ją głowa.

- Nie dziwię ci się - szepnęła pokonana. - Na twoim miejscu sama też bym sobie nie ufała.

Arran popadł w przygnębienie.

Margot podniosła się raptem i przystanęła przy jego krześle.

- Nie mogę nic na to poradzić. Może mi jeszcze kiedyś zaufasz. Mam nadzieję, że tak się stanie, ale sam musisz rozsądzić to w swoim sercu.

- Ja też nie mogę zatrzymać cię przy sobie siłą - odparł nie bez goryczy. - Sama najlepiej wiesz, czy znów mnie kiedyś porzucisz.

Westchnęła i pogłaskała go po głowie. Potem zadarła spódnice i usiadła mu okrakiem na kolanach. Nie protestował, choć doskonale wiedział, że próbuje zakończyć niewygodną dla siebie rozmowę. Jedynym skutecznym sposobem, jaki miała na podobieństwo. Zwyczajnie chciała odwrócić jego uwagę i pokonać go bronią, której nie potrafił się oprzeć. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie chcę znów cię opuścić. Już nigdy.

Powstrzymał ją, kiedy pochyliła się, żeby go pocałować.

- To żadne zobowiązanie. Nie takiej oczekiwałem deklaracji. Sądzisz, że nie wiem, co robisz? Przejrzałem twoją strategię. Używasz swoich wdzięków, żeby uniknąć odpowiedzi na trudne pytanie.

- Odpowiedziałam ci przecież - szepnęła słodko, całując go w skroń. - Najlepiej, jak umiałam. Nie potrafię dziś inaczej. A teraz próbuję cię zadowolić, tak jak sam mnie uczyłeś. I myślę o trzech latach, które straciliśmy. O tym, jak mogłoby między nami być, gdybym została, o dzieciach, które mogliśmy do tej pory sprowadzić na świat. - Cmoknęła go w policzek. - Pragnę ci to wszystko wynagrodzić. Nie chcę cię już nigdy opuszczać. Chcę zacząć od nowa.

- Już na to za późno - odparł szorstko, odwracając głowę, żeby uciec od jej pocałunków.

- Nie mów tak. Jesteśmy małżeństwem. Nigdy nie będzie dla nas za późno. - Przysunęła się i objęła go ciasniej ramionami. - Pomyśl tylko - wymruczała z ustami tuż przy jego uchu. - Moglibyśmy wyjechać do Francji. Tylko ty i ja, gdzieś, gdzie nikt nas nie zna.

- Do Francji? - powtórzył zdziwiony, gdy ujęła jego twarz w dłonie i obsypała ją pocałunkami.

- Czyż nie byłoby wspaniale? Nie musielibyśmy przejmować się tym, co nas dzieli, tym, że ty jesteś Szkotem, a ja Angielką. Nikt nie zatruwałby nam życia.

Zastanawiał się, kto niby zatruwa im życie, ale nic nie przychodziło mu do głowy. I dlaczego, na Boga, chciała jechać do Francji? Rozum kazał mu ją powstrzymać, zapytać, o co tak naprawdę jej chodzi. Ale zdradliwe ciało podpowiadało mu coś zgoła innego.

Pomyśli o tym później. Jutro rozprawi się z jej kłamstwami. Nie teraz, postanowił. Nie dziś. Jutro.

- Moglibyśmy popłynąć jednym z twoich statków...

Czemu usiłowała namówić go do ucieczki? Czuł, że to podejrzane, ale nie miał siły ani ochoty tego roztrząsać. Tylko ona mogła wyciągnąć go z otchłani tęsknoty i beznadziei.

- Za dużo gadasz, kobieto. Przestań wreszcie trajkotać. - Podniósł się razem z nią i zaniósł ją prosto do łóżka. Jutro nadal nie

będzie jej ufał, ale podaruje sobie jeszcze jedną wspólną noc.  
Tylko jedną, nie więcej.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Spędzili razem cudowną, magiczną noc. Margot czuła się uwielbiana i rozkosznie ociążała. Niestety wraz z nadejściem świtu znów przygniotła ją rzeczywistość.

Poszła do niego wieczorem, tylko po to, żeby zyskać jego zaufanie. Skończyło się na długiej rozmowie o przeszłości i ich małżeństwie. Nigdy wcześniej nie padło między nimi tak wiele szczerych słów. W pewnej chwili poczuła, że w jej sercu otwierają się drzwi. Prawdę mówiąc, te drzwi zawsze stały otworem, tyle że nigdy nie chciała przez nie przejść. Była zbyt młoda i głupia albo zwyczajnie za bardzo się bała.

Wierzyła, że nigdy nie będzie dla nich za późno. Nie powiedziała tego, ot tak sobie. Wierzyła w każde swoje słowo. Wierzyła, że mogą być razem szczęśliwi. Pragnęła, by zapomnieli o dawnych urazach i odbudowali to, co zniszczyła swoim wyjazdem.

Ale jakaś jej cząstka nadal miała opory. A jeśli się co do niego myli? Jeśli to jej ojciec ma rację i Arran rzeczywiście jest zdrajcą? Wciąż nękały ją wątpliwości.

Kiedy rano wychodził z sypialni, udawała, że śpi. Z zamkniętymi oczami słuchała, jak się ubiera i zbiera swoje rzeczy. Nie uchyliła powiek nawet, gdy podszedł do łóżka i cmoknął ją w ramię.

- Dzień dobry, Margot - szepnął jej do ucha i zniknął za drzwiami.

Dopiero wtedy przewróciła się na wznak i utkwiała wzrok w baldachimie nad głową. Powiedział wczoraj, że był w niej kiedyś zakochany. To zdanie wryło się w jej pamięć i wkradło do jej snów. Kilkakroć budziła się w nocy, żeby się upewnić, że jest obok niej, że te słowa naprawdę padły z jego ust. Myślała o tym, jak czule ją obejmował, trzymał w ramionach tak, jakby nadal była jego wielką miłością. Przypomniała sobie także roz-



mowę z panią Gowan. Nie chciała wtedy wierzyć, że jej wyjazd tak bardzo go zranił. Nie była na to gotowa. Powiedział też, że nie czuje już do niej tego co dawniej. Otarła z oczu łzę.

Podniosła się i owinięta w koc pomaszerowała do gabinetu. Nóż, który cisnęła wczoraj pod szafkę, ciągle tam tkwił. Nie otworzy jej. Nie będzie myszkować w rzeczach, które Arran trzymał pod kluczem. Chociaż... gdyby to zrobiła, być może natknęłaby się na jakiś dowód jego niewinności... Tylko co mogłoby posłużyć za taki dowód?

„Jakże miałbym czuć to samo? Nie ufam ci, *leannan*”.

Na szczęście ktoś zapukał do drzwi sypialni. Nie musiała się dłużej zastanawiać, czy chce dalej oszukiwać męża.

- Już pani nie śpi, *milady*? - zapytała od progu Nell.

- Tak, śmiało, możesz wejść.

Kiedy jakiś czas później pokojówka upinała jej włosy, Margot obróciła w palcach figurkę, którą podarował jej wczoraj napotkany na drodze nieznajomy. Wkładając ją do kieszeni, pomyślała, że nadeszła pora, by przestała trzymać się z dala od MacKenziech. Powinna wreszcie naprawić stosunki z klanem męża. W końcu to teraz także jej rodzina.

Jeszcze przed śniadaniem udała się do wioski, żeby odwiedzić sklep pani Gowan.

Gdy weszła do środka, podobnie jak za pierwszym razem, nad drzwiami zadzwonił dzwoneczek. I tak jak poprzednio za ladą niemal natychmiast pojawiła się właścicielka kramu.

- *Madainn mhath!* - przywitała się serdecznie.

Na widok Margot pogodny uśmiech zgasł na jej ustach niczym zdmuchnięta świeca.

- Dzień dobry - zaczęła życzliwie lady MacKenzie. - Przyszłam, żeby podziękować pani za mydło.

- *Aye* - odparła zwięźle sklepikarka, splatając ramiona na piersiach. Jej córka wyłoniła się z zaplecza i przystanęła obok, ale matka nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi.

- Przyniosłam coś, co może się paniom przydać.

Pani Gowan zbyła wysiłki gościa nieprzyjaznym milczeniem.

- Ojciec podarował mi je na urodziny - oznajmiła Margot, wyciągając dłoń, w której spoczywał flakon w kształcie łabędzia. -

To perfumy o zapachu kwiatów. Prosto ze znanego sklepu w Londynie. Wasz pan bardzo je lubi.

Właścicielka sklepu popatrzyła na buteleczkę, po czym zerknęła niepewnie na córkę.

- Pomyślałam, że można by ich dodać do waszych mydeł i innych wyrobów.

- Mamy robić specjalne mydła na pani użytek?

- Nie, nie tylko dla mnie. Na użytek wszystkich MacKenziech. To znaczy tych, którym się spodobają.

Pani Gowan nie kwapiła się, aby odebrać prezent. Zrobiła to za nią córka, która podeszła do Margot i ostrożnie ujęła w palce flakonik.

- Piękny zapach - powiedziała z uśmiechem, przystawiwszy nos do otworu butelki.

- Mój ulubiony - odrzekła lady MacKenzie. - Żałuję, że nie odkryłam waszego sklepu wcześniej - dodała, zwracając oczy ku pani Gowan.

Zmarszczka na czole sklepikarki nieco się wygładziła.

- Prawdę mówiąc, żałuję wielu rzeczy, których zaniechałam przed laty. Ubolewam nad tym, że nikogo nie słuchałam i że nawet nie próbowałam zrozumieć tutejszych obyczajów. Zamiast tego usiłowałam narzucić wam swoje racje. Nie mogę zawrócić czasu i zmienić przeszłości, ale chciałabym zacząć wszystko od nowa.

Pani Gowan nie raczyła się odezwać, ale Margot nie miała jej tego za złe. Bez względu na to, co zaszło pomiędzy nią i Arranem, mówiła całkiem szczerze.

- Powiedziałam, co mi leżało na sercu. Dziękuję, że mnie panie wysłuchały. Do zobaczenia. - Z tymi słowy podeszła do drzwi i uśmiechnęła się na odchodne.

- Do zobaczenia, *milady* - odparła córka pani Gowan, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami.

Kiedy wróciła na zamek, opędzając się od zbłąkanych kur, natknęła się na Worthinga, który kręcił się po dziedzińcu w pobliżu wejścia. Zupełnie jakby kogoś wypatrywał. Zapewne mnie, pomyślała cierpko. Nie rozumiała w pełni swego położenia, ale jednego była pewna, nie uda jej się odbudować zrujnowanego

małżeństwa, jeśli nie pozbędzie się swojej eskorty i jej wszędo-  
bylskich oczu. Było jej wystarczająco ciężko i bez dwóch angielskich trefnisiów, jak ich nazywał jej mąż.

Podeszła do niego zdecydowanym krokiem i wymieniwszy po-  
witalne uprzejmości, poprosiła go o rozmowę.

- Naturalnie, *milady*, służę uprzejmie. Może wejdziemy do  
środka?

- Nie ma potrzeby. - Po pierwsze chciała mieć to jak najszybciej za sobą, po drugie na dziedzińcu nikt ich przypadkiem nie podsłucha.

- Wedle życzenia. Za pozwoleniem, czy coś się stało?

- Skądże, nic się nie stało. - Dała sobie chwilę do namysłu. Była pewna, że wszystko, co powie, zostanie powtórzone jej ojcu. Co do joty. - Po prostu nadszedł czas, abyście wraz z panem Pepperem opuścili Balhaire.

Worthing wprawdzie nadal uprzejmie się uśmiechał, ale jego oczy zamieniły się w dwa sople lodu.

- Ach tak? Wolno wiedzieć, z jakiego powodu? Mam obowiązek przekazać pani odczucia lordowi Norwoodowi.

Nie wątpię, westchnęła w duchu.

- Na razie nie mam ojcu do przekazania niczego konkretnego. Prawdę mówiąc, wasza przedłużająca się obecność w Balhaire nie pomaga mi. Wręcz przeciwnie. Mój mąż jest dość podejrzliwy.

- Podejrzliwy? Wobec kogo?

- Zarówno wobec mnie, jak i wobec was.

Spojrzał ponad jej głową na krzątających się w pobliżu MacKenziech i przyłożył sobie do nosa chusteczkę, jakby uderzył go w nozdrza odstręczający zapach. Potem popatrzył nieprzyjemnym wzrokiem na Margot. - Sądziłem, że nie zechce pani zostać tu sama. Jeśli wyjedziemy, nie będzie nikogo, kto mógłby panią przed nimi obronić. Nikomu nie życzyłbym takiego towarzystwa.

Zakipiła z oburzenia. Jak śmie oczerniać ciężko pracujących ludzi wyłącznie na podstawie wyglądu? Nie są dla niego dość wyrafinowani, bo nie noszą idiotycznych pudrowanych peruk tudzież koronkowych mankietów? I nie kłaniają się nikomu tak

nisko, żeby zamiatać zębami o podłogę? Przypomniała sobie, jak mąż kochał się z nią ubiegłej nocy. Jeśli zdaniem Worthinga tak zachowuje się człowiek nieokrzesany, to nie zamieniłaby go na stu takich wypacykowanych fircyków jak on sam. Zresztą nie zamieniłaby go na żadnego innego.

- Nic mi nie będzie, może pan być spokojny - powiedziała oschle, choć miała ochotę wygarnąć mu prosto w oczy, co o nim myśli.

- Raczy pani wyjawić, na czyje życzenie mamy opuścić zamek? To pomysł pani czy pana męża? Osobiście uważam, że byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy jednak zostali...

- Nie - przerwała mu bezceremonialnie. - Nie interesuje mnie pańskie zdanie w tej kwestii. Proszę, żebyście wyjechali. Jak najrychlej.

Spojrzał na nią protekcjonalnie.

- Cóż, wyjedziemy, skoro istotnie pani sobie tego życzy - rzekł nie mniej protekcjonalnym tonem.

Miała serdecznie dość tej rozmowy i tego odpychającego człowieka. Raptem naszała ją chęć, żeby go spoliczkować. Była dorosłą kobietą, panią domu, w którym przebywał jako gość, a on traktował ją jak bezmyślne i krnąbrne dziecko.

- W rzeczy samej, tego właśnie sobie życzę, panie Worthing. O ile mnie pamięć nie myli, jestem panią Balhaire i właśnie oznajmiłam panu, że nie życzę sobie dłużej oglądać pana oraz pana Peppera w swoim domu. Czy tym razem wyraziłam się dostatecznie jasno?

Zacisnął szczękę i skinął głową.

- Dziękuję i żegnam pana. - Odwróciła się na pięcie, żeby odejść, ale Worthing nagle złapał ją mocno za ramię.

- Zapomina się pan...

- Tak, wyjedziemy, lady MacKenzie, ale to nie znaczy, że nigdy tu nie wrócimy. I proszę pamiętać, że ojciec wciąż czeka na jakieś wieści. Im szybciej dostarczy mu pani informacje, tym lepiej. Czy dociera do pani, jakie to ważne?

- Owszem - odpowiedziała, na próżno próbując oswobodzić rękę.

- Czy aby na pewno? - Ścisnął ją jeszcze boleśniej. - A może

chce pani, żeby przez panią skończył na stryczku?

- Przeze mnie?! Zapomina pan, z kim rozmawia! To nie ja uwikłałam się w niebezpieczną politykę.

- Jeżeli się pani zdaje, że to tylko jakaś salonowa gierka, to grubo się pani myli. Jeśli nie znajdzie pani tego, po co panią tu przysłano, będzie pani miała na sumieniu śmierć własnego ojca. I powiem więcej, nie będzie pani miała, gdzie się podziać. Nie znajdzie pani domu ani tu, ani w Anglii, radzę zatem robić to, co się pani każe.

Czego takiego dopuścił się ojciec, że położy za to głowę? - zastanawiała się gorączkowo. Usiłowała wyrwać się Worthingowi, ale był od niej znacznie silniejszy.

- Rozumie mnie pani?

- W zupełności. A pan? Czy rozumie, że nie pozwolę się tak traktować? Nie omieszkam wspomnieć o tym ojcu przy najbliższej okazji. Proszę mnie natychmiast puścić!

Roześmiał jej się w twarz.

- Grozi mi pani? Głupia gęś. O niczym nie ma pani pojęcia...

- Zdejmij łąpsko z mojej żony, bo cię o nie skrócę, fircyku!

Usłyszawszy za plecami głos Arrana, Margot poczuła taką ulgę, że niemal ugięły się pod nią kolana. Kiedy Worthing puścił jej ramię, poleciała z impetem w tył i wylądowała na torsie męża. Oparła się o niego całym ciężarem, a on natychmiast objął ją w talii.

- Pan Worthing właśnie mnie informował - oznajmiła donośnie - że on i pan Pepper opuszczają Balhaire.

MacKenzie wpatrywał się groźnie w Anglika, który w swoich koronkach i niedorzecznej peruce wyglądał przy nim jak błazen.

- Jeszcze dziś - dodała dla efektu. - Najlepiej od razu. Do Anglii daleka droga.

Worthing zacisnął szczękę. Tak mocno, że niemal zgrzytnął zębami. Mimo to uśmiechnął się i skłonił głowę, jakby przed chwilą gawędzili o pogodzie.

- Po śniadaniu spakujemy swoje rzeczy i...

- Nie, nie będziecie czekać z tym do śniadania - przerwał mu Arran. - Nie słyszał pan, co powiedziała lady MacKenzie? Radzę

jej posłuchać.

- Wedle życzenia, milordzie - odparł wzgardliwe Anglik, po czym posłał wymowne spojrzenie Margot. - Bóg mi świadkiem, zrobiłem, co w mojej mocy. - Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Jock pojawił się nie wiedzieć skąd i pomaszerował za nim. Jak cień przyklejony do jego lśniących trzewików.

Margot wypuściła głośno powietrze. Serce łomotało jej tak szybko i mocno, że czuła je w gardle. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak kurczowo trzyma się męża.

- Dobrze się czujesz? - Spojrzał na nią z niepokojem. - Wyglądasz tak, jakbyś miała zemdleć.

- Nie, nie, nic mi nie dolega. Zdenerwowałam się trochę. To nie była przyjemna pogawędka.

- O co poszło?

- Nie spodobało mu się, że kazałam im wyjechać.

Skinął głową, ale wpatrywał się w nią dociekliwie, jakby próbował wyczytać coś więcej z jej twarzy.

- Co miał na myśli, mówiąc, że zrobił, co w jego mocy?

Trwało to ułamek sekundy, ale zamrugła, zanim zebrała się na odpowiedź.

- Nie mam pojęcia. - Odwróciła wzrok, w obawie, że się zdradzi. - Zapewne chodziło mu o to, że przywiózł mnie bezpiecznie na miejsce i na tym jego rola się zakończyła.

- Dobrze wiesz, że nie o to mu szło - stwierdził kategorycznie. - Powiesz mi wreszcie, w czym rzecz?

Pragnęła wyznać mu prawdę, powtórzyć durne plotki, które rozgłaszano o nim w Anglii. Chciała, żeby wszystkiemu zaprzeczył i żeby cały ten koszmar wreszcie się zakończył.

Ale jeśli mu powie, że przyjechała tu, żeby go szpiegować, potwierdzi jego podejrzenia. Udowodni, że się co do niej nie mylił, że istotnie nie powinien jej ufać. To może na zawsze pogrzebać ich małżeństwo. Miała kompletny mętlik w głowie. Czuła, że ziemia usuwa jej się spod stóp.

Arran przyjrzał jej się spod zmarszczonych brwi.

- Co się dzieje, *leannan*? - zapytał zatroskanym głosem. - Cokolwiek to jest, powiedz mi. Jakoś temu zaradzimy.

Była rozdarta. Nie wierzyła w zdradę męża, ale nie miała nie-

zbitych dowodów jego niewinności, a Worthing wystraszył ją na śmierć. Bała się, że kiedy zacznie mówić, powie o dwa słowa za dużo i tym samym wyda wyrok śmierci na własnego ojca. Za to jeśli będzie uparcie milczeć, zniszczy na dobre kruchy rozejm z Arranem. Za nic nie chciała do tego dopuścić.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Nic się nie stało, naprawdę. Jestem tylko trochę głodna. Zjesz ze mną śniadanie?

W jego niebieskich oczach pojawił się chłód. Wiedział, że nie jest z nim szczerą. Tylko głupiec by tego nie zauważył. Zadumał się na moment, jakby rozważał, czy warto dalej naciskać. W końcu postanowił jej odpuścić.

- Nie dziś. Jedziemy zapolować na cietrzewie na kolację. - Zatrzymał wzrok na Worthingu, który stał nieopodal, szepcząc coś do ucha Pepperowi. - Najlepiej będzie, jeśli pojedziesz z nami.

- Chcesz mnie zabrać na łowy? - zdziwiła się. Zazwyczaj ledwo trzymała się w siodle i nie umiała strzelać.

- Wolałbym nie spuszczać cię dziś z oczu, Margot. Nie sprzeczasz się. Włóż coś stosownego i zejdź z powrotem na dziedzińiec. Spotkamy się za pół godziny. - Zostawił ją i podszedł do Sweeneya.

- Wybiera się pani na łowy, *milady*? - Nell nie posiadała się ze zdumienia. - Coś podobnego! Nie sądziłam, że pani poluje.

- Nie mam wyboru - mruknęła w odpowiedzi lady MacKenzie. Nie otrząsnęła się jeszcze po rozmowie z Worthingiem. Czuła się jak ryba w sieci, tyle że w jej wypadku była to sieć kłamstw. Miała już po dziurki w nosie ciągłego udawania i oszukiwania męża.

Pokojówka westchnęła demonstracyjnie, miętosząc w palcach sukienkę, którą odnosiła właśnie do gotowalni.

- Co z tobą? Nie stój tak, pomóż mi. Nie mogę jechać tak, jak stoję.

- Idzie o to, że... E, nie, nie chcę zawracać pani głowy.

I chwala Bogu, pomyślała Margot. Niemal odetchnęła z ulgą. Nie miała ochoty wysłuchiwać utyskiwań Nell. Wystarczały jej własne zmartwienia.

Niestety nie dane jej było zaznać spokoju. Podejrzewała, że służąca nie wysiedzi długo z zamkniętymi ustami, i nie myliła się.

- Nie wytrzymam, jeśli pani nie powiem! On na okrągło zatruwa mi życie!

- Kto? Jock?

- A któż by inny, jaśnie pani? Tylko on wpada tu bez pukania, jak do siebie. Nie masz dla niego żadnych świętości! Kto to widział, żeby panoszyć się w ten sposób po komnatach pana!

- Czego chciał?

- A kto go tam wie? - prychnęła Nell. - Przeszukiwał kąty, jak zwykle. Tym razem dość długo i skrupulatnie.

Długo i skrupulatnie? Margot zastygła z płaszczem w ręku.

- Co znaczy przeszukiwał kąty?

- No... myszkował, tu i ówdzie wścibiał ten swój wielki szkocki nos. Pytam go grzecznie: „Zginęło ci coś, panie Szkocie?“, a ten do mnie: „Nie zdziwiłbym się, gdyby zginęło. Na chwilę was z oka spuścić nie można! Angielska zaraza”. Sprząłabym go na kwaśne jabłko za tę zniewagę, ale się w porę opamiętałam. Z takim kłocem nie wygrasz. Ale nigdy nie zaszkośli rozpuścić jadaczki, za przeproszeniem. Co też zrobiłam. Jak śmiesz obrażać mnie i moją panią, nieobyty gburze? Wykrzyczałam mu prosto w twarz. Sto razy wolę być Angielką niż takim dzikusiem jak ty! A on mi na to: „Dziękuj Bogu, że nie urodziłaś się Szkotką, kruszyno, boś na to za słaba. Ledwie od podłogi odrosłaś, a harda jesteś tylko w gębie”. Ja za słaba? I harda tylko w gębie? Powiadaj pani, jakby we mnie piorun strzelił, tak się rozszerdziłam. Może i nie jestem takim wielkoludem jak ty, mówię, ale to nie znaczy, że brak mi krzepy. Może chcesz, żebym cię jeszcze raz pogryzła, co? W mig się przekonasz o mojej krzepie!

Margot roześmiałyby się, gdyby nie to, że Jock najwyraźniej czegoś szukał. I mógł się natknąć na nóż, który upuściła w gabinecie Arrana.

- I co on na to?

- Nic. Wyparował stąd jak z procy, a tak się rozeźlił, że jeszcze trochę, a para by mu się z uszu puściła. I dobrze mu tak. Niech wie, że nie dam sobie w kaszę dmuchać, prawda?



- Prawda, prawda. Powiedział, czego szuka?

- Ale skąd. W ogóle ze mną gadać nie chce, chyba że go sama zaczepię. W każdym razie przeszukał caluszką komodę, zajrzał pod łóżko, a nawet pod pierzynę. Potem wszedł do gotowalni pana i zniknął na dobrych kilka minut, zanim raczył się stąd wreszcie zabrać.

Lady MacKenzie oblała się zimnym potem. Boże dopomóż, myślała w popłochu.

- W życiu nie spotkałam takiego ordynusa jak on - trąkotała dalej Nell. - Żadnych manier, żadnej finezji! - Narzekała jeszcze długo, jak to ona, ale Margot wyłączyła się po drugim zdaniu. Nie miała czasu na myślenie. Już była spóźniona. Ubrała się pośpiesznie i zbiegła na dół, zawiązując pod brodą wstążki kapełusza. Jej odzienie w niczym nie przypominało stroju łowieckiego, ale niczego lepszego nie znalazła.

Arran czekał na nią na dziedzińcu. W długim płaszczu i z włosami związanymi w kitkę wyglądał olśniewająco. Stał ze skrzyżowanymi ramionami, przyglądając się ładowaniu bagaży Worthinga i Peppera do powozu.

- Spóźniłaś się. - Przywitał ją z półuśmiechem. - Chodź, szkoda dnia.

Położywszy jej rękę na plecach, podprowadził ją do konia.

Odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła, że osiodłano dla niej kuca, na którym jeździła wcześniej.

Duncan i Hamish MacKenzie byli już gotowi do wyjazdu. Pamiętała, że ci dwaj są braćmi i gajowymi. Były też dwa psy gończe Arrana. Nie było za to osoby, która zazwyczaj chodziła za jej mężem jak cień.

- A gdzie Jock? - zapytała, rozglądając się dookoła.

- Ma inne rzeczy do roboty - odparł krótko Arran.

Ze zdenerwowania zrobiło jej się słabo.

- Ach tak? A może zwyczajnie nie miał ochoty na moje towarzysztwo? Wiem, że za mną nie przepada.

- Och, jestem pewien, że to gruba przesada. Nie ufa ci i tyle. Sweeney pomógł jej wsiąść na konia.

- Nie ma najmniejszego powodu, żeby mi nie ufać. Nasze małżeńskie sprawy zupełnie go nie dotyczą.

- Prawda. Sęk w tym, że mój kuzyn z zasady nie lubi ludzi, którzy mogą zechcieć mnie skrzywdzić.

- Uważa, że chcę wyrzucić ci krzywdę? - spytała z niedowierzaniem. Czyżby Jock naprawdę posądzał ją o najgorsze? Wydaje mu się, że byłaby zdolna z zimną krwią zamordować męża?

- Zdaje się, że tak - potwierdził Arran. - Ale dość o tym. Robota czeka.

Nie była wprawdzie morderczynią, ale Jock nie mylił się co najmniej w jednym. W istocie nie przyjechała tu z własnej woli. Przysłano ją, żeby zebrała dowody spisku pogrążające przywódcę MacKenziech. A za zdradę karano śmiercią. Jeśli więc spełni oczekiwania ojca, de facto zabije męża, tyle że w białych rękawiczkach. Tak czy owak, będzie go miała na sumieniu. To nie mniej perfidne niż zwykły mord. Prawdopodobnie nawet bardziej. Boże, to jakiś koszmar! Kazano jej wybierać pomiędzy życiem ojca i męża. Nie miała pojęcia, jak wybrnąć z sytuacji, nie robiąc krzywdy żadnemu z nich.

Ruszyli z kopyta. Wszyscy z wyjątkiem Margot, naturalnie. Jej kuc najwyraźniej nie miał ochoty na przejażdżki. Za to kiedy Sweeney uraczył go klępem w zad, pognął przed siebie z taką werwą, że niemal zrzucił ją z siodła. Utrzymała się w pionie tylko dzięki woli Wszechmogącego. Nie chciała nawet myśleć o tym, jak będzie wyglądał wieczorem jej własny zadek.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Arran miał nadzieję, że na jego żonę spłynęła w nocy łaska Opatrzności i Margot obudziła się rano jako wytrawna amazonka. Niestety musiał przyjąć do wiadomości, że to jedynie jego pobożne życzenia. Jak zwykle z trudem trzymała się na koniu i spowalniała resztę wyprawy. Zgubiła po drodze kapelusz, a sądząc po tym, jak podskakiwała w siodle, jej pośladki już teraz były w opłakanym stanie. Odezwały się w nim wyrzuty sumienia. Niepotrzebnie ją ze sobą zabrał.

Na dobitkę irytowały go nieustanne niesnaski pomiędzy Duncanem i Hamishem. Ci dwaj byli bodaj najlepszymi łowczymi w całej Szkocji, ale od lat żyli jak pies z kotem. Kłócili się dosłownie bez przerwy, nierzadko nie zważając na otoczenie i okoliczności. Zatarg sięgał niepamiętnych czasów, a poszło, rzecz jasna, o dziewczynę. Nikt nie znał szczegółów, ale krążyły już o tym legendy.

Nie miał ochoty wysłuchiwać ich kolejnej sprzeczki, zwolnił więc i dołączył do żony.

Uśmiechnęła się szeroko na jego widok, ale była wyraźnie zmęczona. Ciężko oddychała i miała zaczerwienione policzki.

- Nie mam pojęcia, co się dzisiaj dzieje z tym kucem. Nie dawał mi się tak mocno we znaki, kiedy jeździłam nim wczoraj po klifie przy plaży.

Kuc nie był niczemu winny. To jeździec zupełnie nad nim nie panował.

- Droga na klif jest równa i o wiele krótsza - wyjaśnił rzeczowo. - Dziś jedziemy w górę doliny. Znacznie trudniejszym szlakiem do Lochbraden.

- Do Lochbraden? A ja myślałam, że jesteśmy już w połowie drogi do Anglii.

Roześmiał się z jej żartu.

- Ujechaliśmy ledwie trzy mile, *leannan*. Niedługo się zatrzy-

mamy i zaczniemy polować. Jak to się stało, że nigdy nie nauczyłaś się porządnie jeździć konno, co?

- Jak to? Przecież jadę porządnie!

Chrząknął i znów się nie roześmiał.

Trzymała wodze tak mocno, że aż zbieleły jej knykcie.

- A mnie się zdaje, że przychodzi ci to z niemałym trudem.

Jęknęła i zacisnęła na moment powieki.

- Z ogromnym trudem, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Nie odbyłam ani jednej lekcji jazdy. Papa skupiał się na edukacji synów. Moi bracia jeżdżą znakomicie. Ciebie też uczył ojciec?

- Nie zdążył. Zginął, kiedy byłem chłopcem - odparł Arran. - Reja spadła mu na głowę podczas jednego z rejsów. Odszedł z tego świata, nigdy nie odzyskawszy świadomości.

- Tak, pamiętam. Mówiłeś mi kiedyś. Ile miałeś lat, czternaście?

- Dwanaście. Niecały rok później zmarła moja matka.

- To musiało być okropne przeżycie. Ja nawet nie pamiętam matki. Wychowywali cię później rodzice Jocka, prawda?

- Jocka i Gryzeldy: ciotka Lilleas i stryj Ivor.

- Ha! Nic dziwnego, że ty i Jock jesteście nierozłączni.

- Nierozłączni? - powtórzył z uśmiechem. - Bez przesady. Nie przypominam sobie, żeby mój kuzyn był z nami wczoraj w łóżku.

Prychnęła rozbawiona.

- Jestem pewna, że byłby, gdybyś tylko otworzył mu drzwi i zaprosił go do środka. Zresztą, kto wie, może chował się pod łóżkiem.

Zaśmiał się w głos. Niewiele się myliła. Jock był w stosunku do niego odrobinę nadopiekuńczy. I bezprzykładnie lojalny.

- Twoi ludzie cię uwielbiają - zauważyła z podziwem. - Zadzroszczę ci tego.

- Nasi ludzie - poprawił bez namysłu. - Ciebie też uwielbiają, tyle że w Anglii.

- Mnie? - Potrząsnęła głową. - Nic podobnego.

- Wiem to z wiarygodnego źródła. Mężczyźni za tobą przepadają. I ponoć nie masz sobie równych w kartach. Szkoda, że damy nie chadzają do szulerni, mogłabyś zbić w takim miejscu

fortunę.

Tym razem to ona się roześmiała.

- Może rzeczywiście znalazłoby się kilku takich, którzy mnie podziwiają - zgodziła się skromnie. - Co do kart, to owszem, masz rację. Podczas przyjęć rzadko tańczę, więc musiałam znaleźć sobie jakieś inne zajęcie.

Odsłonił zęby w szerokim uśmiechu.

- Wierzę. Wyjątkowo marna z ciebie tancerka.

- Dziękuję za ten wyszukany komplement, panie MacKenzie - odparła uradowana. - Nareszcie ktoś docenił należycie moje wysiłki. - Po chwili wyraźnie spoważniała. - Mimo tych oczywistych niedostatków po powrocie do Anglii przyjmowałam zaproszenia na wszystkie bale i wieczorki towarzyskie. Starłam się jakoś żyć dalej, ułożyć sobie życie na nowo. Ty zapewne robiłeś podobnie.

Wzruszył ramionami. W tej kwestii nie miał jej nic do powiedzenia. Nigdy się nie dowie, że po jej wyjeździe całymi tygodniami snuł się po okolicy jak zjawa. Zbolały, zajęty rozmyślaniami o niej i rozpamiętywaniem przeszłości w niczym nie widział celu ani sensu. A już na pewno nie myślał wówczas o tym, że powinien jakoś ułożyć sobie życie na nowo. Żył po prostu z dnia na dzień.

- Wiem, że nie próżnowałeś w tym czasie - odezwała się po chwili milczenia. - Zacząłeś robić interesy z Francuzami. I cały czas otaczali cię ludzie. W przeciwieństwie do mnie, nie musiałeś szukać towarzystwa, bo zawsze miałeś je pod ręką.

- Ty też zawsze miałaś mnie pod ręką. Dopóki nie wyjechałaś.

- Tak, ale nie widywałam cię tak często, jak bym chciała. Poza tym mieliśmy publiczność. Wydawało mi się, że ciągle ktoś na nas patrzy. Byłam skrępowana, nie czułam się z tym dobrze. Nie służyło to też naszemu małżeństwu. Teraz także przygląda nam się cały klan MacKenziech, a pojednanie zwaśnionych małżonków to i bez tego niełatwa sprawa.

- Pojednanie to bardzo mocne słowo - rzekł stanowczo. - To ty nieustannie rozprawiasz o nowym początku. Ja nigdy nie mówiłem, że chcę się z tobą pojednać.

Podniosła na niego oczy i zamrugwała.

- Nie mówiłeś?

- Nie.

Przyjrzała mu się uważnie.

- A powiesz?

- Nie wiem. Może.

- Jak ci się zdaje, kiedy będziesz na to gotowy?

- Kiedy się upewnię, że jesteś ze mną całkowicie szczerą.

Wyraźnie przygasała.

- No tak, naturalnie... - Odwróciła wzrok. Zdaje się, że chciała powiedzieć coś jeszcze, ale przerwał jej Duncan, który przywołał do siebie Arrana. Okazało się, że bracia znaleźli cietrzewie.

Zatrzymali się na wzgórzach w pobliżu niewielkiego jeziora. MacKenzie pomógł żonie zsiąść z konia. Dalej poruszali się na piechotę.

Nim podeszli do myśliwych, którzy z przodu obserwowali zwierzynę, bracia zdążyli się już pokłócić. Tym razem poszło o to, jak najlepiej podejść ptaki i jaką metodą je upolować. Zacierzewili się tak bardzo, że zapomnieli o prawdziwych cietrzewiach. W dodatku zupełnie nie zwracali uwagi na Arrana i Margot. Wrzeszczeli jeden przez drugiego, wymachując rękami. Zdenerwowali psy, które rozszczękały się na dobre i narobiły jeszcze więcej hałasu. W ciągu zaledwie minuty wypłoszyli wszystkie ptaki.

- Na rany Chrystusa! - Zirytował się Arran. - Skończcie z tym wreszcie, bo sam was nauczę moresu. Myślałby kto, żeście dorosli, a zachowujecie się jak smarkacze!

Bracia zignorowali wodza i przeszli od słów do czynów. Podeszli się z ziemi i zaczęli okładać pięściami, wyklinając się przy tym nawzajem po gaelicku.

Arran sięgnął po pistolet.

- Co robisz? - przeraziła się Margot.

- Zamierzam ich obu zastrzelić - wycedził przez zęby. - Tak naprawdę miał zamiar wystrzelić im nad głowami, chociaż kociło go, żeby dać im solidniejszą nauczkę.

Nim pojął, co się święci, jego żona wskoczyła w sam środek bójki.

- Margot! - wrzasnął wystraszony. W ferworze walki mogli ją niechcący uderzyć.

Na szczęście Duncan i Hamish byli nie mniej zaskoczeni niż on. Stanęli jak wryci i wlepili osłupiały wzrok w lady MacKenzie, która tkwiła pomiędzy nimi, trzymając obu na wyciągnięcie ramienia.

- Co wam się stało, panowie?! - zawołała z należyтым oburzeniem. - Zupełnie wam rozum odjęło? Kto to widział, żeby dorośli mężczyźni, w dodatku bracia, tłukli się po głowach jak dzieci o ulubioną zabawkę? Obaj powinniście się wstydzić!

- To on zaczął, *milady!* - odezwał się Duncan i spróbował dosięgnąć brata ponad głową Margot. - Całe życie mam go na karku. Jest gorszy niż drzazga w zadku! Za przeproszeniem.

Odepchnęła go na bezpieczną odległość.

- Całe życie?! Nie wydaje mi się. Nie polowalibyście razem, gdyby tak było. O co poszło? - Opuściła ręce i spojrzała kolejno na obu MacKenziech. - No, mówcie mi tu zaraz, co was tak bardzo poróżniło. Nie zamierzam czekać w nieskończoność.

- Już on wie, co mi zrobił, łajdus jeden! - wykrzyczał w końcu Hamish.

- Co takiego ci niby zrobiłem, łachmyto?! Co?! - ryknął Duncan i jeszcze raz rzucił się w stronę brata.

Margot znów stanęła mu na drodze, więc rad nierad musiał dać sobie spokój.

- Dość tego dobrego! - Tym razem to ona wrzasnęła na całe gardło. - Raptem ucichli jak na komendę: obaj bracia, Arran, a nawet psy, którym nie wiedzieć czemu, odechciało się szczekania.

- Nie pojmuję, jak można tak długo i zaciekle kłócić się z własnym bratem. I to z powodu jakiejś starej waśni, o której obaj powinniście już dawno zapomnieć. Nie, nie chcę znać waszych powodów - powstrzymała ich gestem, gdy obaj jednocześnie otworzyli usta. - Na miłość boską, jesteście przecież rodziną! Być może kiedyś wymrą wam wszyscy krewni i zostaniecie na świecie zupełnie sami, tylko we dwóch. Pomyśleliście o tym? Kto pana pochowa, kiedy pan umrze? - Zwróciła się do Hamisha. - Chce pan, żeby w ostatniej drodze towarzyszył panu gra-

barz zamiast brata?

Hamish łypnął na Duncana, po czym zapatrzył się we własne buty.

- Tak myślałam. A pan? Kto się panem zajmie, kiedy będzie pan stary, chory i zniedołężniały?

- Nie wiem - wymamrotał Duncan, odwracając wzrok.

- A mnie się zdaje, że jednak pan wie. Przemyślcie to sobie, panowie. Zastanówcie się, czy warto jątrzyć stare rany dla samego ich jątrzenia. Może lepiej pozwolić im się zagoić, zapomnieć o animozjach i przypomnieć sobie dobre czasy, kiedy się jeszcze lubiliście. Na pewno macie wiele pięknych wspomnień z dzieciństwa.

Arran niemal rozdziawił usta ze zdumienia. Był zachwycony i dumny z żony. Nie znał jej od tej strony. Nie przypuszczał, że jest taka dzielna.

- Wiem, że nieprędko wybaczycie sobie dawne urazy, ale chcę, żebyście mi obiecali, że spróbujecie się pojednać.

Bracia spojrzeli po sobie i kiwnęli głowami.

- Obiecujecie? - przycisnęła dla pewności.

- Obiecujemy - odrzekli chórem.

- Trzymam was za słowo. Możemy zatem zacząć łapać cietrzewie? Mają je podać na wieczerzę. Nie zostało nam wiele czasu.

- *Aye, milady.*

- Słyszeliście, co macie robić - dodał MacKenzie.

Duncan i Hamish wsiedli na konie i przywołali psy. Po chwili ruszyli na poszukiwanie zwierzyny.

Arran spojrział z podziwem na żonę.

- Wspaniale się spisałaś. Odważyłaś się wejść na ścieżkę, po której nie stąpał dotąd żaden śmiertelnik.

Przewróciła oczami.

- Rozejm pewnie długo się nie utrzyma. Mam nadzieję, że obejdzie się bez awantury przynajmniej do czasu, aż upolują nam kolację.

Roześmiał się, a potem przygarnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy.

Cietrzewie były duże i ciężkie, więc nie odleciały daleko. Nim



się obejrżeli, mieli we wnykach pół tuzina ptaków i mogli wracać do domu.

- Jedźcie - polecił MacKenzie, gdy Hamish i Duncan wrócili z upolowaną zwierzyną. - Wrócimy sami.

Kiedy bracia zniknęli im z oczu, wziął żonę za rękę i poprowadził na szczyt wzgórza.

- Chodź. - Pociągnął ją za sobą na trawę.

- Co robisz? - zapytała, położywszy się obok niego na brzuchu.

- Uczę cię polować. Zobaczysz, skąd się bierze jedzenie na stole. - Włożył jej do ręki pistolet i pokazał, jak go trzymać. - Kiedy zobaczysz ptaka, wyceluj i wystrzel.

- Ale jak mam któregoś trafić? Przecież one cały czas chodzą.

- Wypatrz sobie najmniej ruchliwego.

- Hmm...

- Masz?

- Mam.

- Dobrze. Odlicz do trzech i naciśnij spust. Raz, dwa...

Wystrzeliła, zanim zdążył powiedzieć trzy. W dodatku z zamkniętymi oczami. Pistolet niemal wypadł jej z ręki, a żaden cietrzew nie stracił nawet pióra.

Arran dostał ataku śmiechu i przewrócił się na plecy.

- Naśmiewasz się ze mnie? Jesteś okrutny! - Próbowała udawać obrażoną, ale sama nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- *Diah*, to był najgorszy strzał, jaki w życiu widziałem.

- Taki strzał, jaki nauczyciel. - Kiedy dała mu kuksańca, chwycił ją za nadgarstek i pociągnął na siebie.

- Nie można nauczyć kogoś, kto strzela z zamkniętymi oczami.

- Speszyłam się, dlatego zamknęłam oczy. - Patrzyła na niego z uśmiechem. Wyglądała na szczęśliwą. - Poszłoby mi o wiele lepiej, gdyby nie było cię w pobliżu.

Pogłaskał ją po policzku.

- Beze mnie nie ujechałabyś tak daleko od domu. Ledwo trzymasz się w siodle. - Ujął jej twarz w dłonie i zaczął ją całować.

Zapomniał o Duncanie i Hamishu, o psach i o polowaniu. Za-

pomniał o wszystkim, nawet o tym, że jej nie ufa. Liczyła się tylko ta chwila. Przeturlał się po trawie, przewracając Margot na plecy. Ani na chwilę nie oderwał od niej ust. Wezbrały w nim emocje, które trzymał dotąd na uwięzi. Odepchnął od siebie wątpliwości i pozwolił, by jego uczucia wreszcie znalazły ujście. Nagle zapragnął, żeby im się udało. Wybaczył jej i choć do tej pory się do tego nie przyznawał, chciał się z nią pojednać. Chciał być szczęśliwy z żoną u boku. Czy żądał od życia zbyt wiele?

W końcu uniósł głowę i wyjął jej z włosów źdźbło trawy. Potem cmoknął ją w czoło i pomógł jej wstać. Margot poprawiła fryzurę, wygładziła spódnice i wsunęła rękę w jego dłoń.

- Zasłużyłam na kolację?

- Zasłużyłaś - Uśmiechnął się i ścisnął mocniej jej palce.

Pomógł jej wsiąść na konia i ruszyli w stronę zamku.

- Gdzie twoje statki? - zapytała, kiedy przejeżdżali wzdłuż klifu nad plażą.

- Zacumowane na przystani.

- Kiedy wybierasz się znów do Francji?

Zadała to pytanie zdecydowanie zbyt lekkim tonem.

- A kto powiedział, że wybieram się do Francji?

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

- Jestem pewna, że słyszałam to od ciebie.

- A jestem pewien, że niczego takiego nie mówiłem.

- Hmm... może to była pani Gowan. Odwiedziłam niedawno jej sklep. Patrz, Jock jedzie.

Arran przeniósł wzrok na ścieżkę i zobaczył galopującego ku nim kuzyna.

- Stało się coś? - spytał zaniepokojony.

- Muszę się z tobą rozmówić.

- Właśnie wracamy na zamek. Jedź przodem, dołączę do ciebie.

Jock zawrócił konia i pognał w kierunku plaży.

Margot milczała niemal przez całą drogę, ale coś wyraźnie nie dawało jej spokoju.

Gdy dotarli na dziedziniec, pomógł jej wsiąść i oddał jej kuca

stajennemu.

- Dalej poradzisz sobie sama. - Podeszedł z powrotem do konia.

Zatrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Dokąd jedziesz? - Nie wiedzieć czemu, sprawiała wrażenie mocno zaniepokojonej.

- Słyszałaś, co powiedział Jock.

- Ale... gdzie macie się spotkać?

Nie pojmował, o co jej chodzi ani dlaczego tak się zdenerwowała.

- Czemu pytasz?

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niego z uwagą, jakby próbowała wyczytać coś z jego twarzy.

- Kiedy wrócisz? - Albo mu się zdawało, albo usłyszał w jej głosie poczucie winy.

Zmarszczył brwi. Jej podenerwowanie było zaraźliwe. Martwiła go ta nagła zmiana w zachowaniu żony. Zastanawiał się też, co miał mu do powiedzenia Jock. Wyglądało na to, że nic dobrego. Ogarnęły go złe przeczucia.

- Nie wiem, Margot - odpowiedział na pytanie. - Za godzinę, może dwie. Proszę, nie zatrzymuj mnie. Naprawdę muszę jechać.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Uznał, że jeśli pozwoli jej się odezwać, znów nabierze wobec niej podejrzeń. Wolał do tego nie dopuścić. Objął ją na moment i ucałował w skroń.

- Kiedy wrócę, możesz mnie zapytać, o co tylko zechcesz. Do zobaczenia.

Wskoczył na siodło i odjechał.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Margot podjęła ostateczną decyzję. Teraz albo nigdy. Arran i Jock byli poza domem, co znacznie ułatwiało zadanie. Nie mogła dłużej żyć w niepewności ani tłumić coraz silniejszych uczuć do męża. Nigdy nie przypuszczała, że jest w stanie aż tak bardzo się do niego przywiązać. Musiała sprawdzić, co trzymał pod kluczem w gabinecie, i znaleźć dowody jego niewinności.

Odprowadziwszy go wzrokiem, wróciła do swoich pokojów. Nie spieszyła się. Nie chciała wzbudzać niczyich podejrzeń. Przystanęła nawet, żeby pogawędzić chwilę z Fergussem, który powoli zaczynał się do niej przekonywać.

Gdy dotarła na górę, stwierdziła z ulgą, że bawialnia jest pusta. Dziękowała Bogu, że Nell uwielbia plotki. Pewnie siedziała teraz w kuchni z innymi służącymi.

Znalazła szpilkę do kapelusza i zdecydowanym krokiem przeszła przez gotowalnię do gabinetu. Jej nerwy były napięte jak postronki. Wiedziała, że nie ma ani chwili do stracenia. Wiele ryzykowała; w tym domu zawsze kręciło się mnóstwo ludzi, ktoś mógł ją przyłapać na gorącym uczynku.

Ręce trzęsły jej się ze strachu, kiedy próbowała otworzyć szafkę. Najpierw zabrała spod niej nóż, który zostawiła tam poprzedniego wieczoru. Jock go jednak nie znalazł. I całe szczęście. W przeciwnym razie byłaby pewnie w nie lada tarapatach.

Przez kilka następnych minut mocowała się z zamkiem. Gorączkowo obracała w nim szpilkę, jednocześnie nadstawiając uszu. Wciąż jej się wydawało, że słyszy na korytarzu kroki i odgłosy rozmów. Serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe. Jeszcze nie zrobiła najgorszego, a już dręczyło ją poczucie winy.

Otarła pot z czoła i niemal zrezygnowała z dalszych wysiłków, kiedy raptem drzwiczki odskoczyły i stanęły przed nią otworem.

Wypuściła głośno powietrze i na wszelki wypadek odwróciła się w stronę sypialni. Upewniwszy się, że nadal jest sama, wło-

żyła rękę do środka. Natrafiła na związany wstążką plik listów. Korespondencja z Francuzami? Rozwiązała supeł. Nie, wszystkie były zalakowane i opatrzone pieczęcią Arrana. Odwróciła je i rozpoznała jego pismo. Gdy zobaczyła, że są zaadresowane do niej, z wrażenia opadła z klęczek na podłogę i oparła się ciężko o ścianę.

*Lady MacKenzie, Norwood Park.* Spojrzała na znajomy kształt liter i poczuła, że oddech więźnie jej w piersi. Dobry Boże... Napisał do niej dziewięć listów. I żadnego nie wysłał. Dlaczego tego nie zrobił? Co w nich było? Co chciał jej powiedzieć?

Nie, nie wolno jej ich otworzyć. Nie może upaść tak nisko. Zdradziłaby jego zaufanie. I tak posunęła się za daleko. Włamała się do szafki i naruszyła jego prywatność. Gdyby chciał, żeby poznała ich treść, postarałby się, aby je doręczono.

Zawiązała ponownie wstążkę i odłożyła listy na miejsce. Zamknąwszy drzwiczki, ujęła w dłoń szpilkę, lecz nagle się rozmyśliła. Ciekawość wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem i poczuciem przyzwoitości.

Tylko jeden, obiecywała sobie. Otworzyła pierwszy z brzegu, z datą sprzed około roku.

*Uplłynęło już sześć miesięcy, odkąd napisałem do Ciebie poprzedni list. Do Balhaire przywędrowała zima, a z nią dokuczliwe mrozy. Niedawno zaskoczyła nas burza. Straciliśmy przez nią kilka owiec, które wypasały się w dolinie. Przymarzły jedna do drugiej, nawet wełna nie zdołała ochronić ich przed zimnem. Chciałbym, żebyś była przy mnie i ogrzewała mnie w nocy swoim ciepłem. Nienawidzę za to samego siebie. Żałuję, że kiedykolwiek Cię poznałem.*

Margot ścisnęła papier w drżącej dłoni i wpatrywała się tępo w litery, które rozmazywały jej się przed oczami. Nie było już odwrotu. Rozpieczętowała kolejny list. Tym razem napisany miesiąc po jej ucieczce. Spodziewała się najgorszego.

*Próbuję zrozumieć, dlaczego mnie opuściłaś. Wiele nas dzieliło, nie sądziłem jednak, że któraś z naszych różnic jest tak poważna, że może doprowadzić do Twojego wyjazdu. Byłaś nie-*

*szczęśliwa i nic Cię nie cieszyło, a ja nie potrafiłem odkryć przyczyny Twoich ciągłych łez. Może gdybym bardziej się postarał, wszystko byłoby inaczej, może umiałbym Cię zatrzymać. Chciałbym wiedzieć, czym Cię tak skrzywdziłem, Margot.*

W następnych akapitach wymieniał liczne wydarzenia, które doprowadziły ją do łez. O wielu z nich sama już nie pamiętała.

*Często bywałaś niezdolna, na przemian płaczliwa i swarliwa, nieprzystępna i drażliwa. Mimo to brak mi Ciebie. Bardzo za Tobą tęsknię.*

Tak zaczynał się list, który napisał rok po jej wyjeździe:

*Mary Grady urodziła dziś rano syna. Jej mąż, John, nie posiadał się ze szczęścia. Chłopiec jest zdrowy i ma mocne płuca, kiedy jest głodny, wrzeszczy wniebogłosy. Akuszerka mówi, że wyrośnie na krzepkiego młodzieńca. Ciesz mi się szczęście Gradych, ale wyznam, że ciężko mi na sercu, kiedy pomyślę, że mnie samemu nigdy nie będzie dane zostać ojcem, bo moja żona odjechała do Anglii i zapewne nigdy nie wróci.*

Z początku pisał częściej. Z jego słów przebijały ból i gniew. Potem sięgał po pióro znacznie rzadziej. Pisał o ludziach z klanu, o narodzinach i zgonach rozmaitych członków rodziny, których nawet nie znała. Niektóre listy były sentymentalne, inne pełne wyrzutów, ale wszystkie przepełniała ogromna tęsknota.

Ostatni okazał się znacznie krótszy niż poprzednie.

*To mój ostatni list do Ciebie, Margot. Żadnego więcej nie napiszę. Pojąłem wreszcie, że popełniłem błąd. Nie powinienem był się z Tobą ożenić. Ale stało się i nic tego nie zmieni. W chwili, gdy przysięgałem przed Bogiem i ludźmi, że biorę Cię za żonę, stałaś się całym moim światem, jego początkiem i końcem. I tak już pozostanie przez resztę moich dni. Nie potrafiłem przewidzieć, że nasze małżeństwo zakończy się tak sromotną klęską. Wyrzucam to sobie od czasu Twego wyjazdu. Będę niósł ze sobą ten ciężar, dopóki żyję, ale dziś uwalniam Cię od siebie*

*raz na zawsze. Daję Ci wolność.*

Łzy zalewały jej oczy, kiedy składała listy i związywała je z powrotem wstążką. Nie miała pojęcia o uczuciach Arrana. Nie raz zastanawiała się, dlaczego nie pojechał za nią, dlaczego nigdy do niej nie napisał. Nie przypuszczała, że jej ucieczka tak bardzo go zrani. Za nic nie chciałaby przysporzyć mu tylu cierpień. Wydawało jej się, że jest zadowolony. Wraz z jej wyjazdem pozbył się przecież kłopotu.

Zacisnęła powieki i otarła mokry policzek. Czy gdyby wówczas wiedziała, że mąż coś do niej czuje, nie zdecydowałaby się go porzucić? Czy cokolwiek by to zmieniło? Czy spędziłaby ostatnie trzy lata na nic nieznaczących rozrywkach, które nie sprawiały jej najmniejszej przyjemności? Czy chadzałaby na przyjęcia, kupowała strojne suknie i przesiadywała przy stolikach, grając w karty? Czy żyłaby z dnia na dzień, bez nadziei i widoków na lepszą przyszłość? Czując, że zżerają ją samotność i wszechogarniająca pustka?

Wsunęła ostatni list Arrana za gorset, a resztę włożyła do szafki. Zatrzasnąwszy drzwiczki, przekręciła zamek szpilką. Potem podniosła się powoli z podłogi.

Nie była pewna, czy kiedykolwiek zdoła naprawić krzywdę, jaką mu wyrządziła, ale wiedziała jedno: nie mogła i nie chciała więcej udawać ani żyć w kłamstwie. Musiała wyznać mu całą prawdę o tym, dlaczego wróciła i o tym, co do niego czuje. Była mu to winna.

Prawdopodobnie każe jej natychmiast opuścić Balhaire. Nie zasłużyła na nic więcej. Nie chciała wyjeżdżać, ale za to pragnęła wreszcie stać się dorosłą kobietą, która nie boi się odpowiedzialności za własne czyny. Taką właśnie kobietę miał nadzieję poślubić, kiedy stawał z nią przed ołtarzem.

Wróciła do bawialni i zadzwoniła po pokojówkę.

Czekała na nią, wyglądając przez okno i rozmyślając o mężu. Wyobraziła go sobie siedzącego wieczorem przy biurku i piszącego listy do zbiegłej żony - listy, które nigdy nie zostały wysłane.

Na samą myśl o tym krajało jej się serce. Był wtedy tak samo

bezradny jak ona.

Nell wpadła do pokoju, jakby się za nią paliło.

- Właśnie przyплыł statek - oznajmiła podekscytowana. -  
A na nim panna Gryzelda MacKenzie.

Więc to z nią mieli się spotkać Arran i Jock. Zapewne skądś wróciła i przywiozła ze sobą ważne wieści.

- Ktoś o mnie pytał?

- Nie, *milady*.

- Przygotuj mi suknię. Tę szkarłatną.

- Tak, jaśnie pani.

Jakiś czas później Margot udała się na poszukiwania męża. Nie było go w westybulu ani w żadnym z innych miejsc, w których widywała go najczęściej. Domyśliła się, że jest w bibliotece dopiero wtedy, gdy spostrzegła pod drzwiami Sweeneya. Najwyraźniej trzymał wartę.

- Dobry wieczór, Sweeney - przywitała się z uśmiechem. - Szukam męża. Czy jest w środku?

- N-n-nie, m-m-*milady* - wyjąkał, otwierając szeroko oczy. Otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie wy dobył z nich ani jednego dźwięku. Za to po jego czole spłynęła strużka potu. Jednym słowem, był przerażony.

- Coś się stało? - zapytała spokojnie.

Usiłował odpowiedzieć, ale w końcu dał za wygraną i bezsilnie zacisnął zęby.

- Nieważne. - Położyła mu rękę na ramieniu i sięgnęła do klamki.

- N-n-nie!

Zignorowała jego protesty i weszła do biblioteki.

W progu powitała ją Gryzelda. Na widok szyderczego uśmiešku panny MacKenzie, zmroziło jej krew w żyłach. Nigdy za sobą nie przepadały, ale w tej chwili kuzynka Arrana wpatrywała się w nią jak w zbrodniarkę, która gołymi rękoma wymordowała całą wioskę niewinnych dusz.

- A więc to prawda. Przybiegłaś z powrotem do Balhaire błagać męża o łaskę.

- Tak się składa, że nie przybiegłam. Przyjechałam powozem.



Zelda w milczeniu zaprosiła ją gestem do środka.

W pokoju było niemal zupełnie ciemno. Oświetlał go jedynie blask ognia z kominka. Arran stał do niej tyłem, opierając się ramieniem o framugę okna. Wyglądał na zewnątrz, jakby nie widział i nie słyszał, co się wokół niego dzieje. Jock tkwił przy ścianie tuż obok niego. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy, ale Margot była pewna, że nie pozwoliłby jej podejść do męża.

Przystanęła więc bezradnie, niepewna, co począć.

- Arranie? - odezwała się po chwili ciężkiego milczenia.

Kiedy się odwrócił, w jego niebieskich oczach było tyle bólu i gniewu, że mimo woli cofnęła się o krok. Poczowała się, jakby ją spoliczkował. Wyglądał jak zranione zwierzę. Najgorsze, że nie miała pojęcia, w czym rzecz. Przecież nie zdążyła mu jeszcze niczego powiedzieć.

- Stało się coś złego? - zapytała tonem winowajcy. Była pewna, że chodzi o nią.

Gryzelda parsknęła drwiąco i łypnęła na nią oczami pełnymi jadu.

Tymczasem Arran skrzyżował ramiona na piersi i wpatrywał się w nią z zaciśniętą szczęką.

- Owszem, stało się - wycedził spokojnie. Stanowczo zbyt spokojnie. - Właśnie się dowiedzieliśmy, że mamy w Balhaire szpiega.

Serce na moment zatrzymało jej się w piersi.

- Że macie... Kogo? - spytała idiotycznie, jakby nie znała tego słowa albo nie rozumiała, co się do niej mówi.

- Szpiega, Margot - powtórzył jeszcze spokojniej. - Kogoś, kto chce, żebym skończył na stryczku. - Wyciągnął dłoń, na której spoczywała porcelanowa figurka. Ta sama, którą dostała od nieznajomego na klifie. - Jock znalazł to w moim gabinecie.

Włożyła ją wczoraj do kieszeni i zupełnie o niej zapomniała. Musiała wypaść jej na podłogę.

- Jest twoja?

Była pewna, że słyszą łomotanie jej serca. Zrobiło jej się słabo. Nie była w stanie zebrać myśli ani oderwać oczu od męża, któremu znów zadała cierpienie. Miał je teraz wypisane na twarzy.

- Tak... - powiedziała szeptem.

Zwiesił ramiona i upuścił figurkę na ziemię. Potem odwrócił się z powrotem do okna.

Otworzyła usta, ale niemal natychmiast zamknęła je z powrotem. Wiedziała, że żadne słowa tu nie pomogą, nie zdołają oddać jej rozpacz, żalu ani skruchy. Nic nie może go przekonać, że nie miała złych zamiarów, że próbowała jedynie ratować życie ojca. Był pewien, że pragnęła jego śmierci.

- Wyjaśnię ci to - zmusiła się w końcu do mówienia. Jej głos brzmiał, jakby należał do obcej osoby.

Popatrzył na nią z kamienną twarzą, ale się nie odezwał. Za to Zelda wymamrotała coś po gaelicku.

- Przyjechałaś tu tylko po to, żeby mnie szpiegować?! - ryknął nagle na całe gardło, przesywając ją oskarżycielskim wzrokiem.

Zacisnęła powieki. Nie mogła znieść widoku jego udręki. To przecież ona była jej powodem.

- Twoje „szczerze” obietnice i „solenne” zapewnienia to tylko puste słowa? - W jego głosie pobrzmiwała gorycz. - Czy wszystko, co robiłaś i mówiłaś, było jednym wielkim kłamstwem? Fortelem, który miał ci pomóc dowiedzieć się o mnie jak najwięcej i donosić?

- Tak. - Zacisnęła przed sobą splecione dłonie, jakby musiała się czegoś trzymać. - To znaczy... z początku. Kłamałam, ale tylko zaraz po przyjeździe...

Mruknął coś we własnym języku. Była pewna, że gdyby usłyszała to po angielsku, spaliłaby się ze wstydu, przygnieciona poczuciem winy.

Jock położył mu dłoń na ramieniu jak zawsze lojalny i gotów, aby go wspierać.

- Arranie, proszę, wysłuchaj mnie - spróbowała raz jeszcze, ale nie pozwolił jej skończyć.

- Wynoś się z mojego domu, Margot! W tej chwili! Nie dbam o to, co zrobisz ani gdzie się podziejesz! Zejdź mi z oczu, obłudna intrygantko! Nie chcę cię nigdy więcej widzieć!

Jego pogardliwe słowa rozdarły jej duszę. Wiedziała, że tak to się skończy, a mimo to poczuła się, jakby splunął jej w twarz.

- Zabierz ją ode mnie - zwrócił się do kuzyna.

Jock, o dziwo, nie ruszył się z miejsca. Choć Arran posłał mu rozsierdzone spojrzenie, zaczął mówić coś do niego po gaelicku. Cokolwiek to było, Gryzelda skwitowała wysiłki brata szyderczym prychnięciem.

Arran próbował się od niego odsunąć, ale niezrażony chwycił go za ramię i przytrzymał w miejscu, nie ustając w przedstawianiu swoich racji.

W pewnej chwili mąż zerknął na Margot, ale niemal natychmiast odwrócił wzrok, jakby nie mógł ścierpieć jej widoku.

Na koniec wszyscy troje popatrzyli na nią niechętnie.

Arran splótł ramiona na torsie i oznajmił oschle:

- Mój kuzyn uważa, że zanim przepędzę cię precz, powinniśmy cię wysłuchać.

Boże, pomyślała w popłochu, chwytając się poręczy krzesła. Ze zdenerwowania ledwo trzymała się na nogach.

- Mów, co wiesz, kobieto! - ponaglił ją ostro.

- Tyle że ja... właściwie nic nie wiem...

Zelda wymamrotała coś pod nosem i rzuciła jej mordercze spojrzenie.

- Ale powtórzę wam wszystko, co mi powiedzieli - dokończyła pospiesznie.

- Czekam! I radzę ci nie wystawiać mojej cierpliwości na próbę!

Kiedy wreszcie zaczęła mówić, słowa spływały jej z ust niepowstrzymanym potokiem. Tym razem nie musiała ich ważyć, bo były prawdziwe.

- To ojciec kazał mi przyjechać z powrotem do Balhaire. Twierdził, że w Londynie krążą o tobie plotki. Rzekomo chciałeś sprowadzić do Szkocji francuską armię i...

Gryzelda znów zaczęła parskać, co było, zdaje się, jej ulubioną reakcją.

- I... wraz ze swoimi ludźmi mieliście przywrócić na tron Jamesa Stuarta.

- Po co niby miałbym to zrobić? Co jego zdaniem mógłbym na tym zyskać?

- Szczególne względy nowego monarchy?

- Co jeszcze powiedział lord Norwood? - dociekał Jock. Ku jej zdumieniu, mówił o wiele łagodniejszym tonem niż jej rozgoryczony mąż.

- Że oddał ci mnie za żonę i że za ciebie poręczył - zwróciła się do Arrana. - Że podejrzenia padną także na niego i że zawiśnie razem z tobą.

- Nędzny tchórz - warknął w odpowiedzi. - Wyręczył się córką, żeby nie pobrudzić sobie rąk...

- Mówił, że tylko ja mogę odkryć twoje zamiary, że nikt nie będzie mnie podejrzewał i że muszę zrobić to jak najprędzej, zanim dowie się ktokolwiek inny.

- I co takiego odkryłaś, Margot? - zapytał niebezpiecznie aksamiotnym głosem. - O czym to niezwłocznie doniesiesz kochanemu papie?

Potrząsnęła głową.

- O niczym. Nie znalazłam niczego, co świadczyłoby o twojej winie. - Prawie go nie widziała. Usiłowała za wszelką cenę powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu. Nie będzie już nigdy płaczącą królową, przy której czuł się bezradny. Jeśli chciała uratować ich małżeństwo, musiała być silna. Nawet jeśli miała przecucie, że prawdopodobnie już jest za późno. - Dowiedziałam się tylko, że handlujesz z Francuzami, a nie przemycasz broń albo wojsko.

- Coś jeszcze?

Zerknęła na porzuconą na podłodze figurkę, a potem podniosła wzrok na męża.

- Tak - przyznała powoli. - Znalazłam też twoje listy.

Na wzmiankę o listach zamarł, jakby ktoś odciął mu dopływ powietrza. Podszedł do niej niespiesznie jak myśliwy do zwierzyny, którą zamierza upolować.

- Chcesz powiedzieć, że otworzyłaś moją prywatną korespondencję?

Nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa. Skinęła tylko głową.

- Przekroczyłaś wszelkie granice przyzwoitości, moja pani - jego głos ociekał wzdrganiem. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że ją uderzy. Zamiast tego odskoczył od niej jak oparzony, zamachnął się i zrzucił z kredensu całe szkło, które na nim sta-

ło. Nawet Gryzelda wzdrygnęła się bezwiednie wystraszona hukiem. – Naraziłaś na szwank nie tylko moje życie, lecz także to, co budowałem z mozołem przez lata! I zaprzepaściłaś wszystko, co kiedykolwiek między nami było! Ostatecznie i nieodwołalnie zawiodłaś moje zaufanie! – zacisnął dłonie w pięści i popatrzył na nią z góry. – I co? Warto było? Nadal sądzisz, że jestem zdrajcą?!

– Nie – odpowiedziała drżącym głosem. – Nigdy w to nie wierzyłam.

Odwrócił się na pięcie i odsunął jak najdalej od niej.

– Zabierz mi ją sprzed oczu, Jock, zanim zrobię coś, czego będę żałował do końca życia, którego, jak sądzę, niewiele mi zostało.

Jock stanął przed nią, ale nie zrobił nic, żeby wyprowadzić ją z biblioteki.

– Wiesz, kto pierwszy zaczął rozpowiadać kłamstwa o Arranie? – zapytał spokojnie. – Może widziałaś człowieka, który przyjechał z Londynu i opowiedział o całej sprawie hrabiemu?

Margot z trudem łapała oddech. Próbowwała spojrzeć na męża, ale jego kuzyn skutecznie blokował jej widok.

– Mów, co wiesz, dziewczyno. – Ujął ją za ramię i lekko nią potrząsnął. – Musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby pomóc Arranowi.

Tak, pomóc, pomyślała, wyrwana z odrętwienia. Trzeba go ratować! Uczepiła się tej myśli.

– Nie wiem, kto doniósł ojcu o owych pogłoskach, ale wiem, że w tym czasie przyjechało do niego z Londynu trzech ludzi: lord Whitcomb, sir Worthing i kapitan Laurel. Tuż po nich zjawiał się także Thomas Dunn.

Jock zmarszczył brwi.

– Jesteś pewna, że był wśród nich Dunn?

– Tak.

Odwrócił się i spojrzał wymownie na kuzyna. Gryzelda wyprostowała się i także nadstawiła ucha.

– Tom Dunn... – powtórzył powoli Arran. Oderwał się od okna i stanął przed żoną. – Co wiesz o tym człowieku?

– Znasz go? – zapytała zaskoczona.

Zignorował ją.

- Co o nim wiesz?

- Niewiele. - Usiłowała coś sobie przypomnieć, ale nigdy nie poświęcała mu zbyt wiele uwagi. - Zjechał do Norwood Park w czerwcu. Nie widywałam go zbyt często. Przebywał głównie w towarzystwie ojca.

- Nie jadaliście razem posiłków? - dociekał Jock. - Nie bywaliście na tych samych przyjęciach?

- Nawet jeśli bywaliśmy, to nigdy z nim nie rozmawiałam. - Zamyśliła się i raptem coś sobie przypomniała. - Raz widziałam go z bratem. Wraz z dwoma innymi dżentelmenami grali w karty. Zapamiętałam to, bo Knox cieszył się z wysokiej wygranej. Zdaje się, że pan Dunn sporo tego dnia stracił.

- To by się zgadzało - wtrąciła Zelda. - Słyszeliśmy o jego długach.

- Jakich długach? - zdziwiła się Margot.

Arran przyjrzał jej się z rezygnacją. Jego gniew zdążył już wyparować, zastąpiły go uraza i niechęć. Gołym okiem widać było, jak bardzo nią pogardza. Z rozdartym sercem przypomniała sobie jego listy. Jeśli kiedyś ją kochał, to swoimi intrygami i kłamstwami na zawsze pogrzebała to uczucie. Zasmucona i przybita odwróciła wzrok.

- Co mają do tego jego długi? - spróbowała raz jeszcze, kiedy żadne z MacKenziech nie odpowiedziało na jej pytanie.

- Wszystko - oznajmiła niecierpliwie Gryzelda.

- Ten człowiek, Tom Dunn - wtrącił jej brat - podburza przeciwko Arranowi także Szkotów. Rozповідаła wśród innych przywódców klanów, że MacKenzie spiskuje na ich szkodę z Anglikami.

- Na ich szkodę? Nie rozumiem.

- Ech, ona naprawdę nic nie wie - zirytował się Jock. - Większość ludzi w naszych stronach chętnie widziałaby na tronie Jamesa Stuarta - wyjaśnił pospiesznie. - Mamy tu wielu jakobitów. Zelda wróciła właśnie z Portree. Usłyszała tam, że Arran jakoby zdradził ich polityczne sympatie Anglikom. Dla własnych korzyści. Innymi słowy, w Anglii mówią, że MacKenzie knuje z Francuzami przeciwko Anglikom, a w Szkocji, że robi to samo

z Anglikami przeciwko własnym rodakom.

- Zaś wspólnym ogniwem jest Dunn - dorzuciła Gryzelda. - W obu przypadkach to on jako pierwszy zaczął siać zamęt i rozpowiadać te oszczerstwa.

Margot zupełnie się pogubiła. Spojrzała na nich w niemym osłupieniu.

- Ale dlaczego Dunn chciałby pogrążyć Arrana? Jaki ma w tym interes?

- Właśnie z powodu długów - zniecierpliwiał się Jock. - To człowiek kompletnie pozbawiony honoru. Jest jak chorągiewka na wietrze. Zmienia strony w zależności od tego, kto mu więcej zapłaci. Każdemu opowiada przy tym inną wersję swoich wyssanych z palca opowieści. To nałogowy kłamca i hazardzista, a na to nie znajdziesz lekarstwa. Na nasze nieszczęście bywał w Szkocji. Widział Balhaire i wie o naszych interesach z Francuzami. Jeśli wódz MacKenziech zostanie oskarżony o zdradę i stracony, jego ziemie zostaną skonfiskowane, najprawdopodobniej na rzecz twojego ojca.

Zakręciło jej się w głowie i poczuła mdłości.

- Nie... to niemożliwe... Mój ojciec... nie zagarnąłby waszych ziem.

- Nie? - zadrwił bezlitośnie Jock. - A mnie się zdaje, że jednak by nimi nie pogardził. Dunn z kolei z całą pewnością zostałby sowicie wynagrodzony za ujawnienie rebelii. Jeśli Szkoci uwierzą w opowieści o zdradzie Arrana, przywódcy okolicznych klanów zjednoczą siły i przemocą odbiorą mu Balhaire, a Dunnowi skapnie co nieco za to, że ich ostrzegł.

Arran wzruszył ramionami, jakby jego los był już przesądzony.

Margot nie posiadała się z oburzenia. Jak można dopuścić się takiej podłości? Uknuć tak demoniczny, a co gorsza, skuteczny plan?

- Ale... dlaczego Dunn upatrzył sobie na ofiarę właśnie ciebie? - zerknęła niepewnie na męża. - W Szkocji jest przecież wielu wpływowych i majątnych ludzi.

- Ach, *Diah!* Bo jestem twoim mężem, Margot! - wrzasnął ze złością. - Bo byłem dość głupi, żeby ożenić się z Angielką! Która w dodatku porzuciła mnie na trzy lata, a potem wróciła aku-

rat w czasie, kiedy ze wszystkich stron padają pod moim adresem kłamliwe oskarżenia. Sama twoja obecność w moim domu potwierdza najgorsze podejrzenia zarówno Anglików, jak i Szkotów.

- Wiemy już, kto nam to zrobił - przerwała ciszę Gryzelda. - Co teraz? Jak powinniśmy się bronić?

Margot jeszcze bardziej upadła na duchu. Po raz pierwszy od kąd ją znała, zauważyła, że Zelda się boi. Nie wróżyło to dobrze.

- Jest tylko jeden sposób, żeby oczyścić imię MacKenziech - stwierdził Jock. - Dunn musi przyznać się do kłamstwa i to za nim schowa się gdzieś w Anglii i przepadnie bez wieści.

- Nie możemy go do tego zmusić - prychnął Arran.

- Jakoś zdołamy go powstrzymać - odezwała się Zelda. - Zwróćmy się do kogoś wpływowego, kogoś z odpowiednimi koneksjami. Są tu jeszcze ludzie, którzy w ciebie wierzą, Arran. Ale niestety, z tego co słyszałam, Dunn ponoć wyjechał już ze Szkocji.

- Trzeba natychmiast rozmówić się z MacInernayem i Lindseyem - rzekł Jock. - Powtórzymy im to, czego dowiedzieliśmy się od Margot. Na pewno coś nam doradzą.

- Co to za ludzie? Nie słyszałam o nich.

- Dobrzy znajomi. Zainwestowali w nasz handel z Francuzami. Teraz musimy ich przekonać, że Arran nie jest oszustem i zdrajcą...

- Ale jak? - przerwała Gryzelda. - Mamy tylko słowo MacKenziech przeciwko słowu Dunna. Potrzebujemy dowodu.

- Możecie użyć mnie - zaproponowała Margot. - Ja jestem dowodem.

Wszyscy troje zmierzili ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Uwierzą, jeśli sama im powiem, co zrobiłam.

Jej mąż odwrócił się i przesunął dłonią po włosach. Jej pomysł wyraźnie nie przypadł mu do gustu.

- Potem powinniśmy jechać do Norwood i powiedzieć mojemu ojcu, że Dunn celowo nastawił was przeciwko sobie. Jest hrabią, dopilnuje, żeby ten nikczemnik zapłacił za swoje winy.

Arran zdecydowanie potrząsnął głową. Kuzyn powiedział coś



do niego po gaelicku. Bez skutku. Gdy Gryzelda powtórzyła słowa brata, zirytował się i krzyknął stanowczo „nie”.

- O czym rozmawiacie? Nic nie rozumiem.

Znów spojrzeli na nią z niesmakiem. Wiedziała jednak, że jest im potrzebna, i uczepiła się tego jak tonący brzytwy.

W końcu Arran westchnął ciężko i rzekł:

- Aye, Margot. Rozmówisz się z MacInernayem i Lindseyem.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Stryj Ivor powiedział mu kiedyś, że kobieta to najgroźniejsza plaga, jaka może spotkać w życiu mężczyznę. „Nic gorszego ci się nie przytrafi. Żadna zaraza, głód czy najzjadlejszy wróg nie złamią cię tak skutecznie i z kretesem jak baba z piekła rodem. Tyle że bez baby ani rusz. Mężczyźni dla nich żyją i dla nich umierają. Pojmiesz moje słowa, kiedy dorośniesz, chłopcze. I pamiętaj, idzie o to, żeby znaleźć rozumną i stateczną, a potem trzymać ją mocno przy sobie jak na sznurku”.

Arran żałował, że go nie posłuchał. A teraz Margot stała na środku izby, cudowna jak szkocka polana na wiosnę, i opowiadała znajomym, którzy jeszcze w niego nie zwątpili, o tym, że to ona wprawiała całą tę maszynę w ruch. Przyglądał jej się niewidzącym wzrokiem, rozmyślając o listach, które napisał w ciągu trzech lat rozłąki. Żadnego nie wysłał. Przelewał myśli i uczucia na papier tylko po to, żeby do reszty nie stracić rozumu, żeby ulżyć sobie w tęsknocie i cierpieniu. A ona ot, tak sobie włamała się do szafki i przeczytała coś, czego jej oczy miały nigdy nie oglądać. Pogwałciła jego prywatność i znów zraniła w najokrutniejszy z możliwych sposobów.

Lindsey i MacInernay słuchali jej w ponurym milczeniu. Głos drżał jej chwilami, kiedy mówiła o plotkach, które dotarły do jej ojca, o tym, że ten przysłał ją do Balhaire, żeby zebrała dowody świadczące przeciwko mężowi. Twierdziła też, że Norwood nie miał pojęcia o knowaniach Dunna i że bał się o własne życie.

Skończywszy, spojrzała na Arrana, jakby oczekiwała pochwały, a jeden dobry uczynek równoważył całe morze podłości.

Lindsey odezwał się po gaelicku. Zażyczył sobie, żeby wyprosić ją z biblioteki.

Arranowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

- Dziękujemy, Margot - rzekł beznamiętnie. - Możesz odejść.

- Ale...

- Wracaj do swoich pokojów - syknął tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zwiesiła głowę i ruszyła do wyjścia. W komnacie pełnej mężczyzn wyglądała wątłe i krucho. Wyobraził ją sobie w innej bibliotece, w domu ojca. Sytuacja była podobna. Wszechwładni krewni zmusili ją do odrażających czynów i odesłali precz. Była tylko pionkiem w cudzej grze.

- Rękę dam sobie odjąć, że stoi za tym jej papa - oznajmił z przekonaniem Lindsey, kiedy zamknęły się za nią drzwi. - Idę o zakład, że Norwood ma chrapkę na Balhaire, a Tom Dunn przy okazji też coś zyska. Tfu, czarci pomiot! Za przyrodzenie takiego powiesić!

- Racja, ścierwo, jakich mało - zgodził się MacInernay. - Ale co się tyczy hrabiego, to raczej nie wierzę, by tak niecznie wykorzystał własną córkę. Który ojciec posunąłby się do takiej podłości? A Dunna należy jak najrychlej zdemaskować.

- Ha! A jak niby mamy tego dokonać twoim zdaniem, co? - zaprzysł się Lindsey, po czym wlał sobie do gardła niemal całą szklankę whisky. Zrobił to tak zamasyście, że przez moment wydawało się, że połknął ją razem z naczyniem. - Psi syn zdążył już czmychnąć do Anglii i lordów pokroju Norwooda, pazernych wielmoży, którzy frymarczą rodzonymi córkami albo każą im załatwiać własne brudne interesy. Swołocz! - Zamyślił się na chwilę, po czym dodał: - Sam musisz tam jechać, MacKenzie, innego wyjścia nie widzę.

- I dobrowolnie położyć głowę? - fuknął Arran. - Nie wydaje mi się.

- Jeśli zostaniesz w Balhaire, dobiorą się do ciebie jakobici. I też cię powieszają. Dunn o to zadbał. Zawarł pakt po obu stronach granicy, nie z jednym diabłem, lecz z dwoma diabłami naraz. Pozostaje mieć nadzieję, że lady MacKenzie nie myli się co do swego papy. Jeżeli twój teść nie pozostaje w zмовie z Dunnem, to prawdopodobnie będzie w stanie uratować ci skórę. Koniec końców, to angielski hrabia.

- A jeśli to tylko pobożne życzenia Margot? - wtrącił Jock. - Co będzie, jeśli się okaże, że ojciec próbuje zamordować jej męża, żeby przejąć jego majątek?

Lindsey sposepniał i zacisnął szczękę.

- Wtedy nie będzie dla niego ratunku - stwierdził ponuro.

Zapadła grobowa cisza. MacInernay zabębnił palcami w blat stołu.

- Nie masz wyboru, MacKenzie. Musisz oczyścić się z zarzutów. Dla własnego dobra i dla dobra całego klanu.

- A jeśli postanowisz pojechać, jak ci radzimy - dodał Lindsey - Jock powinien zostać.

- Wykluczone! Nie puszczę go samego!

- Nie ma innej rady. Ktoś musi przejąć stery na wypadek, gdyby wasz wódz nie wrócił. Tylko ty jeden się do tego nadajesz. Wyślij z nim całą armię, jeśli to cię uspokoi, ale sam nie możesz się stąd ruszyć.

Jock wyglądał tak, jakby miał za chwilę zemdleć. Oddałby życie za swojego kuzyna i przywódcę. Uważał to za swój święty obowiązek. A teraz kazali mu siedzieć w domu z założonymi rękoma.

- Lindsey ma rację - odezwał się Arran. - Jeśli pojedę, zostaniesz w Balhaire i zajmiesz moje miejsce. - Nie miał najmniejszej ochoty jechać do Anglii, dać się pojmać i postawić przed sądem w Londynie. A już na pewno nie miał ochoty skończyć na stryczku. Ale cóż innego mu pozostało? Najważniejsze było dobro klanu.

Kiedy grubo po północy wracał do swoich komnat, czuł się jak znękanym życiem starzec. Żył uczciwie i ciężko pracował. I jaka spotkała go za to nagroda? Atakowano go bezlitośnie ze wszystkich stron. Był zgaszony, przybity i pełen obaw. Powoli tracił resztki nadziei na to, że zdoła się uratować. Nigdy wcześniej nikt nie zachwiał tak mocno jego wiarą w siebie. Wydawało mu się, że zawiódł i okazał się zupełnie bezradny. Poza tym miał kompletny mętlik zarówno w sercu, jak i w głowie. Kłębiło się w nich zbyt wiele sprzecznych emocji.

Nie powinien był się z nią ożenić. Dlaczego Bóg go wówczas nie oświecił? Dlaczego nie kazał mu posłuchać ostrzeżeń Jocka? Ze związków z Anglikami nigdy nie wynikało nic dobrego. A jego związek z Margot od samego początku był skazany na klęskę. Zawiodła go i pogardzała nią za to, co zrobiła. Był rozża-

lony i rozczarowany, ale nie wierzył, że skrzywdziła go z wyrachowania. Tak naprawdę nie wiedziała nawet, co robi. Wykazała się naiwnością i nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Tak czy inaczej, już nigdy jej nie zaufa, a bez zaufania nic im nie pozostało...

Przestąpił próg sypialni z ciężkim sercem. Siedziała na łóżku w samej koszuli. Kasztanowe włosy spływały jej swobodnie na plecy. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi zielonymi oczami, które błyszczały w świetle kominka.

Zamknął za sobą drzwi i stanął na środku pokoju. Przyglądał jej się w milczeniu, rozdarty pomiędzy niechęcią i pożądaniem. Miał jej tak wiele do powiedzenia, że nie potrafił wyrazić tego słowami.

- Wiem, jak bardzo mnie nienawidzisz - wyręczyła go i odezwała się pierwsza.

Rozżalenie i gorycz ścisnęły mu gardło, ale nie nienawidził jej. Nie potrafił.

- Ja sama nienawidzę się jeszcze bardziej.

- Dlaczego otworzyłaś szafkę? - zapytał z wyrzutem. - Czemu to zrobiłaś? I jak?

- Szpilką od kapelusza. Brat mnie nauczył, kiedy byliśmy mali. Musiałam się upewnić, Arranie. Zrozum.

- Sądziłaś, że mógłbym zaprzepaścić wszystko, na co pracowałem całe życie? Że zdradziłbym królową i własnych ludzi? Dla pieniędzy?

Miała dość przyzwoitości, żeby zaczerwienić się ze wstydu.

- Nie, nigdy, ani przez chwilę w to nie wierzyłam. Przysięgam na wszystkie świętości. Ale musiałam się upewnić. Ojciec powtarzał mi, że skażą go na śmierć, jeśli spiskujesz przeciwko koronie. Twierdził, że jego życie jest w niebezpieczeństwie i że tylko ja mogę uratować go od zguby. Uwierz mi, wszystko co wam dziś powiedziałam to prawda.

- Prosisz o niemożliwe, Margot. Jak mam ci wierzyć? Na miłość boską, jestem twoim mężem! Mogłaś mi zaufać i powiedzieć to na samym początku, zaraz po przyjeździe. Mogłaś pozwolić mi sobie pomóc, ale wolałaś spiskować z ojcem za moim plecami. Tym samym znacząco pogorszyłaś moją sytuację.

- Chciałam wyznać ci prawdę, ale... nie wierzyłam, że się przyznasz. To znaczy, gdybyś rzeczywiście był... zdrajcą... Nie sądziłam, że zechcesz otwarcie o tym mówić...

Popatrzył bezradnie w sufit. Znów wzbierał w nim gniew.

- Więc uznałaś, że nie można mi ufać? Myślałaś, że skłamię? Zastanów się, czy kiedykolwiek cię okłamałem?!

Potrząsnęła głową. Usiłowała powstrzymać łzy. Do diabła!

- Gdybyś zadała sobie trud i zapytała mnie wprost, powiedziałbym ci wszystko jak na spowiedzi, Margot. Bez względu na to jak okropna byłaby prawda, wyznałbym ją, bo jesteś moją żoną. Przysięgałem dzielić z tobą życie i przedkładać cię ponad wszystko inne. - Położył sobie rękę na piersi. - Nie dałem ci żadnego powodu, byś w to wątpiła.

- Masz rację. - Zwiesiła głowę. - Nie dałeś mi najmniejszego powodu, by wątpić w twoją uczciwość. Ale, klnę się na Boga, nie miałam pojęcia, co innego mogłabym zrobić!

- Nie miałaś pojęcia, co robić, więc otworzyłaś moje listy. Nie wysłałem ich, a skoro tak, miałaś ich nigdy nie zobaczyć. Wiedziałas o tym, a mimo to je przeczytałaś.

Otworzyła usta, ale uniósł dłoń, żeby ją powstrzymać.

- Daruj sobie. - Nie miał ochoty wysłuchiwać jej usprawiedliwień. Usiadł na łóżku i zdjął buty.

- Za dwa dni wyjeżdżamy.

- Dokąd? Do Anglii?

- Tak. Nie mam innego wyboru. Popłyniemy do Heysham, a stamtąd pojedziemy konno. Powozem zesłoby się nam zbyt długo. Gryzelda nauczy cię jeździć w męskim siodle. Bądź tak dobra i rób, co ci każe.

Na szczęście nie zamierzała się sprzeczać. Zacisnęła usta i skinęła głową.

Odwrócił się do niej plecami, ale wkrótce poczuł, że siada obok niego na pościeli.

- Zostaw mnie w spokoju - warknął, gdy położyła mu rękę na plecach.

- Zrobię, co tylko zechcesz, Arranie, przysięgam ci...

- Zrobisz, co zechcę? W takim razie zejdz mi z oczu.

- Boże, nie. Proszę, tylko nie to...

Strząsnął z siebie jej dłoń i popatrzył na nią przez ramię.

- A czego innego się spodziewałaś? Po tym wszystkim, co mi zrobiłaś? No czego?

Siedziała pośrodku łóżka bezradna i przerażona.

- Przepraszam... Nie chciałam cię zranić. Proszę, wybacz mi, że cię opuściłam, że...

- Dlaczego je przeczytałaś?! - wrzasnął nagle na cały głos. - Jak śmiałaś zrobić mi coś takiego?!

Skuliła się i spuściła wzrok, ale zaraz potem podniosła głowę z powrotem.

- Dlaczego ich nie wysłałeś? Dlaczego nigdy nie powiedziałeś mi, co naprawdę czujesz?

- A co by to zmieniło?! Zostałabyś?

- Tak! Nie wiem... Nie powinnam była ich czytać, ale teraz przynajmniej wiem, co straciłam. Jak wielki popełniłam błąd.

- To na pewno. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Chcę ci to wynagrodzić - powiedziała, wyciągając ku niemu dłoń.

Podniósł się gwałtownie i odszedł od łóżka.

- Nieważne, jak długo mi to zajmie. Jeśli trzeba, będę cię błagać na kolanach. Zrobię wszystko, żebyś mi przebaczył.

Roześmiał się z goryczą.

- Przebaczył? W tej chwili nie mogę nawet znieść twojego widoku, *leannan*.

Podeszła do niego i położyła mu ręce na torsie.

- Być może nigdy nie wybaczysz. Rozumiem. Pewnie na to zasłużyłam. Nigdy nie byłam dla ciebie dobrą żoną, ale to się zmieni. Dopóki żyję, nie spocznę w wysiłkach. Naprawię to, co zniszczyłam.

Zamierzał się odwrócić, ale ujęła jego twarz w dłoń.

- Błagam, Arranie, nie poddawaj się teraz. Tak długo zachowałeś nadzieję. Nie odtrącaj mnie. - Wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

Poddał się bez walki. Jej pocałunki, jej dotyk zawsze kruszyły jego opór i pozbawiały resztek rozsądku. W środku cały kipiał z gniewu i tłumionej frustracji, która na próżno próbowała znaleźć ujście. Pragnął zapomnieć. Chciał, żeby to wszystko okaza-

ło się jedynie koszmarnym snem.

Przygarnął ją do siebie i zacisnął dłoń na jej piersi. Ale to mu nie wystarczyło. Podciągnął jej koszulę i chwycił ją za pośladek. Potem popchnął w stronę łóżka i pozbawił resztek odzienia. Po chwili sam też był nagi.

Wszystkie tłumione emocje spływały z niego niepowstrzymaną falą. Jego ręce i usta bez końca wodziły po jej ciele. Była jak eliksir życia, którym nigdy nie potrafił się nasycić. Kiedy rozłożyła szeroko uda i oplotła go nogami, zupełnie się w niej zatracił. Nie chciał, żeby ta chwila kiedykolwiek się skończyła, nie chciał nigdy przestać. Tylko tak mógł pozbyć się lęku przed tym, co go czeka, zachować resztki nadziei i wiary w siebie.

Po wszystkim zsunął się z niej powoli i przewrócił na wznak.

Przytuliła się do jego boku i objęła go w pasie.

- Zdołasz mi kiedykolwiek wybaczyć? - zapytała, całując go w ramię.

Nie odpowiedział od razu. Położył rękę na jej dłoni. Wbrew wszystkiemu, znajdował pociechę w tym, że jest przy nim, że może w każdej chwili poczuć jej ciepło.

- Czy ci wybaczę? Nie wiem, pewnie tak. Ale już nigdy ci nie zaufam.

Westchnęła ciężko i odwróciła się do niego plecami.

On także położył się na boku i odpłynął w sen spowity mgłą wątpliwości.



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nazajutrz Margot rozpoczęła nauki. Gryzelda posłała po nią około południa. Wraz z wiadomością od kuzynki męża wręczono jej także tobołek z ubraniem, a w nim parę brązowych spodni, lnianą koszulę oraz wełniany płaszcz.

- Matko Przenajświętsza! Nie mogę tego na siebie włożyć! To... nieprzyzwoite!

- Musi pani jechać? - zapytała Nell.

- Niestety, obawiam się, że muszę. - Lady MacKenzie była pewna, że Zelda chce ją jeszcze bardziej upokorzyć. Jakby mało jej było wczorajszych zniewag. - Nie martw się, niedługo wrócę.

- Ale... ja pytałam, czy musi pani jechać do Anglii, *milady*.

- Słucham? - Spojrzała ze zdumieniem na służącą, która miętoszyła w dłoniach jej najlepsze skórzane rękawiczki.

- No... ten rudzielec mówi, że wyjeżdża pani z mężem do Anglii i że mam nie stawać mu na drodze, tylko siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i pilnować porządku w pani rzeczach. Powiedziałam mu, że wiem, co do mnie należy i że mu nie wierzę, bo nic mi pani nie wspominała, a on na to, że mogę mu wierzyć albo nie i stroić fochy, ile chcę, tylko, żebym wreszcie zeszła mu z oczu.

- Nie oszukał cię, Nell. To wszystko prawda.

Pokojówka była przerażona.

- Nie! Niemożliwe, *milady*! Proszę, niech mnie pani tu nie zostawia. Samej, z tym okropnym gburem...

Margot ścisnęła ją mocno za rękę.

- Nie mogę zabrać cię ze sobą. Nie tym razem. Zostaniesz i będziesz robiła wszystko, co ci każe Jock. Tylko błagam, nie narzekaj i nie trajkocz za dużo, dobrze? To bardzo ważne, Nell. Zrobisz to dla mnie? Nie bój się, włos ci tu z głowy nie spadnie. Zobaczysz, spodoba ci się. Będziesz miała mnóstwo wolnego

czasu i jedzenia, ile tylko dusza zapragnie. W dodatku, skoro mnie nie będzie, nie będziesz musiała zbyt wiele pracować.

- Jak pani sobie życzy, *milady* - mruknęła nieco udobruchana Nell.

- A teraz pomóż mi wykaraskać się z tej sukni. Już jestem spóźniona.

Pół godziny później zbiegła na dół. Gryzelda czekała na nią przy schodach, maszerując tam i z powrotem z batem przy nodze. O dziwo, była odziana identycznie jak Margot, z tą różnicą, że zaplotła włosy w warkocz i związała go w gruby węzeł na karku. Choć nie miała na sobie sukni, wyglądała całkiem zwyczajnie, niemal naturalnie. Lady MacKenzie nie czuła się swobodnie. Spodnie opinały jej się nieprzystojnie na pośladkach, a płaszcz był mało wygodny i o wiele za gruby.

- Czemu wyglądamy jak przebierańcy? - zapytała cierpko.

- Bo nie da się jeździć okrakiem w balowej kiecce - odparła równie cierpko Zelda.

- Nie mam zwyczaju dosiadać konia w balowej „kiecce”, ale w tych strojach siejemy zgorszenie!

- Zgorszenie czy nie, za dwa dni mi podziękujesz. - Panna MacKenzie zdjęła z krzesła trójkątny kapelusz i cisnęła nim w Margot. - Radzę ci go włożyć. I rusz się, bo mam tylko dwa dni, żeby nauczyć cię strzelać i jeździć, jak Pan Bóg przykazał.

- Strzelać?!

- *Aye*, strzelać. Przestań tyle gadać i chodź wreszcie. Twój koń pewnie zasnął na podwórzu na stojąco, bo znudziło mu się czekanie. Kto wie, ile nam się zejdzie, żeby go dobudzić.

Niestety nie dopisało jej aż tak wielkie szczęście. Kuc stał osiodłany na dziedzińcu i nie wyglądał na ani trochę sennego. O losie, pomyślała smętnie Margot. Miała wrażenie, że policzki płoną jej ze wstydu. Na zamku jak zwykle było pełno ludzi, a wszyscy wlepiali oczy w jej obnażone nogi i... cztery litery.

Ku jej zdumieniu Gryzelda bez najmniejszego trudu wskoczyła na dużego gniadosza. Margot nawet nie próbowała podobnej sztuczki.

- Wiesz, jak trzymać wodze i wydawać komendy? - spytała Zelda, kiedy Margot wsiadła z pomocą stajennego.

- Oczywiście, że wiem - odparła z rozdrażnieniem. - Wydaje ci się, że nigdy nie siedziałam na koniu?

- Hmm... cóż... - skwitowała sceptycznie Gryzelda, po czym obróciła z wprawą gniadego i ruszyła kłusem przed siebie.

Lady MacKenzie próbowała zrobić to samo, ale fell jak zwykle ani myślał jej słuchać. Tkwił w miejscu jak zaklęty. Stajenny zlitował się i chwycił bestię za uzdę.

- Musi pani odrobinę ściągnąć cugle, o tak. - Pociągnął za rzemień tak mocno, że łeb kuca odskoczył w tył. Poskutkowało. Po chwili Margot dołączyła do swojej przewodniczki.

Jechały, jak jej się zdawało, całą wieczność. A raczej Zelda jechała, a ona podskakiwała żałośnie w siodle.

- Nie dotarliśmy jeszcze do Anglii? - zadrwiła Margot, kiedy w końcu zatrzymały się na niewielkiej polanie. - Jestem pewna, że to już niedaleko.

- Uwierz mi, posłałabym cię tam jeszcze dzisiaj - odcięła się Gryzelda. - Najlepiej raz na zawsze.

- Jak widzisz, umiem jeździć konno - odparła, przewracając oczami. - Skończyliśmy na dzisiaj?

- To nazywasz jazdą? Ty nie jeździsz, moja pani, tylko trzymasz się kurczowo konia i modlisz, żeby biedaczysko cię nie zrzucił. Dupsko pewnie spuchło ci jak dynia, co?

Lady MacKenzie fuknęła z oburzenia, choć prawdę mówiąc, od dawna nie czuła już zadka.

- Pokażę ci, jak się galopuje. Patrz uważnie, bo zaraz będziesz robiła to samo.

Zelda objechała polanę, unosząc się rytmicznie w siodole w tym samym tempie, w którym poruszał się gniadosz.

- Twoja kolej - oznajmiła, wróciwszy na miejsce.

Margot spięła kuca ostrogami, lecz ten zupełnie ją zignorował. Sprzysięgła się przeciwko niej cała Szkocja. Nie zносиła jej nawet ta szkaradna bestia!

- Na miłość boską, użyj bata! - zirytowała się Gryzelda.

- Jakiego bata?! Widzisz przecież, że nie mam!

- Jezusie Nazareński... nie wytrzymam z nią - wymamrotała pod nosem Szkotka, po czym podała jej własny pejcz. - Zepnij ostrogi i jednocześnie go smagnij. Potem pochyl się lekko, żeby

wiedział, że to nie spacer.

Miała ochotę wykrzyknąć, co myśli o pannie MacKenzie i jej naukach, ale zacisnęła zęby i zrobiła, co jej kazano. Byle tylko jak najszybciej mieć za sobą tę, pożałuj Boże, lekcję. Poza tym obiecała Arranowi, że będzie jej słuchać.

Kuc ruszył wprawdzie z miejsca, ale nie więcej niż na trzy kroki.

- Jeszcze raz, od początku. I nie klep go, tylko smagnij!

Tym razem wykonała instrukcje z większym wigorem. W rezultacie niemal wyleciała z siodła. Fell wystrzelił do galopu jak z procy. Pisnęła ze strachu i uczepliła się go kurczowo, odma-wiając w duchu pacierz. Na szczęście zorientował się, że nie chciała pędzić na złamanie karku, i sam zwolnił.

Kiedy wróciła do Zeldy i zatrzymała konia, ta przywitała ją rozradowanym uśmiechem.

- Nie myliłam się - stwierdziła z satysfakcją. - Nie masz zielonego pojęcia o jeździe.

- Dobrze, już dobrze, wygrałaś! Nie umiem jeździć konno, marna ze mnie tancerka i jeszcze gorsza żona! Zadowolona jesteś? Jeśli tak, to kontynuujmy. Podobno miałaś mnie czegoś nauczyć, a nie stwierdzać fakty.

Resztę popołudnia spędziły bez większych sprzeczek. Gryzelda nauczyła ją, jak panować nad koniem, jak ruszać, jak przyspieszać i jak zwalniać. Pod koniec dnia umiała również zmieniać tempo: ze spacerowego przechodzić płynnie do kłusa i do galopu. Gdy Zelda wreszcie się nad nią ulitowała i pozwoliła jej zsiść, a raczej wypaść niezgrabnie z siodła, Margot była ledwie żywa. Bolało ją dosłownie wszystko, a najbardziej „dupsko”, jak to pięknie ujęła niemożebna kuzynka męża.

Przysiadły obok siebie na ziemi i opierając plecy o drzewo, zabrały się do jedzenia chleba i sera, które panna MacKenzie przezornie zabrała ze sobą w drogę. Przeżuwały w milczeniu, gdy Gryzelda ni stąd, ni zowąd zaczęła chichotać.

- I co cię znowu tak śmieszy? - spytała podejrzliwie Margot.

- Ty - odparła ochoczo Zelda. - Wyglądasz, jakby cię ktoś wyprał, wyżył i strząsnął, przenicował na lewą stronę. - Uniosła w palcach pasmo jej rozsypanych w nieładzie włosów. - Bę-

dziesz musiała nauczyć się je porządnie upinać. I to bez pomocy pokojówki – dodała ze sztywnym angielskim akcentem.

- Umiem sama upinać włosy.

- Akurat! – prychnęła szyderczo panna MacKenzie.

- Matko Boska, trzymajcie mnie! – rozsierdziła się Margot. – Naprawdę nie wiesz, kiedy skończyć? Możesz już sobie darować. Nie przepadasz za mną i wolałabyś, żeby mnie tu nie było. To jasne jak słońce na niebie! Nie musisz przypominać mi o tym przy każdej sposobności. Sądzisz, że się o to wszystko prosiłam? Ty żyjesz sobie, jak chcesz, bez męża i we własnym domu, bo ojciec ci na to pozwolił! Widocznie bardzo cię kocha. Ja nie miałam tyle szczęścia. Mnie mój własny ojciec sprzedał Arranowi jak sztukę bydła. Wychowałam się na angielskich salonach, do diaska! Nie w starym szkockim zamku, a wszyscy macie tu do mnie pretensje, że nie jestem taka jak wy!

Gryzelda popatrzyła na nią przeciągle i cmoknęła ustami.

- Kiedy przyjechałaś do nas pierwszy raz, nic do ciebie nie miałam. Nawet cię trochę lubiłam. To znaczy dopóki nie złamałaś serca Arranowi.

- Lubiałaś mnie? Dobrze sobie! Mam ci przypomnieć, jak wysypałaś mi do zupy pół pieprzniczki? Do tej pory kicham jak opętana, kiedy sobie o tym pomyślę.

Zelda posłała jej szeroki uśmiech.

- A ja do dziś wspominam ten dzień z rozrzewnieniem. I śmieję się jak opętana.

Popatrzyły po sobie i po chwili śmiały się razem.

- Myślę, że powinniśmy zawrzeć rozejm – powiedziała w końcu Margot. – Pewnie nigdy się nie zaprzyjaźnimy, ale jesteśmy dorosłe. Możemy chyba żyć w jako takiej zgodzie, kiedy Arran i ja wrócimy do domu?

Gryzelda w jednej chwili sposepniała.

- Kiedy wrócicie do domu? – powtórzyła z niedowierzaniem, wrzuciwszy do torby resztki chleba. – Jeszcze nie zmądrzałaś? Po tym wszystkim, o czym wczoraj rozmawialiśmy? Jeszcze nie dotarło do ciebie, co się święci? Nigdy nie zobaczycie znowu Balhaire!

- Zobaczymy. Jestem tego pewna. Dlaczego mielibyśmy nie

zobaczyć?!

Zelda poderwała się gwałtownie na nogi i podeszła do swojego konia.

- Naprawdę w to wierzysz?

- O co ci idzie? - zawołała za nią Margot i także wstała. - Co ja takiego znowu powiedziałam?

- Naprawdę jesteś aż taka głupia?

- Wypraszam sobie! - Panna MacKenzie podbiegła do niej z powrotem.

- A wypraszaj sobie, ile chcesz!

Nie pojmuję, jak możesz tego nie rozumieć. Nie wróćcie tu! Ani ty, ani Arran.

- Ale czemu?!

- A temu, że go pojmą i aresztują, durna babo!

- Nieprawda! Mylisz się! Mój ojciec jest wpływowym hrabią. Ma odpowiednie koneksje. Pomoże nam. Właśnie po to do niego jedziemy. Nie dopuści do tego, żeby coś się stało Arranowi. To przecież mój mąż!

Gryzelda popatrzyła na nią z politowaniem.

- Już do tego dopuścił! Chociaż rozumiem, czemu tak trudno ci w to uwierzyć. Nikomu bym nie życzyła takiego ojca! Zastanów się, co zrobił, a może przejrzyś na oczy. To on rzucił na twojego męża oskarżenia. To on powiedział ci, że jest zdrajcą, i kazał go szpiegować.

- Bał się o własną skórę.

- I właśnie dlatego nie kiwnie palcem, kiedy powieszą mu zięcia! Żeby tylko przypadkiem nikt nie skierował podejrzeń na jego własną wielkopańską głowę! A nawet jeśli Arran jakimś cudem zdoła uciec z Anglii, to i tak zamordują go własni rodacy, którzy dzięki takim ludziom jak twój papa również mają go za zdrajcę!

Margot wlepiła w nią niewidzące spojrzenie. Poczula się tak, jakby ktoś położył jej na piersi ogromny ciężar, i zupełnie upadła na duchu.

- Nie... To nie może być prawda. Przemawia przez ciebie strach. Boisz się o kuzyna, wszyscy się o niego boimy, ale...

- W życiu nie spotkałam drugiej takiej naiwnej dzierlatki jak

ty - przerwała jej Zelda. - Twój mąż z dnia na dzień został najbardziej poszukiwanym złoczyńcą po obu stronach granicy, a ty planujesz powrót, martwisz się, że masz na tyłku portki zamiast kiecki, albo zaprzątasz sobie głowę tym, czy uda nam się zaprzyjaźnić. Nie masz pojęcia o prawdziwym życiu!

Lady MacKenzie wpatrywała się tępo w kuzynkę Arrana. Nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa. Uzmysłowała sobie, że Gryzelda ma rację, i poczuła, że ją mdli. Miała ochotę zwrócić wszystko co przed chwilą zjadła.

- Chodź - odezwała się Zelda. Jej głos był zupełnie pozbawiony wyrazu. Ona też wyglądała tak, jakby miała się za moment rozchorować. Najwyraźniej uszło z niej całe powietrze. - Musisz się jeszcze nauczyć wsiadać bez pomocy na konia. Strzelanie zostawimy na jutro.

Zmierzchało, kiedy w końcu zajechały na dziedziniec. Margot ledwo trzymała się na nogach, ale siłą woli dowlekła się do westybulu.

- Gdzie znajdę męża? - zapytała Fergus, który obrzucił ją niechętnym spojrzeniem.

No, tak, pomyślała smętnie. Ich wielbionemu przywódcy dzieje się krzywda i znów to ja jestem wszystkiemu winna.

- Pan jest w gabinecie, milady - poinformował ją chłodno służący.

- Dziękuję.

Chwilę później zapukała dwakroć do drzwi i usłyszała stłumiony głos Arrana.

Gdy weszła do środka, natychmiast poderwał się z miejsca i obrzucił ją wzrokiem od stóp do głów. Popatrzył na jej wysokie buty, spodnie oraz wełniany płaszcz i lekko zmarszczył czoło.

- To prawda? - zapytała bez wstępów.

- Co mianowicie?

- Rzeczywiście, sądzisz, że cię aresztują? Uważasz, że mój ojciec zwróci się przeciwko tobie, a tym samym przeciwko mnie, swojej własnej córce? Ponoć we własnym domu też nie jesteś bezpieczny i jeśli zostaniesz, zamordują cię Szkoci. To też prawda?

Westchnął i przetarł dłonią oczy.

- Zelda ci powiedziała, tak? - Oparł się o biurko i splótł ramiona.

- A co to za różnica kto? Pytam tylko, czy to prawda.

- Nie wiem. Możliwe. - Wzruszył ramionami. - A nawet wielce prawdopodobne. Wszyscy o mnie mówią i wszyscy mają mnie za zdrajcę. Muszę sprawić, żeby zamiast o mnie zaczęli mówić o Tomie Dunnie. Potem mogę tylko modlić się do Boga, żeby Norwood zechciał mi pomóc. Tyle że może być już na to za późno.

Opadła ciężko na krzesło, bo z rozpaczy ugięły się pod nią kolana. Nie rozplakała się tylko dlatego, że nie chciała wprawić męża w jeszcze większe przygnębienie. Poza tym obiecała sobie, że będzie silna. Nie dopuszczała do siebie myśli, że ojciec mógł być zamieszany w tak niegodziwy spisek ani że byłby zdolny tak perfidnie ją skrzywdzić. To by znaczyło, że nigdy o nią nie dbał.

- Mylisz się co do mojego ojca, Arranie - powiedziała stanowczo. - Wszyscy się co do niego mylicie. Wkrótce się o tym przekonasz. Papa wyciągnie cię z tarapatów. Nie mógłby postąpić inaczej. Jesteś przecież moim mężem! A ja jestem jego jedyną córką...

Arran spojrzała jej w twarz i uśmiechnął się. Prawie tak samo jak wcześniej Zelda. Z mieszaniną wyrozumiałości i politowania.

Zaperzyła się w duchu. Traktują ją tu jak naiwne dziecko, które wciąż wierzy w bajki.

- Nie ufasz mi - stwierdziła oschle. - Masz swoje powody. Ale wiem, co mówię. Postąpiłam podle, przyjeżdżając tu pod fałszywym pretekstem, ale to nie znaczy, że cała moja rodzina to banda zepsutych do szpiku kości szubrawców. Mój ojciec zwyczajnie boi się o własne bezpieczeństwo.

Nie odezwał się.

- Widzę, że wszyscy jesteście przekonani do swoich racji. - Podniosła się i podeszła do wyjścia. - Ale zdaje się, zapominacie o jednym. - Popatrzyła na niego od drzwi. - Kiedy ludzie cię pomawiają, rzucają w twoją stronę podłe oszczerstwa, to mówią źle także o mnie! Jestem córką hrabiego Norwood. Znam swoje-



go ojca. I wiem, że nie pozwoli na podobne zniewagi. Ochroni nas oboje.

Patrzył jej prosto w oczy, ale nadal uparcie milczał.

- Wspomnisz moje słowa - zakończyła z rozdrażnieniem i pomaszerowała do swoich pokoiów.

Wierzyła w każde swoje słowo, a jednak Gyzelda i Arran zasiali w jej duszy ziarno wątpliwości. Następnego dnia bardzo poważnie postanowiła przemyśleć słowa Zeldy.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Przygotowania do rychłego wyjazdu wymagały ogromnego wysiłku, zwłaszcza że mogli nigdy nie wrócić. Arran miał do zrobienia mnóstwo rzeczy. Musiał się spotkać i pożegnać z wieloma ludźmi. Na szczęście nie zostało mu ani chwili na ponure rozważania o przyszłości. Tylko dzięki temu nie stracił ducha.

Margot również była zajęta, więc w ogóle prawie nie mieli sposobności do rozmowy. Kiedy wracał wieczorami do pokoju, zazwyczaj od dawna już spała. Nie przeszkadzało mu to. Wręcz przeciwnie. Odkąd się dowiedział, że wróciła do Szkocji wyłącznie po to, żeby knuć za jego plecami, nie w głowie mu były amory. Od czasu wspólnej nocy po rozmowie w bibliotece nie tknął jej ani razu.

W czwartek o świcie obudził żonę i kazał jej jak najprędzej przygotować się do drogi. Nadeszła pora wyjazdu.

Stanąwszy w westybulu, rozejrzał się dookoła, jakby starał się zapamiętać znajome kąty, dom, w którym dorastał i w którym stał się mężczyzną – swoje miejsce na ziemi.

Uścisnął na pożegnanie kuzyna, który na próżno walczył ze łzami. Niewiele brakowało, a sam Arran by się rozplakał. Na koniec pogłaskał po łbie starego Roya.

Kiedy wrócę, jeśli wrócę, pewnie nie będzie go już wśród żywych, pomyślał melancholijnie, przyglądając się, jak psisko macha przyjaźnie ogonem. Spoglądając w jego mądre oczy, zadumał się także nad własną śmiertelnością.

Wyszedł na dziedziniec i przejechał przez bramę, nie oglądając się za siebie. Gdyby się obejrzał, ani chybi padłby na ziemię przygnieciony żalem.

Wyłynęli w morze wraz z porannym przypływem. Dwa dni później dotarli do wybrzeży Anglii i rozpoczęli jazdę ku Norwood Park. Margot na szczęście sporo nauczyła się od Gryzeldy. O wiele lepiej trzymała się w siodle i bez kłopotu jechała właści-

wym tempem.

Pierwszą noc na angielskiej ziemi spędzili u państwa Burnsów. Pan Burns był z urodzenia Szkotem, a jedna z kuzynek jego żony należała do rodziny MacKenziech. Arran często bywał gościem w ich domu. W przeszłości zawsze podejmowali go z honorami, byli niezwykle uczynni i rozmowni, lecz tym razem przyjęli go nader chłodno. Ugościli ich wprawdzie kolacją i dali im skromny pokój, ale wyraźnie nie mieli ochoty przestawać z nimi dłużej, niż to było konieczne. W dodatku przyglądali się Margot z wyraźnym zgorszeniem, jakby kobieta w męskim stroju urągała ich poczuciu przyzwoitości. Arran domyślił się, że dotarły do nich wieści o jego rzekomej zdradzie.

Kiedy zostali sami, zamknął drzwi na klucz i wyjrzał przez okno. Nie czuł się wystarczająco bezpieczny. Chciał wybadać teren na wypadek, gdyby musieli opuścić w pośpiechu tymczasowe lokum.

Upewniwszy się, że nikt nie czyha w ciemnościach na ich życie, a w izbie nie ma jadowitych żmij i pajaków, odwrócił się w stronę żony. Tkwiła nieruchomo na środku pokoju z koszulą wypuszczoną na wierzch ze spodni. Jej płaszcz był poplamiony na zielono, jakby otarła się nim o drzewo porośnięte mchem. Miała potargane włosy i sińce pod oczami.

- Jesteś zmęczona - zauważył, podchodząc bliżej. Zabrał jej okrycie i odwiesił je na krzesło. - Usiądź - polecił, wskazując gestem łóżko. Było tak małe, że nie miał pojęcia, jak pomieści ich oboje.

Opadła w milczeniu na materac i zwiesiła głowę. Przyklęknął przed nią i ściągnął jej but.

- Co się stało? - zapytał zaniepokojony, spojrzawszy jej w oczy. Była blada jak płótno. - Coś ci dolega?

- Nie rób tego - odparła, wpatrując się w swoją stopę, którą wciąż trzymał w dłoni. - Nie bądź dla mnie miły. Nie zasłużyłam na to.

- Margot...

- Nie! Nie jestem ciebie warta! - zawołała i zakryła rękami twarz. - Byłam taka durna. Zelda ma rację. Wszyscy macie rację. Jestem idiotką! Jak można być tak ślepym i głuchym?

Sądził, że się rozplacze. Trzy lata temu utonąłaby w morzu łez, ale kiedy w końcu podniosła na niego wzrok, jej oczy były suche, za to płonął w nich gniew.

- Jestem tak wściekła, że mam ochotę wyć - wycedziła, zaciskając pięści.

- Zaufałaś ojcu, który powinien cię kochać i chronić. Nie możesz się za to winić.

- Wszystko będzie dobrze, Arranie, zobaczysz - powiedziała, jakby nie dotarły do niej jego słowa. - Wiem, że mi nie wierzysz, ale przysięgam na wszystkie świętości, nie pozwolę, żeby zrobili ci krzywdę!

- Na wszelki wypadek lepiej nie przysięgaj...

- Nie rzucam słów na wiatr. Już nigdy więcej nie będę taka naiwna.

Uśmiechnął się krzywo i pogłaskał ją po policzku.

- Nie obiecuj czegoś, czego nie jesteś w stanie dotrzymać, *le-annan*.

Zignorowała zaczepkę i zacisnęła palce wokół jego nadgarstka.

- Nadal się na mnie gniewasz?

- Nie - odparł bez namysłu. Rozumiał, w jak trudnej postawiono ją sytuacji. - Ale jestem przybity i zniechęcony.

Jęknęła i spuściła głowę.

- To chyba jeszcze gorzej, niż gdybyś się na mnie gniewał.

Arran wstał z klęczek i wyciągnął się na posłaniu. Margot natychmiast położyła się obok niego. Jej bliskość przynosiła mu niejaką pociechę. Przytulił się do jej pleców i objął ją mocno ramieniem.

O świcie wyruszyli w dalszą drogę. Podróż była niemiłosiernie długa i wyczerpująca. Spodziewał się łez i narzekań, ale Margot mile go zaskoczyła. Znosiła trudy jazdy ze stoickim spokojem i nawet sama zajmowała się swoim koniem. Czyściła go, doprowadzała do wodopoju i dokarmiała jeżynami. Z włosami w kompletnym nieładzie, w poplamionym płaszczu i zakurzonych spodniach w niczym nie przypominała wytwornej panny w balowej sukni, którą poznał w Norwood Park. Trudno ją było rozpo-

znać, ale właśnie taka podobała mu się najbardziej.

Dopiero teraz powoli stawiała się kobietą, o jakiej zawsze marzył: nie tylko piękną i powabną, lecz także silną i nawykłą do znojów prostego, codziennego życia.

Przypatrywał jej się na grzbiecie karego kuca i zastanawiał, czy historia ich burzliwej znajomości niebawem dobiegnie końca. Chciałby ją przedłużyć. I dopisać do niej znacznie lepsze zakończenie. Niestety, obawiał się, że jego życzenia mogą nigdy się nie spełnić.

Kiedy zatrzymali się na noc w gospodzie, od Norwood dzieliło ich zaledwie kilka godzin. Zamierzali porządnie wypocząć i przygotować się należycie na spotkanie z jej rodziną.

Choć kosztowało go to niemałą fortunę, Arran zamówił kąpiel. Nie żałował. Jego żona była wniebowzięta.

- O mój Boże, jak cudownie! - westchnęła błogo i przymknąwszy powieki, oparła kark o brzeg wanny.

- Umyję ci głowę, jeśli chcesz.

- Och, tak, chcę - zgodziła się ochoczo.

Nabrał wody w dzbanek i polał jej włosy.

Zamknęła oczy. Popatrzył na jej ciemne rzęsy i zaróżowioną twarz, na której pojawiły się piegi.

- Mam nadzieję, że nakarmili do syta Rogera - powiedziała po chwili.

- Rogera?

- Mojego kuca.

- Nadałaś mu imię?

- Naturalnie! W całym swoim życiu nie spoufalałam się tak bardzo z nikim oprócz ciebie. Miałabym pozwolić mu na taką zażyłość, nie znając nawet jego imienia?

- Pojmuję. - Namydlił jej włosy. - A jak Roger nazywa ciebie?

- Uciążliwa kluska.

Roześmiał się z jej żartu.

- Wiesz, żałuję, że nie nauczyłam się jeździć okrakiem o wiele wcześniej. To wspaniałe uczucie. Nikt mi nie mówi, jak mam siedzieć ani co na siebie włożyć. Czuję się wolna. W Anglii nie miałam takiej swobody. W Szkocji jest pod tym względem o wiele lepiej. Kobieta może sobie robić, co jej się żywnie podoba,

i nikt na nią krzywo nie spojrzy. Nawet kiedy jest rozczochrana i nosi spodnie. Tyle razy wyjeżdżałam za bramę Balhaire i nikt mnie nigdy nie zatrzymał ani nie spytał, dokąd się wybieram. Z początku myślałam, że twoi ludzie nie zwracają na mnie uwagi, bo mnie nie cierpią i zupełnie nie dbają o to, czy rozszarpią mnie wilki. Potem doszłam do wniosku, że to dlatego, że u was każdy ma prawo być panem samego siebie.

Zadumał się nad jej słowami.

- Obawiam się, że z tymi wilkami to może być trochę prawda... - stwierdził z uśmiechem.

Roześmiała się i ochlapała go wodą.

- Usiądź prosto.

Uniosła się i objęła ramionami kolana, żeby mógł splukać jej głowę.

- Teraz twoja kolej - powiedziała, gdy skończył. - Chodź, ogolę cię.

Nie trzeba go było zachęcać. Przyniósł brzytwę, rozebrał się i dołączył do niej w kąpielni. Niełatwo było tego dokonać, bo był od niej znacznie większy. Musiał posadzić ją sobie na kolanach, żeby jakoś pomieścili się w niewielkiej wannie. Rozchlapali przy tym mnóstwo wody.

Margot namydliła mu brodę i zaczęła powoli usuwać z niej zarost.

- Pamiętasz, jak pierwszy raz próbowałam zgolić ci wąsy?

- Czy pamiętam? Niewiele brakowało, a poderżnęłabyś mi gardło. Jakże miałbym o tym zapomnieć?

- To dlatego że cały czas wierciłeś się, jakbyś miał owsiki. Nie mogłeś usiedzieć w miejscu.

- Dziwisz się? Bałem się o własne życie. Nie umiałaś nawet trzymać porządnie brzytwy.

Zachichotała wesoło.

- Oj, to było niechcący - powiedziała, kiedy ostrze podskoczyło jej lekko w ręce. Potem znów się zaśmiała.

Arran przyglądał się żonie, kiedy z zaciśniętymi wargami i zmarszczką koncentracji na czole goliła go.

- Jak sądzisz, co by się stało, gdybym nie wyjechała trzy lata temu z Balhaire? - zapytała, zerknąwszy na niego przelotnie. -

Myślisz, że jakoś by się nam ułożyło?

- Nie wiem, ale wolę myśleć, że zapomnielibyśmy o tym, co nas dzieli i...

- To znaczy, ja zapomniałabym o tym, co nas dzieli, tak?

Posłał jej szeroki uśmiech.

- A co z panem, panie MacKenzie? Jeśli dobrze pamiętam, nie był pan szczególnie zadowolony ze swojej kapryśnej żony.

- Nawet nie wiesz, ile razy miałem ochotę przełożyć cię przez kolano.

Zaśmiała się w głos i splukała mu z twarzy resztki zarostu.

Była taka piękna, kiedy się uśmiechała. Oczy błyszcząły jej jak szmaragdy.

- Ale byłem zbyt zadurzony, żeby długo się na ciebie boczyć - dodał zrzędliwie, kiedy przytuliła się i objęła go w pasie. - Na dodatek wmawiałem sobie, że ty też jesteś mną odrobinę oczarowana. I to był mój błąd.

- Na niektórych miłość spada jak grom z jasnego nieba, inni potrzebują nieco więcej czasu. Ale wiedz, że od razu mi się spodobałeś... na swój sposób. Intrygowałeś mnie, bo różniłeś się od mężczyzn, których znałam. Szkopuł w tym, że byłam wystraszona i kompletnie oszołomiona. Nie potrafiłam odnaleźć się w nowym miejscu. Wcześniej czas spędzałam jedynie w Norwood Park albo w Londynie.

- Za to teraz niczego się nie boisz, *leannan*. Stałaś się nieustraszona i taką lubię cię o wiele bardziej.

Uniosła głowę i pocałowała go w usta.

- Daleką przebyliśmy drogę, prawda, mój mężu?

- Prawda.

Dla niego ta droga jeszcze się nie skończyła. Wciąż żył w niepokoju i niepewności. Nadal jej nie ufał. I nie miał pojęcia, co go czeka w domu teścia. Jeśli jakimś cudem uda mu się wyjść z tego wszystkiego cało, czy Margot zechce wrócić z nim do Balhaire? Jeszcze o tym nie rozmawiali. Nie wykluczał, że będzie woląta zostać w Anglii i udzielać się towarzysko na londyńskich salonach, otoczona kordonem wielbicieli. A nawet gdyby postanowiła pojechać z nim z powrotem do Szkocji, czy kiedykolwiek nauczyłby się jej ufać? Pragnął mieć z nią gromadkę

dzieci, zestarzeć się u jej boku i patrzeć, jak jej kasztanowe włosy zmieniają się w srebro. Nie chciał do końca swoich dni żyć w strachu, że znów go opuści.

- O czym myślisz?

- O tym, że kiedy twój ojciec zwrócił się do mnie ze swoją nieoczekiwaną propozycją, byłem bardzo młody i miałem mnóstwo marzeń. Poczułem się wówczas, jakbym złapał Pana Boga za nogi. Mogłem wiele zyskać, wzbogacić się i poprawić byt swojego klanu, w dodatku dostałbym żonę, z którą mógłbym dzielić życie i która urodziłaby mi dzieci...

- Po to zazwyczaj bierze się żonę, prawda? - zauważyła, przegarniając mu palcami włosy.

- Aye... - Położył jej rękę na policzku. - Tyle że potem zobaczyłem cię pierwszy raz na balkonie i... moje życie już nigdy nie było takie samo.

- Och, Arranie... - Uniosła ku niemu twarz.

Natychmiast zaczął ją całować, a potem podniósł się i zaniósł ją do łóżka. Nie miał teraz ochoty o niczym myśleć ani bać się o niepewną przyszłość. Chciał o wszystkim zapomnieć i móc się nią nacieszyć, być może ostatni raz.

Kiedy jej dotykał, kiedy ich ciała zespoliły się w jedno, uzmysłowił sobie, że bez względu na to, co się między nimi wydarzyło, nigdy nie będzie dla niego istniała żadna inna kobieta.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Następnego ranka Margot obudziła się bardzo wcześnie. Za oknami było jeszcze zupełnie ciemno. Nie spała dobrze. Niemal całą noc nękały ją koszmary, w których ojciec przepędzał ją z domu albo próbował zamordować jej męża.

Usiadła na łóżku i spojrzała na pogrążonego we śnie Arrana. Złe sny zasiały w jej duszy niepokój, ale zmusiła się, żeby go przeczłuć. To tylko nedorzeczny lęk, tłumaczyła sobie w duchu. Papa sprowadził ją przecież na świat i podarował jej życie w dostatku. Nie opuści jej w nagłej potrzebie.

- Co robisz? - zapytał zaspanym głosem Arran, gdy zaczęła krzątać się po izbie.

Uśmiechnęła się do niego znad otwartej torby.

- Mamy dziś dotrzeć do Norwood Park. Muszę się odpowiednio ubrać.

Jakiś czas później upięła włosy i stanęła przed nim gotowa do drogi.

- Czy wyglądam, jak przystało na żonę przywódcy klanu?

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Przyglądał jej się niespiesznie, jakby chciał ją dokładnie zapamiętać.

- O, tak, jesteś bardzo przekonująca.

Przyłożyła mu rękę do piersi i stanęła na palcach, żeby go pocałować. Był wyraźnie zafrasowany.

- Nie obawiaj się. Nic złego się nie stanie. Znam swojego ojca.

- To nie twojego ojca się teraz obawiam - odparł, odwracając wzrok.

Nie była pewna, co ma na myśli, ale nie zapytała.

Ostatni etap podróży okazał się wyjątkowo męczący. Jako że miała na sobie suknię, musiała jechać w damskim siodle. Było jej niewygodnie i z trudem utrzymywała tempo.

Kiedy zbliżali się do bramy Norwood Park, Arran zatrzymał całą wyprawę i rozmówił się ze swoimi ludźmi. Mówili po gaelicku, więc Margot niczego nie zrozumiała. Zorientowała się jednak, że w pewnym momencie zaczęli się sprzeczać, zwłaszcza Ben MacKenzie, który miał w jakiejś kwestii zdecydowanie odmienne zdanie. W końcu ustąpił i cała trójka odjechała w przeciwnym kierunku.

- Dokąd ich posłałeś?

- Zostaną z tyłu. Jeśli zajdzie taka konieczność, zawiozą wieści do Balhaire.

Pokręciła głową.

- Jesteś przesadnie ostrożny - stwierdziła i ruszyła przodem. Nie chciała, żeby zobaczył, jak bardzo sama jest zdenerwowana. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Nie wiedzieć czemu, raptem opadły ją wątpliwości. Boże, pomyślała w popłochu, co z nami będzie, jeśli się mylę?

Przejechawszy przez aleję klonów, minęli fontannę i podjechali do wejścia. Niemal natychmiast otworzyły się drzwi i wyszło im na spotkanie dwóch odzianych w liberie lokajów.

- Witamy w domu, *milady*.

- Dziękuję, John. - Stanąwszy na ziemi i zobaczywszy znajome twarze, od razu poczuła się pewniej i nabrała otuchy. Obejrzała się z uśmiechem na męża, który zeskoczył z siodła i podał jej ramię, żeby wprowadzić ją do środka.

W hallu powitał ich Quint.

- Lady MacKenzie, cóż za miła niespodzianka. Nie spodziewaliśmy się pani.

Uradowana widokiem starego kamerdynera miała ochotę go uścisnąć.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Quint - rzekła z uśmiechem. - Zabierz, proszę, nasz bagaż do zielonej komnaty.

- Służę, jaśnie państwu.

- Czy mój ojciec jest w domu? - zapytała, oddając mu kapełusz i uwalane rękawiczki.

Kamerdyner wpatrywał się w nie odrobinę za długo, jakby się zastanawiał, dlaczego nie kazała ich wyczyścić.

- Niestety, obawiam się, że jaśnie pan i panicz Bruce są nie-

obecni. Udali się z wizytą do pani Sumpter, która nieoczekiwanie zaniemogła. Niezwłocznie pošlę umyślnego z wiadomością o państwu przyjeździe.

- Dziękuję, będę ci bardzo wdzięczna. A Knox? Zastaliśmy go?

- Trudno powiedzieć, *milady*. Nie widziałem go od wczorajszego poranka. Kazać podać herbatę?

- Tak, bardzo proszę.

Kamerdyner uklonił się i odwrócił na pięcie, żeby odejść.

- Za pozwoleniem - powstrzymał go Arran.

- Tak, jasnie panie?

- Chciałbym zamienić słowo z Dermidem MacKenziem, jeśli to nie kłopot. Do niedawna bywał tu częstym gościem. Czy możesz mi wskazać, gdzie go znajdę?

Służący popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Przykro mi, ale nie wiem.

- W takim razie - wtrąciła Margot - kiedy się zjawi, przekaz mu, że mój mąż życzy sobie go widzieć.

- Obawiam się, że nie ma go już w Norwood Park. Wyjechał jakiś czas temu.

Pewnie pojechał za mną do Szkocji, pomyślała, ale Arran sprawiał wrażenie zatroskanego.

- Powiedział, dokąd się wybiera? - zwrócił się do Quinta.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Zapytamy papę, kiedy wróci - zakończyła rozmowę i odprawiła kamerdynera. - Nie trap się bez powodu - odezwała się do męża, gdy zostali sami. - Dermid był tu po to, żeby mnie pilnować. Jestem pewna, że nic mu nie jest. Przypuszczam, że pojechał za mną do Szkocji.

Arran nie wyglądał na uspokojonego, ale nic nie powiedział.

Jakiś czas później, kiedy zasiedli do herbaty, otworzyły się drzwi i do bawialni wpadł z impetem ojciec.

- Margot, dziecko kochane! - zawołał od progu, rozkładając przed nią ramiona.

Roześmiała się i podeszła, żeby go uścisnąć.

- Dzień dobry, Bryce - przywitała się nieco chłodniej z bratem, który zdecydowanie nie był uszczęśliwiony jej widokiem.

- A, jest i nasz ulubiony Szkot - rzekł jowialnie lord Norwood i objął serdecznie Arrana.

Margot odetchnęła z ulgą. Kamień spadł jej z serca. Wszelkie wątpliwości odeszły w niepamięć. Teraz była już przekonana, że jej rodzina nie knuje przeciwko jej mężowi.

- Zaskoczyliście nas, ale to oczywiście nader miła niespodzianka - oznajmił ojciec. - Kiedy usłyszałem o waszym przyjeździe, natychmiast posłałem do Beaułych i zaprosiłem ich na kolację. Pomyślałem, że się ucieszysz.

Popatrzyła na niego zdziwiona. Goście? Tak szybko? Przecież dopiero co przyjechali...

- A Knox? Okrutnie się za nim stęskniłam. Chciałabym się z nim zobaczyć.

- Knox? - skrzywił się, jakby przełknął łyżkę dziegciu. - Żałuję, ale nie ma go w domu. Idź, odpocznij i przebierz się do kolacji. Muszę rozmówić się z twoim mężem.

- Ale...

- Żadnego ale, to nudne męskie sprawy. Nie dla ciebie. Wynudziłabyś się za wszystkie czasy. No, biegnij na górę. Niebawem ci go odeślę. - Ścisnął ją za ramiona, po czym sięgnął do klamki.

Zawahała się i spojrzała niepewnie na Arrana, który niemal niezauważalnie skinął głową.

Nie stawiała oporu, gdy ojciec niemal siłą wypchnął ją za drzwi. Nie chciał, żeby słyszała ich rozmowę, i zwyczajnie wyprosił ją z pokoju. Ogarnęły ją złe przeczucia.

Minuty wlekły się niemiłosiernie, a ona czekała na męża, odchodząc od zmysłów. Wydawało jej się, że maszeruje w tę i w tę od co najmniej godziny, kiedy Arran wreszcie stanął na progu. Poczowała tak wielką ulgę, że na sekundę wmurowało ją w podłogę. Potem rzuciła mu się na szyję i uścisnęła go ile sił, jakby chciała się upewnić, że rzeczywiście stoi przed nią cały i zdrowy.

- Już dobrze, Margot, nic się nie stało. - Przytulił ją na moment i usiadł na kanapie.

- Czego od ciebie chciał?

Wzruszył ramionami.

- Nic ważnego. Wypytywał mnie o Balhaire. Jak mi idzie handel z Francuzami, ile na nim zarabiam i tym podobne.

- Powiedziałaś mu o Thomasie Dunnie?

- Nie. Wolałbym, żeby nie było przy tym twojego brata. Wyraźnie za mną nie przepada.

- Mój brat lubi wyłącznie samego siebie - powiedziała uspokajającym tonem.

- Powoli zaczynają zjeżdżać się goście - zauważył, zdejmując płaszcz. - Powinnaś chyba się z nimi przywitać.

- Nie wyjdę do nich bez ciebie. - Zaczekała, aż zmieni ubranie, i zeszli razem do bawialni. Kiedy zobaczyła Lynette, na moment zapomniała o mężu i padła przyjaciółce w ramiona.

Kolacja upłynęła w miłej atmosferze. Wino lało się strumieniami, było dużo śmiechu i wspominków. Nawet Arran odrobinę się odprężył, kiedy wciągnął go w rozmowę pan Beauly.

Lynette nie zamykała się buzia. Trajkotała jak najęta o swoim nadchodzącym ślubie z panem Fitzgeraldem i przekazywała przyjaciółce najświeższe plotki o wspólnych znajomych. Pan Franklin Carvey zadurzył się w pannie Violi Darfield, a jego brat James miał kłopoty z wypłataniem się z długów.

- Pamiętasz, jak raz wygrałaś u niego dziesięć funtów? - zaśmiała się Beaulyówna. - Biedaczysko prawie się rozpłakał, a ty dalej się z nim droczyłaś. Och, powiadam ci, bez ciebie to już nie to samo.

Margot uśmiechnęła się z przymusem. Spędziła ostatnie trzy lata na frywolnych rozrywkach i flirtowaniu. Dbała wyłącznie o wytworne towarzystwo i o własne zachcianki.

Zerknęła ukradkiem na męża, który uśmiechał się uprzejmie do swego rozmówcy. Pomyślała o tym, jak wiele miał obowiązków i z jakim oddaniem dbał o swoich ludzi. W porównaniu z nim, wiodła nad wyraz trywialny żywot. Aż dziw, że w ogóle chciał mieć z nią cokolwiek wspólnego. Nagle zrobiło jej się wstyd.

- Oczu od niego nie możesz oderwać - stwierdziła Lynetta, szturchając ją łokciem w bok. - Nie dziwię ci się. Jest taki... krzepki. Dlaczego wszyscy Anglicy wydają się przy Szkotach wąтли? Nigdy nie spotkałam bardziej męskiego mężczyzny niż

twój mąż.

- Jeszcze niedawno twierdziłaś, że pan Dermid MacKenzie jest wyjątkowo męski.

- Dermid MacKenzie? Nawet o nim nie wspominaj. To przecież złodziej!

Margot spojrzała ze zdumieniem na przyjaciółkę.

- Co takiego?!

- Nie słyszałaś? Aresztowano go zaraz po twoim wyjeździe. Ponoć ukradł coś lordowi Norwoodowi.

Raptem ścisnął jej się żołądek.

- Niemożliwe. Ktoś by mi o tym powiedział. - Nigdy nie zwracała na Dermida większej uwagi, zwłaszcza że przebywał w Norwood tylko po to, żeby mieć ją na oku. Mimo to pamiętała, że zawsze odnosił się do wszystkich z uprzejmością i szacunkiem. Poza tym ludzie jej męża byli z gruntu uczciwi i z pewnością nie kradli. - Kto go oskarżył?

- Nie wiem, ale mówią, że przywłaszczył sobie coś niezwykle cennego i że zabrali go stąd w kajdanach.

Poczuła, że zbiera jej się na mdłości. Znów zaczęły ją nękać jak najgorsze przecucia.

- Co ci jest? - spytała z troską panna Beaully. - Pobladłaś.

- Nic, nic, to pewnie ta kuropatwa. Widać za dużo zjadłam. Słyszałaś może, dokąd go zabrali?

- Nie mam pojęcia.

- Ale...

- Drogie panie! - odezwał się nagle lord Norwood. - Przejdziemy do salonu? Margot, daruj, ale pochwaliłem się przed gośćmi twoim talentem. Zagrasz nam na pianinie? Panna Beaully na pewno zechce z tobą zaśpiewać, ma taki anielski głos.

Margot spojrzała na Arrana. Uśmiechnął się do niej. Zatem nie wiedział jeszcze o tym, co się stało z Dermidem.

Naturalnie spełniła prośbę ojca, ale nie mogła skupić się na nutach. Myślami powędrowała zupełnie gdzie indziej. Była przekonana, że Dermida oskarżono bezpodstawnie. Ktoś chciał się go pozbyć. Co gorsza, Quint nie zająknął się o całej sprawie ani słowem, kiedy pytali o niego zaraz po przyjeździe. A papa zachowywał się jak gdyby nigdy nic, był nawet bardziej jowial-

ny niż zwykle, jakby na siłę próbował przekonać zebranych, jak wielce uradował go powrót córki. Bryce z kolei przez cały czas spoglądał wilkiem na Arrana, a ją traktował jak powietrze.

Nie mogła pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, że w tym domu dzieje się coś bardzo złego. Od tej chwili na wszystkich spoglądała z podejrzliwością.

Wieczór włókł się w nieskończoność. Beauyowie zabrali się do wyjścia dopiero o wpół do drugiej nad ranem.

Pożegnała ich w hallu i westchnęła. Arran stał obok niej, obejmując ją lekko w talii.

Uśmiechnęła się i ścisnęła go za rękę.

- Chodźmy spać. Jestem tak zmęczona, że ledwo trzymam się na nogach.

- Idź sama, *leannan*. - Przycisnął ją sobie do boku i pocałował w skroń. - Muszę jeszcze zamienić słowo z twoim ojcem.

- Ale... jest okropnie późno, a ja mam ci tyle do powiedzenia.

- Rzeczywiście, już prawie rano. Biegnij na górę. Obudzę cię, kiedy przyjdę.

Była zbyt wyczerpana, żeby się sprzeczać. Kiedy przyłożyła głowę do poduszki, natychmiast zaczęły opadać jej powieki. Obiecała sobie, że zaczeka na Arrana, więc przez jakiś czas walczyła ze snem. Tak bardzo chciała z nim porozmawiać, powiedzieć mu, że niepotrzebnie się martwił. Niemal słyszała przy uchu jego niski głos i śpiewny akcent, czuła obok siebie jego ciepło. Jutro wszystko się ułoży. Razem z ojcem zastanowią się, jak wyciągnąć go z kłopotów.

Niestety okazało się, że to jedynie piękny sen naiwnej młodej kobiety. Tej nocy jej mężowi nie dane było dotrzeć do sypialni i położyć się do łóżka.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kiedy rankiem Margot odkryła, że jest w łóżku sama, wpadła w popłoch.

Ubrała się pospiesznie i zbiegła na dół. Okazało się, że w domu nie ma nikogo oprócz służby.

- Panowie udali się do Fonteneau - poinformował ją beznamiętnie Quint.

Zmarszczyła brwi. Pamiętała to miejsce z dzieciństwa. Bywała tam często z ojcem i braćmi. Stara, ponura twierdza zawsze przyprawiała ją o dreszcze. Należała do lorda Granbury'ego, który jakiś czas temu podupadł na zdrowiu. Razem z nim wyniszczało jego domostwo. Syn Granbury'ego, lord Putnam, nie dbał o posiadłość, a jego ulubioną rozrywką było przepuszczanie rodzinnej fortuny.

- Wszyscy? - zapytała, czując, że serce podchodzi jej do gardła. - Mój mąż także?

- Tak, *milady*.

- Zostawili dla mnie wiadomość?

- Obawiam się, że nie, jaśnie pani. Przygotować gorącą czekoladę?

- Nie, dziękuję.

Miała wrażenie, że kamerdyner usiłuje jak najszybciej ją zbyć. Była już pewna, że stało się coś bardzo złego i że prawdopodobnie stał za tym jej własny ojciec. Arran nie wyjechałby bez słowa wyjaśnienia. Co więcej, nie miał żadnego powodu, żeby wybrać się do Fonteneau. Przez cały dzień chodziła jak nakręcona od okna do drzwi i z powrotem. Z każdą upływającą godziną paraliżował ją coraz większy strach.

Po zmroku była niemal chora ze zmartwienia. Od rana nie przełknęła ani kęsa, a żołądek ścisnął jej się do wielkości rodzynki.

- Chcę wysłać list - oznajmiła, gdy Quint próbował namówić



ją do zjedzenia kolacji.

- Naturalnie. Zaraz kogoś przyślę.

- Jak najrychlej.

Kilka minut później zjawił się młody lokaj.

*Waszego wodza zabrano do Fonteneau* - napisała na skrawku papieru i odczekała, aż wyschnie inkaust. Miała nadzieję, że ludzie jej męża potrafią czytać po angielsku. Złożyła wiadomość i podeszła do służącego.

- Jak ci na imię?

- Stephen.

- Zawieziesz to do wioski - powiedziała szeptem na wypadek, gdyby ktoś ich podsłuchiwał. Nie ufała już nikomu. - Zatrzymało się tam trzech ludzi z Balhaire. To Szkoci. Znajdziesz ich w gospodzie. Dasz mój list któremuś z nich. Wszystko jedno któremu. Nie wracaj tu, dopóki go nie doręczysz. Rozumiesz, Stephenie? To bardzo ważne.

- Tak, *milady* - odparł, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami.

Przemknęło jej przez myśl, że ten młodzieniec to być może jej jedyna nadzieja, i łzy same napłynęły jej do oczu. Nie była pewna, czy tym razem zdoła je powstrzymać.

- Zrobisz to dla mnie? - W desperacji chwyciła go za ramię. - Pamiętaj, powierzyłam ci sprawę ogromnej wagi.

- Tak, jasnie pani. Ma pani moje słowo.

Puściła go i kiwnęła głową.

- Dziękuję, jestem ci bardzo wdzięczna.

Uklonił się i wyszedł, a ona ponownie zaczęła bezradnie krążyć po pokoju. W jej głowie kłębiły się posępne myśli, a wyobraźnia podsuwała najczarniejsze scenariusze. Najgorsze było to, że nie miała pojęcia, co robić. Uzmysławiała sobie, jaka jest bezsilna: całkowicie zależna od mężczyzn i zdana na ich łaskę.

W przyпіływie otuchy pomyślała o Knoksie. Prawdopodobnie pozostał jej ostatnim sprzymierzeńcem w tym domu. Jeśli ktoś miałby jej pomóc, to tylko on. Oby nie myliła się także co do niego. Niezwłocznie przywołała kamerdynera i zapytała o brata.

- Wiesz, gdzie go szukać?

Zawahał się.

- Pewności nie mam, ale zdaje się, że panicz Knox najął pokój w wiosce.

- Przeniósł się do wsi? Po co? Pokłócił się z Bryce'em? Albo z ojcem? - Nie byłby to pierwszy raz.

Quint zaczerwienił się po same uszy.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Przypuszczam, że... pragnął jedynie znaleźć się bliżej obiektu swojej... inklinacji.

- Swego... czego?

Zacisnął usta i uniósł wymownie brew.

- Ach, pojmuję. Chodzi o kobietę... Jeśli nadejdą jakieś wieści od lorda Norwood albo mojego męża, natychmiast mnie powiadom.

- Wedle życzenia, jasnie pani.

Niestety, żadne wieści nie nadeszły.

Około pierwszej w nocy udręczona czekaniem, w końcu udała się do sypialni. Nie zmrużyła oka prawie do świtu.

Rozmyślała o tym, że Arran nie zostawiłby jej w ten sposób. Nie odjechałby bez słowa pożegnania, tak jak ona odjechała niegdyś z Balhaire. Dopiero teraz, kiedy umierała ze strachu o jego życie, zrozumiała w pełni, przez co wówczas przechodził, i poczuła się jeszcze podłej. Wyciągnęła z kieszeni jego list. Nie rozstawała się z nim, odkąd wykradła go z szafki. *Stałaś się całym moim światem, jego początkiem i jego końcem.*

Nazajutrz wmusiła w siebie kawałek tostu. Przeżuwała go w nieskończoność jak skórzaną podeszwę. Tłumaczyła sobie, że musi zachować siły. Nie przyda się na nic Arranowi, jeśli będzie co chwila mdlała z głodu.

Zaraz po śniadaniu wrócił Stephen. Wprawdzie udało mu się doręczyć wiadomość, ale nie przyniósł odpowiedzi. Nie przyszło jej do głowy, żeby kazać mu na nią poczekać, a sam najwyraźniej na to nie wpadł.

Nie pozostawało jej nic innego, jak czekać dalej. Wczesnym popołudniem dopadła ją taka rozpacz, że nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Miała wrażenie, że odchodzi od zmysłów. Czowała się jak bohaterka koszmarnego snu, z którego nie sposób się obudzić. Po jakimś czasie zmusiła się, żeby wstać, i znów zaczęła chodzić od okna do drzwi.

W końcu wypatrzyła na drodze ojca. Zbiegła na dół jak na złamanie karku i dopadła go w hallu. Natychmiast zorientowała się, że wrócił do domu sam.

- Gdzie jest MacKenzie? - zapytała bez wstępów.

- W Fonteneau.

Panika ścisnęła jej gardło. Tak mocno, że na moment zanie-mówiła.

- Dlaczego go tam zostawiłeś?

- Zejdź mi z drogi, Margot. Jestem zmęczony. Porozmawiamy później. - Minął ją w korytarzu jak zbędny mebel i ruszył do gabinetu.

Zakipiała z oburzenia. Nie dość, że w środku nocy wywiózł jej męża z domu i zostawił go Bóg wie gdzie, to jeszcze nie raczył poinformować jej o jego losach. Potraktował ją jak powietrze.

Bryce przeszedł obok niej, nie odezwawszy się ani słowem.

Nie pójdzie im ze mną tak łatwo, pomyślała rozsierdzona. Nie będzie dłużej siedzieć jak mysz pod miotłą i patrzeć, jak rządzą jej życiem. Pomaszerowała za bratem i wpadła do pokoju jak Furia.

- Margot, na miłość boską! - wrzasnął lord Norwood. - Mówi-łem ci, żebyś zostawiła mnie w spokoju!

- Co zrobiłeś z moim mężem?!

Poczerwieniał jak burak.

- Jak śmiesz przemawiać do mnie tym tonem?!

- Nie wyjdę stąd, dopóki mi nie powiesz, co mu zrobiłeś!

Spojrzał na nią z nieukrywaną satysfakcją.

- Chcesz wiedzieć, co z nim zrobiłem? Chętnie cię oświecę. Zostawiłem go skutego na dnie lochu, czyli tam, gdzie jego miejsce!

Miała nadzieję, że się przesłyszała, ale trwało to zaledwie ułamek sekundy. Popatrzyła w zaciętą twarz ojca i ostatecznie przejrzała na oczy. Tak jak jej przepowiedziała Zelda, zrozumiała wreszcie, kim naprawdę jest jej ukochany papa. Wszystko, co o nim wiedziała, to jedno wielkie kłamstwo. Chwyciła się krzesła, żeby nie upaść.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała z rozżaleniem. - Przyjecha-liśmy do ciebie po ratunek! Arran nie zrobił nic złego, to Tho-

mas Dunn rozpowiada o nim oszczerstwa!

- Nie opowiadaj mi tu o Dunnie! Sądziłaś, że wam pomogę? Głupia gęś. Twój Szkot tonie, a tonącemu należy skrócić męki. I upewnić się, że nie pociągnie cię ze sobą na dno!

Zdębiała. Niełatwo było pogodzić się z tym, że jej ojciec okazał się bezduszną kanalią.

- Zapominasz chyba, że mówimy o moim mężu.

- Nie popadaj w egzaltację. Jest nim tylko na papierze.

- Mylisz się! Jest nim w każdym tego słowa znaczeniu!

Prychnął szyderczo.

- Coś podobnego! Próbujesz mi wmówić, że nagle zapalałaś do niego gorącym uczuciem? Ty? Przypominam, że uciekłaś od niego po czterech miesiącach małżeństwa, a kiedy kazałem ci wrócić do Szkocji dla dobra rodziny, płakałaś rzewnymi łzami jak rozbisurmaniony bachor! Zrobiłaś, co do ciebie należało, więc bądź tak dobra i zajmij się tym, czym zajmujesz się zazwyczaj, czyli błahostkami. Sproś sobie gości, jedź do Londynu, cokolwiek, tylko daj mi wreszcie święty spokój! Nie zamierzam z niczego się przed tobą tłumaczyć.

Margot tkwiła przed nim jak zamroczone. Pomyślała mgliście, że za moment albo padnie zemdlona na podłogę, albo go spoliczkuje. Jedno z dwojga.

- Postąpiłeś wobec mnie wyjątkowo podle, milordzie - oznajmiła ściszym głosem.

- Och, nie bądź śmieszna. Nigdy niczego ci nie odmawiałem, żyłaś w dostatku i robiłaś, co chciałaś!

- Zmusiłeś mnie do małżeństwa z człowiekiem, którego zupełnie nie znałam. Potem zmusiłeś mnie, żebym do niego wróciła. Za każdym razem wypełniałam ponoć swój obowiązek. A teraz, kiedy wreszcie ułożyłam sobie z nim życie, posłałeś go na pewną śmierć, nie licząc się z moimi uczuciami. Nigdy nie dbałeś o mnie.

Popatrzył na nią z rozdrażnieniem jak na krnąbrne dziecko, które nie rozumie, co się do niego mówi.

- Zrobiłem tylko to, co było konieczne dla dobra rodziny.

- Ach tak? A co takiego mianowicie zrobiłeś kiedykolwiek dla naszej rodziny? Co dla niej poświęciłeś? Zdradź mi, jeśli łaska.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Margot - odezwał się raptem Bryce. Nie zauważyła nawet, że jest w gabinecie. - Chodź, ojciec chce zostać sam. - Chwyił ją za ramię i pociągnął na korytarz. Nie protestowała. Była zdruzgotana. Człowiek, którego niegdyś kochała i szanowała, któremu wierzyła, stał się jej zupełnie obcy. Nie chciała nawet na niego patrzeć.

Kiedy brat zamknął za nimi drzwi, natychmiast wyrwała się z jego uścisku.

- Jak mogłeś do tego dopuścić? Co z ciebie za człowiek?

- A czego się spodziewałaś? Wolałabyś, żebyśmy stracili cały majątek? Albo żeby to nas skrócili o głowy zamiast niego? W imię czego mielibyśmy chronić jakiegoś nic niewartego Szkota?

- Nic niewartego Szkota? - roześmiała mu się w twarz. - Tak się składa, że ów Szkot ma więcej honoru niż wy obaj razem wzięci! Wystarczyłoby, żebyście obnażyli kłamstwa Dunna...

- Nie możemy wystąpić przeciwko Dunnowi, zapamiętaj to sobie. To człowiek z koneksjami, cieszący się szczególnymi względami królowej. Zbyt wiele byśmy ryzykowali...

Odwróciła się na pięcie, zamierzając odejść, ale znów złapał ją za rękę.

- Bądź rozsądna i nie sprawiaj kłopotu. W przeciwnym razie nie skończy się to dla ciebie dobrze...

- Grozisz mi?

Posłał jej pogardliwy uśmiech.

- Chcesz chyba ponownie wyjść za mąż, prawda? Za kogoś, kogo sama sobie wybierzesz? Jeśli tak, to radzę ci siedzieć cicho i robić, co ci się każe.

Boże miłosierny, pomyślała zgorszona. Co się stało z tą rodziną? Kim są ludzie, obok których spędziła całe życie? Czyżby była aż tak zapatrzona w siebie, że nie zauważyła zła i podłości, które czają się w jej własnym domu?

Instynkt podpowiedział jej, że jeżeli chce ratować męża, musi udawać uległość.

- Naturalnie - odparła najspokojniej, jak umiała. - Zdaje się, że nie mam innego wyboru.

Kiedy zniknęła mu z oczu, puściła się dalej biegiem. Dopiero w zaciszu sypialni dała upust tłumionym od dwóch dni emocjom. Skuliła się na łóżku, a potem na przemian krzyczała i łkała w poduszkę dopóki starczyło jej sił. Kiedy wyplakała już wszystkie łzy, zaczęła się zastanawiać, co robić. Rozpacz i płacz w niczym jej nie pomogą, ani tym bardziej jej mężowi. Ojciec i brat przestali się dla niej liczyć. Tylko jeden mężczyzna był jej potrzebny do życia jak powietrze – Arran MacKenzie. A żeby go odzyskać, musiała zwrócić się o pomoc do Knoksa.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Po kolejnej nieprzespanej nocy wstała jeszcze przed świtem. Udręczona koszmarami prawie nie zmrużyła oko. Ubrała się w pierwszą lepszą sukienkę i usiadła przy oknie, żeby dotrzeć do wschodu słońca.

Próbowała nie załamywać rąk i nie rozpaczać, ale było jej coraz trudniej. Jej myśli nieustannie krążyły wokół Arrana. Jakiś czas później zeszła do jadalni. Zatrzymała się na chwilę przed drzwiami, żeby przywołać na twarz uśmiech. Kiedy przekonała samą siebie, że jest wystarczająco „wylewny”, weszła do środka i jak gdyby nigdy nic przywitała się z ojcem. Nie pocałowała go jednak, jak to robiła zazwyczaj. Nie potrafiła.

- Wybieram się do wioski - oznajmiła, nałożywszy sobie na talerz tost. - Wszystkie najlepsze suknie zostawiłam w Szkocji. Muszę sprawić sobie nowe. I chciałabym sprowadzić do domu Nell. Czuję się bez niej jak bez ręki. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Przyjrzał jej się podejrzliwie, więc uśmiechnęła się szerzej.

- Rób, co uważasz za stosowne - zgodził się łaskawie.

- Dziękuję. W takim razie do zobaczenia. - Podeszła do wyjścia.

- Margot.

Zaczerpnęła głęboko tchu i odwróciła się przez ramię.

- Tak?

- Weź ze sobą lokaja. Nie chcę, żeby przytrafiło ci się coś złego.

- Naturalnie, jak sobie życzysz. - Miała ochotę powiedzieć mu dosadnie, co myśli o jego trosce, ale uznała, że mądrzej będzie się powstrzymać.

Do wsi towarzyszył jej Stephen. Ten sam, który był wczoraj jej umyślnym. Kiedy dotarli na miejsce, oznajmiła mu, że wybiera

się do modystki, i posłała go po sprawunki. Kazała mu również kupić szynkę u rzeźnika, którego sklep znajdował się na drugim końcu wioski.

Z początku protestował, ale była stanowcza, więc dał za wygraną.

Upewniwszy się, że jest sama, popędziła do gospody i poprosiła szynkarza, żeby sprowadził jej brata.

Na górze kilka razy trzasnęły drzwi, po czym na schodach pojawił się Knox.

Wyglądał jak siedem nieszczęść. Był nieogolony, potargany i niekompletnie ubrany, jakby wyrwała go ze snu i musiał ubierać się w wielkim pośpiechu. Prawdopodobnie tak właśnie było.

- Margot?! - zawołał uradowany jej widokiem i porwał ją w ramiona. - Co tu robisz, kruszyno?

Na milę czuć było od niego damskie perfumy.

- Mogłabym zapytać cię o to samo.

- Ja? Używam żywota - obwieścił z rozbajającym uśmiechem i pociągnął ją w stronę schodów. - Uprzedzam, że nie spodziewałem się gości - dodał w drodze do drzwi.

- Właśnie widzę - skwitowała, spojrzawszy na rozesłane łóżko i wymiętą pościel.

Podrapał się w czoło.

- Przyłapałaś mnie, siostró. Teraz pewnie zmyjesz mi głowę?

- Och, nie dbam o to, co przed chwilą robiłaś. Przyjechałam, bo potrzebuję twojej pomocy. Jestem w rozpacz i nie wiem, co począć.

Natychmiast przeszła mu ochota do śmiechu.

- Co się stało?

- Ojciec i Bryce zrobili coś strasznego. - Zacisnęła pięści, żeby powstrzymać łzy. - Boże drogi, Margot! Mów, nie trzymaj mnie w niepewności!

Opowiedziała mu o wszystkim, co się wydarzyło w Szkocji, a na koniec zrelacjonowała przebieg ostatnich wydarzeń w Norwood Park.

Knox zaniemówił z wrażenia.

- W głowie się nie mieści...

- A jednak. W środku nocy wywieźli mojego męża do Fontene-



au, a potem jak zwykle kazali siedzieć cicho.

- Do Fonteneau? - powtórzył i gwałtownie zbladł. - Zawieźli tam też tego drugiego Szkota.

- Dermida? Po co?

- Pamiętasz, że to stara twierdza? A w każdej twierdzy jest loch. Putnam tonie w długach. Urządził w domu tymczasowe więzienie. Za odpowiednią opłatą przetrzymuje więźniów, których mają sądzić w Londynie. Do czasu aż zgłoszą się po nich stosowne władze, ma się rozumieć.

Margot poczuła, że brak jej powietrza. Brat przypadł do jej krzesła.

- Spokojnie, Margot. Oddychaj głęboko. Nie chcesz mi tu chyba zemdleć.

- Muszę jechać - szepnęła z trudem, kiedy wreszcie odzyskała mowę. - Natychmiast. Nie ma chwili do stracenia!

- Jechać? Dokąd?

- Jak to dokąd? Do Fonteneau!

- Co ty opowiadasz, dziewczyno?! Jak niby chcesz tam dotrzeć?

- Konno!

Prychnął rozbawiony.

- Ale, ptaszyno, przecież ty nie umiesz jeździć!

- Umiem! Nauczyłam się w Balhaire.

Zarechotał, jakby usłyszał przedni dowcip.

Rozsierdzona poderwała się na równe nogi i odepchnęła go z całych sił.

- Jadę! Nie powstrzymasz mnie. Wyciągnę go stamtąd, choćbym miała sama dać się przy tym zabić! To wszystko moja wina! Moja! Znalazł się w więzieniu przeze mnie! Nie chcesz mi pomóc? Trudno. Poradzę sobie sama. A ty zabawiaj się dalej ze swoją panienką!

Próbowała go wyminąć i podejść do drzwi, ale złapał ją mocno za ramiona.

- Już dobrze. Uspokój się...

- Jak?! Jak niby mam się uspokoić?!

Westchnął i posadził ją z powrotem na krześle.

- Zastanówmy się nad tym spokojnie. Putnam tonie nie tylko

w długach, ale i w whisky. Praktycznie nie trzeźwieje. Obawiam się, że nic u niego nie wskóramy.

- Zawieź mnie tam. Skoro ma długi, może uda nam się go przekupić, a jeśli nie, zagram z nim w karty. To nałogowiec. Nie przepuści żadnej okazji. Zajmę go, a ty w tym czasie uwolnisz Arrana.

- To szaleństwo. Wiesz, co grozi komuś, kto próbuje wykraść więźnia oskarżonego o zdradę?

- Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Nie dbam o to. I tak to zrobię. Nie rozumiesz, Knox? Jestem jego jedyną nadzieją. Nikt inny mu nie pomoże. - Tym razem nie zdołała powstrzymać łez. Kiedy zaczęły strumieniami spływać jej po policzkach, zawstydzona spuściła głowę.

- Dobry Boże, Margot, ty... go kochasz, prawda? - stwierdził ze zdumieniem.

Skinęła głową i pociągnęła nosem.

- Tak, kocham - powiedziała, pochlipując. - Nie miała pojęcia, dlaczego do tej pory sama na to nie wpadła. Czy naprawdę musiał jej to uprzytomnić ktoś inny?

- A niech mnie! - Knox przytulił ją mocno i pogłaskał po włosach. - W takim razie, nie ma rady. Musimy jechać.

Popatrzyła na niego z nadzieją.

- Czy to znaczy, że mi pomożesz?

- Tak, wbrew intuicji i zdrowemu rozsądkowi. Wracaj teraz do domu i zachowuj się, jak gdyby nigdy nic. O drugiej masz być gotowa do drogi. Jeśli trzeba, przekup służbę i odpowiedz na prawo i lewo, że wybierasz się z wizytą do Lynetty. Potem wymknij się z domu niezauważona. Nikt nie może się zorientować, o której dokładnie wyjechałaś. To bardzo ważne. Dasz sobie radę?

- Tak.

Złapał ją za podbródek i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Na pewno? Bo jeśli ci się nie uda, zgubisz i siebie, i swojego Szkota. Nie będzie już dla was ratunku.

Bodaj pierwszy raz w życiu była pewna, że to, co robi, jest słuszne, i że zrobi to tak, jak trzeba. Od tego zależało życie Arrana.

- Bądź spokojny. Wypełnię twoje polecenia co do joty.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Arran ocknął się na dnie lochu. Był na siebie wściekły za to, że tak łatwo dał się podejść. Podczas rozmowy o Dunnie, Norwood zaproponował mu whisky. Niczego nie podejrzewając, wychylił szklanekę do dna. Ani się obejrzał, a półprzytomny leżał w powozie, rzucony na podłogę jak worek mąki. To musiało być laudanum – ogromne ilości laudanum, w przeciwnym razie nie pozwoliłby się obezwładnić. Nie pamiętał nawet, jak się tu znalazł ani gdzie dokładnie znajdowało się podziemie, do którego go wtrącono.

Było ciemno choć oko wykol, ale prędko się okazało, że nie jest sam. Kiedy w ataku furii zaczął kląć jak szewc, w pobliżu odezwał się znajomy głos. Miał towarzysza niedoli, a był nim nie kto inny jak Dermid MacKenzie, który spędził w tej dziurze już blisko miesiąc.

Durni Angole na szczęście nie rozbili go do końca. Zapomnieli o nożu, który nosił w bucie. Poza tym nikt ich właściwie nie pilnował. Człowiek, który przynosił jedzenie i wsuwał je przez otwór przy podłodze, przychodził w pojedynkę. Arran postanowił zacząć głodówkę i udawać chorobę. Ktoś w końcu przyjdzie sprawdzić, czy żyje, i otworzy drzwi z zamka. Wtedy go obezwładni, jeśli trzeba, poderżnie mu gardło. Nie miał zamiaru umierać w tej norze.

Nieco uspokojony, zaczął rozmyślać o żonie. Prawie uwierzył w jej zapewnienia o uczciwości ojca. Dała mu isierkę nadziei, a on uczepił się jej jak kiep i stracił czujność. Czy powiedzieli jej, że go tu trzymają? Był niemal pewien, że podobnie jak on, padła ofiarą machinacji Norwooda, a mimo to nie wyzbył się do końca podejrzeń. Choć jego serce w to nie wierzyło, nie wykluczał, że od początku o wszystkim wiedziała. Przymknął powieki i przypomniał ją sobie ubraną w spodnie, z zaróżowionymi od jazdy policzkami. Żal i zgryzota ścisnęły mu gardło, kiedy uzmy-

słowił sobie, że być może nigdy więcej jej nie zobaczy. Margot...  
- szepnął rozpaczliwie. - Margot...

Nagle usłyszał wyraźnie jej śmiech i otworzył szeroko oczy. *Diah*, jak nic tracę rozum. Przecież to niemożliwe, żeby tu była. Jej głos rozległ się jeszcze bliżej i głośniejsze. Chryste, czy to naprawdę ona? Chyba nie przyjechała po to, żeby popatrzeć, jak go wieszają?

Kiedy stanęli pod drzwiami w Fonteneau, Knox ścisnął siostrę za rękę.

- Pamiętaj, jechaliśmy do Keswick, żeby odwiedzić Daltonów, i nagle zaniemogłaś. Musieliśmy zawrócić i potrzebujemy gościny.

- Pamiętam. I nie martw się, dam sobie radę.

Kamerdyner przyjął ich nieufnie, ale Margot koncertowo odegrała swoją rolę.

- Twój pan i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi - powiedziała wyniośle, wręczając mu kapelusz i rękawiczki. - Będzie bardzo niezadowolony, jeśli się dowie, że odprawiłeś nas.

Rad nierad, służący wreszcie ustąpił.

Wkrótce pojawił się Putnam. Był podpity, nosił wymięte odzienie i miał przekrwione oczy.

- Panna Armstrong? - zdziwił się.

Powitała go ukłonem i uwodzicielskim uśmiechem.

- Lady MacKenzie. Chwilowo. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak się cieszę, że zastaliśmy pana w domu. Droga do Keswick jest okropnie wyboista, a ja nie nawykłam do jazdy. Rozchorowałam się od ciągłego podskakiwania i potrzebuję chwili wytchnienia.

- Naturalnie, zapraszam.

Gdy znaleźli się w salonie, w ciągu kilku minut owinęła go sobie wokół palca, ale kiedy zaproponowała partyjkę wista, raptem zrobił się podejrzliwy.

- Czego pani ode mnie chce? Czy to przypadkiem nie pani mąż gnije w naszym lochu?

Blady strach ścisnął ją za serce, ale zdołała zachować zimną krew.

- Owszem, jest moim mężem, ale tylko na papierze. To dzikus i barbarzyńca, jak każdy Szkot. Nikt nie będzie po nim płakał, a już na pewno nie ja. Ale oprócz zszarganej reputacji mój, pożałuj Boże, małżonek zostawił mi także okazałą sumkę. Dlatego proponuję panu odrobinę rozrywki, zanim brat zaciągnie mnie do przeraźliwie nudnych Daltonów. Co pan na to?

Putnamowi natychmiast zaświeciły się oczy.

- Margot, słowo daję - wtrącił Knox - nie bądź uciążliwa. Naprawdę powinniśmy już jechać. Nie możemy się narzucać...

- Och, sam jesteś uciążliwy. Dałbyś pokój...

- Nie odmówię gościny pięknej damie - przerwał im gospodarz. - Chętnie zagram, dopóki nie poczuje się pani lepiej. A pan może w tym czasie zażyć świeżego powietrza. Cavanaugh oprowadzi pana po Fonteneau. Mamy tu wspaniałą średnio-wieczną architekturę.

- Nie powinienem zostawiać siostry samej. Nie uchodzi, żeby...

- Dalibóg, panie Armstrong, jesteśmy przecież przyjaciółmi.

- Cóż, istotnie... mógłbym się przejść.

- Znakomicie.

Lady MacKenzie odetchnęła z ulgą, gdy jej brat zniknął za drzwiami. Na szczęście wiedział, gdzie znajduje się loch. Musiał tylko pozbyć się na jakiś czas swego przewodnika. Jej zaś pozostawało już tylko zająć jak najdłużej Putnama.

Godzinę po tym, gdy usłyszał w pobliżu śmiech żony, na górze rozległy się kroki co najmniej dwóch mężczyzn. Głos jednego z nich wydał mu się dziwnie znajomy, choć prawdę mówiąc, niczego nie był już pewien.

Kilka minut później ktoś przekręcił w zamku klucz i otworzył drzwi.

- MacKenzie! Wychodź! Prędko!

Arran popatrzył na przybysza, ale blask świecy niemal całkiem go oślepił.

- No rusz się, człowieku, bo zaraz będziemy mieli na głowie wartownika!

- Z kim rozmawiam?

- Ślepy jesteś? To ja, Knox Armstrong.

MacKenzie na próżno próbował zebrać myśli. Brat Margot, ale przy okazji Armstrong, a skoro tak, to pewnie jest przeciwko niemu, jak cała reszta tej przeklętej rodziny. Chyba że to ona go przysłała... Przez ułamek sekundy tkwił niepewnie w miejscu.

Knox nie dał mu czasu do namysłu. Chwycił go za ramię i pociągnął do wyjścia.

- Chcesz, żeby wszystkich nas wyróżnili? No chodź!

- Ale Dermid, mój człowiek...

- Musimy uciekać!

- Nie zostawię go!

Armstrong rzucił mu klucze i zniknął w ciemności.

- Pospiesz się więc. Stanę na czatach.

Po chwili dołączyli we dwójkę do swojego wybawcy.

- Oddajcie mi klucze. Nie mamy chwili do stracenia. Za rogiem, po prawej, są stajnie. Nikt ich nie pilnuje. Osiodłajcie dla siebie konie.

- A ty?

- Wywiozę was stąd. Dajcie mi tylko chwilę.

- Aye, idziemy.

Arran nie zadawał więcej pytań. Najważniejsze, że wyszli z tej przeklętej celi. O resztę będą się martwić później.

Margot powoli wpadała w popłoch. Robiła, co mogła, żeby dać Putnamowi wygrać, lecz ten na okrągło przegrywał. W dodatku zachowywał się jak opętany. Strumieniami wlewał w siebie wino i na przemian popadał to w złość, to w przygnębienie.

- Jeszcze jedno rozdanie - zażądał po kolejnej przegranej partii.

- Jest pan zdenerwowany, może lepiej...

- Kto jest zdenerwowany?! Na pewno nie ja! Oskubała mnie z pieniędzy kobieta, która wdarła się do mojego domu pod fałszywym pretekstem! Myśli pani, że jestem głupi i nie wiem, co się święci? Chce pani swojego Szkota! Ot, co! A to parszywy zdrajca!

- Myli się pan - odparła spokojnie. - Chciałam się tylko odro-

binę zabawić, a tak się składa, że lubię grać w karty. Co do Szkota, to zapewniam, że odetchnęłam z ulgą, kiedy ojciec wreszcie mnie od niego uwolnił. I bynajmniej nie chcę go z powrotem. Za to wydaje mi się, że wiem, czego pan chce. Moich pieniędzy.

Przez chwilę sądziła, że skoczy jej do gardła, ale popatrzył na nią żałośnie, a potem rozplakał się jak dziecko.

- Przegrałem wszystko! - szlochał rozpaczliwie. - Cały majątek przepadł! - Ściągnął perukę i cisnął nią o ziemię. Potem wstał od stołu i przeszedł przez pokój.

Obawiając się, że chce wyjść, pobiegła za nim.

- Lordzie Putnam. - Ujęła go za ramię, ale natychmiast strząsnęła jej dłoń. Niezrażona sięgnęła do kieszeni i wyjęła sakiewkę Arrana. - Richardzie. Weź je. Są twoje.

Spojrzał na pieniądze, które wcisnęła mu do ręki.

- Nie przyjmę od pani jałmużny...

- To nie jałmużna, lecz pożyczka. Oddasz mi, kiedy będziesz mógł.

- Jak?! Nie zostało mi już nic... Nie mam ani pensa.

- Dasz sobie radę. Wierzę w ciebie.

Znów zalał się łzami i ściskając sakwę, osunął się na podłogę. Popatrzyła na niego z mieszaniną litości i obrzydzenia.

- Margot! - usłyszała za plecami głos Knoksa. - Chodź. - Brat wziął ją za łokieć i ruszył w stronę drzwi. - Musimy iść.

W hallu poinformował kamerdynera, że wyjeżdżają, i nie czekając na odpowiedź, wyszedł na dziedziniec. Pędził tak szybko, że nie mogła za nim nadążyć.

- Knox! Zaczekaj!

- Nie mamy czasu na rozmowy, Margot! Nie teraz. - Objął ją w talii i pociągnął na drogę.

- Ale... Znalazłeś go? Powiedz mi! Muszę wiedzieć, czy...

Nim zdążył się odezwać, skręcili za róg. A jej odpowiedź stała nieopodal pogrążona w ciemnościach. Poznałaby go wszędzie. Niewiele myśląc, puściła się biegiem i padła mężowi w ramiona. Objęła go za szyję i ścisnęła, ile sił. Musiała się upewnić, że jest cały i zdrowy. Najchętniej nigdy by go już nie puściła.

- Arranie, Arranie... myślałam, że przepadłeś! Że straciłam



cię na zawsze... Arranie...

- Już dobrze, Margot. Nic mi nie jest. Ale musimy jechać. - Odsunął ją delikatnie. - Porozmawiamy później. Teraz wsiadaj na konia, dobrze?

Kiwnęła głową i zrobiła, co kazał.

Wydawało jej się, że upłynęło kilka godzin, zanim Knox dał znak, żeby się zatrzymali.

- Jak do tego doszło? - zwrócił się do Arrana.

- Zapytaj swego ojca. Odurzył mnie jakimś świństwem, a kiedy nie mogłem już stawiać oporu, wywiózł i wtrącił do lochu.

Na twarzy jej brata odmalowała się furia. Nigdy nie widziała go tak rozsierzonego.

- Trzymajcie się tej drogi. Jutro powinniście dotrzeć do Szkocji.

- Ale, Knox, musisz jechać z nami - zaprotestowała gwałtownie. - Ojciec będzie się na tobie mścił, jeśli...

- Nie mogę - przerwał zdecydowanie i odciągnął jej konia na bok.

- Proszę, nie wracaj tam. W Balhaire wcale nie jest tak źle, jak mówiłam. Byłam głupia i...

- **Ćśśś**, ptaszyno. Ktoś musi zostać i wyjaśnić tę sprawę do końca. Dunn nie przez przypadek obrał sobie twojego męża na ofiarę. Jestem pewien, że ojciec maczał w tym palce. Dowiodę tego i przywrócę MacKenziemmu dobre imię. Obiecuję ci. Chcę, żebyście mogli normalnie żyć.

- Ale... mogę cię już nigdy nie zobaczyć...

- Zobaczymy się na pewno. Nie wiem kiedy, ale postaram się, żebyś nie musiała czekać za długo. Spójrz na mnie, Margot. Muszę się upewnić, że naprawdę tego chcesz. - Skinął w stronę Arrana. - Bo jeżeli wybierzesz swojego Szkota i nie pojedziesz teraz ze mną, być może spędzisz resztę życia w Szkocji. Nie będziesz mogła wrócić, dopóki nie rozwiążą się ostatnie podejrzenia, które na nim ciążyą. A to może potrwać. Rozumiesz?

Znów zabrakło jej powietrza w płucach.

- Dobrze się czujesz, Margot?

Nie, nie czuła się dobrze. Tkwiła w środku nocy na pustkowiu, postawiona przed tragicznym wyborem.

Potrząsnęła głową, niezdolna wykrztusić z siebie słowa.

- Wiem, jak ci ciężko, ale nie możesz z tym zwlekać. Nie jesteście tu bezpieczni. Musisz zdecydować teraz.

Knox usunął się na bok, kiedy podjechał do niej Arran.

- *Diah*, trzęsiesz się jak osika - powiedział, zaciskając dłoń na jej dłoni. - Nie mam prawa cię przy sobie zatrzymywać. Wystarczy twoje jedno słowo, *leannan*. Będzie, jak zechcesz. Jeżeli wolisz to zakończyć...

- Nie! Nawet o tym nie pomyślałam!

- Oczywiście, że pomyślałaś. Nikt nie chciałby się znaleźć na twoim miejscu. To trudna decyzja. Być może najtrudniejsza, jaką kiedykolwiek musiałaś podjąć. Rozumiem to. - Przyciągnął ją za szyję i oparł czoło o jej skroń. - Nie uwięzę cię do siebie na siłę, jeśli tego nie chcesz. Nie mogę tu z tobą zostać, choć bardzo bym chciał. Niebezpieczeństwo, które wisi nad moją głową, z każdą chwilą rośnie. Muszę wrócić do swoich ludzi cały. Nie mogę ich zawieść. Ale wiedz jedno, *leannan*, jeśli pojedziesz teraz ze mną, oddam ci wszystko, co mam. Do końca życia będę nosił cię na rękach i wielbił ziemię, po której stąpasz. Wybór należy do ciebie.

Spojrzała na jego twarz oświetloną blaskiem księżyca i dotknęła listu, który zawsze nosiła przy sobie.

- Jadę z tobą.

- Nie mów tego, jeśli nie jesteś pewna...

- Niczego już nie jestem pewna. Ostatnio w moim życiu dzieje się stanowczo zbyt wiele. Ale muszę podjąć decyzję, Arranie, i wybieram ciebie.

Popatrzył jej w oczy i pocałował ją mocno w usta.

- Zrobię wszystko, żebyś nigdy tego nie żałowała. - Odsunął się, żeby mogła pożegnać się z bratem.

- Nie martw się, oczyszczę twojego męża z zarzutów - obiecał Knox. - Pisz jak najczęściej. - Milczała, ze wzruszenia nie mogła wykrztusić słowa. Wiedział, jak jej trudno, bo sam czuł się podobnie. Przytulił ją mocno i cmoknął w policzek. - Bądź dzielna, kruszyno, i pamiętaj, nie rozstajemy się na zawsze. Niebawem znów się zobaczymy, przyrzekam. - Obrócił konia i zniknął w oddali.

- Ruszamy, *mo gradh*. Już pora. - Arran złapał jej konia za uzdę i odjechali w noc.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Upłynęło kilka dni, zanim wjechali w głąb Szkocji na tyle daleko, by Arran poczuł się bezpieczny. Bez pieniędzy podróżowało się znacznie trudniej. Nocowali pod gołym niebem i żywili się wyłącznie tym, co upolowali.

Skrzywił się w duchu, kiedy Margot wyjaśniła mu, co się stało z sakiewką, ale nie powiedział ani słowa. Uratowała mu życie, więc szybko przeboleł stratę. Próbowwała go namówić, żeby sprzedał szmaragdowy naszyjnik, który podarował jej w dniu ślubu.

- Trzeba nakarmić twojego człowieka i konie.

- Na razie nie ma potrzeby niczego sprzedawać. Damy sobie radę.

Bardziej martwił się o nią. Źle znosiła trudy jazdy. Szybko się męczyła i z godziny na godzinę była coraz bardziej przybita. Co gorsza, powoli cichła, aż w końcu prawie w ogóle przestała się odzywać. Nie znał się dobrze na kobietach, ale wiedział, że jeśli kobieta milczy, nie jest dobrze.

Po blisko dwóch tygodniach dotarli do domu jednego z członków klanu. Choć pan MacKenzie był wujem Dermida, odprawił ich z kwitkiem. Bał się o własne życie. Okazało się, że Arrana poszukują Gordonowie, którzy nadal mają go za zdrajcę i nie kryją morderczych zamiarów. Sądzi, że zbiegł do Anglii, i wypatrywali jego powrotu, żeby się z nim „rozprawić”. To oznaczało, że nie mogą wrócić bezpiecznie do Balhaire.

Cóż było robić? Zaopatrzeni w zapasy ruszyli dalej. Zostawili konia Margot, żeby oszczędzić jej dalszych wysiłków, a przy okazji nie spowalniać tempa. Jechała odtąd z mężem.

Przed wyjazdem Arran wziął na stronę Dermida i oddał mu część spakowanego jedzenia.

- Pojedziesz czym prędzej do domu i powiesz Jockowi, że wraz z lady MacKenzie udałem się do Kishorn. Niech nikt do

nas nie przyjeżdża, dopóki nie będzie bezpiecznie.

- Aye.
- Z Bogiem.

Dotarli do Kishorn jeszcze przed zmrokiem. Arran dziękował Bogu, że to kres ich podróży. Ani jego koń, ani żona nie wytrzymałyby dłużej.

Gdy Margot zsunęła się z siodła, nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Wziął ją na ręce i przeniósł przez próg.

- Co to za miejsce? - zapytała, rozglądając się dookoła.  
- Domek myśliwski - odparł, posadziwszy ją na drewnianej kanapie. - Należy do rodziny od blisko dwustu lat. Był opuszczony, ale widzę, że Griselda przywróciła go do dawnej świetności. - W chacie było czystutko i niczego nie brakowało. Na ścianach wisiał nawet tartan w ich rodzinnych barwach. Znalazł świecznik i zapalił świece. - Odpocznij sobie. Ja oporządzę konia i napalę w kominku.

- Mmm - wymruczała, położyła się i natychmiast zamknęła oczy.

Spała, kiedy wrócił z wielkim wiadrem wody ze studni. Zabrał je do kuchni i podgrzał na ogniu.

- Margot - szepnął, kładąc jej rękę na ramieniu. - Mamy gorącą wodę, jeśli chcesz się odświeżyć.

- Naprawdę?

Uśmiechnął się i pogłaskał ją po policzku.

- Nie oszukałbym cię w tak ważnej kwestii.

- Lepiej, żebyś mówił prawdę. Dla twojego dobra.

Przyglądał się zafascynowany, jak zdejmuje brudne ubranie i zanurza ręce w wiadrze. Gdy skończyła się myć, owinął ją w koc i poszedł poszukać jakiegoś czystego odzienia. Znalazł poźółkłą koszulę i nadgryzioną przez mole brązową spódnicę.

- Czemu tu przyjechaliśmy? - zapytała, podnosząc na niego oczy. - I na jak długo?

Westchnął i usiadł obok niej.

- W Balhaire nie jest bezpiecznie. Ścigają mnie.

- Szkoci czy Anglicy?

- Szkoci. A to znaczy, że Anglicy pewnie też.

Ścisnęła go za rękę.

- Co teraz zrobimy?

- Nie wiem, ale musimy tu zostać na jakiś czas.

- Bez jedzenia? I nikogo do pomocy?

Wzruszył ramionami.

- Damy sobie radę. - Nie mieli innego wyjścia. Albo sobie poradzą, albo umrą z głodu.

- Jesteśmy tu bezpieczni?

- Na razie tak.

- Ale nie będziemy chyba ukrywać się do końca życia?

Nie mógł jej zapewnić, że wszystko się ułoży, bo sam nie miał pojęcia, co z nimi będzie. Zamiast tego zmył z siebie kurz i włożył świeżą koszulę.

- Nad czym tak dumasz? - spytał, zauważywszy, że zapatrzyła się w ogień.

- Zastanawiam się, dlaczego mi jeszcze nie wytknąłeś, że miałeś rację.

- W czym?

- Co do mojego ojca.

- Sama się przekonałaś, jaki z niego człowiek. Po cóż miałbym ci o tym przypominać?

- Przekonałam się też, że nigdy nic dla niego nie znaczyłam. Całe życie byłam tylko narzędziem w jego rękach. A kiedy już przestałam być potrzebna, potraktował mnie jak zbędny mebel.

Nie zaprzeczył. Niestety tak wyglądał los większości kobiet. Tylko nieliczne mogły decydować o własnym życiu.

- Nigdy więcej nie będę pionkiem w cudzej grze. Wolę żyć w ubóstwie i samotności, niż opływać w dostatki wśród ludzi, którzy zupełnie się ze mną nie liczą.

- Dla mnie jesteś kimś więcej niż tylko nazwiskiem. I zawsze się z tobą liczyłem.

Omiotła wzrokiem izbę, jakby go nie usłyszała.

- Nie przywykłam do takich warunków. Będę dla ciebie kompletnie bezużyteczna. Nie umiem nawet upiec chleba!

- To nieważne...

- Owszem ważne! Wiodłam dotąd puste życie rozpieszczonej

arystokratki. Byłam zupełnie ślepa na to, jak żyją zwykli ludzie. Niczego nigdy się nie nauczyłam. Nie popełnię więcej tego błędu. – Westchnęła i dotknęła ręką czoła. – Możemy iść spać? Jestem taka zmęczona...

Kiedy się położyli, od razu się do niego przytuliła.

– Nie jestem pewna, czy będę umiała tak żyć – powtórzyła zaspianym głosem.

Miał podobne obawy. Potrafił zadbać o to, by mieli co jeść, ale nie potrafił żyć bez swojego klanu. Odkąd pamiętał, zawsze kręciło się wokół niego mnóstwo ludzi. A teraz został sam z żoną, której mimo wszystko jeszcze nie do końca ufał. Wciąż nękał go lęk, że mogłaby znów go opuścić.

Po raz pierwszy od kilku tygodni zapadł w głęboki sen. Spał tak mocno, że nie zorientował się, kiedy Margot wstała z łóżka. Gdy się obudził i zobaczył, że jej nie ma, wpadł w taką panikę, że przez chwilę nie mógł zaczerpnąć tchu. Potem ubrał się w pośpiechu i obiegł cały dom. Bał się, że wsiadła na konia i odjechała w siną dal.

Odnalazł ją w kuchni. Stała do niego plecami, robiąc coś przy stole. Koszula i spódnica, które znalazł wczoraj, były na nią o wiele za duże, ale przewiązała się w pasie kawałkiem sznurka.

Usłyszała hałas i odwróciła głowę. Na jego widok z miejsca rozjaśniła jej się twarz.

– Zobacz! – zawołała rozradowana. – Znalazłam ziemniaka. W ogródku są też rzepy, a to chyba por, prawda?

W przyływie ulgi na moment odjęło mu mowę. Tymczasem Margot paplała dalej o tym, co odkryła w ogrodzie, i o tym, że zamierza wybrać się do lasu na maliny. Zrozumiał, że jeśli znów go porzuci, całkiem straci rozum. Kochał ją tak bardzo, że rozsadzało mu serce.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Margot żyła jak we śnie. Czasem, kiedy rozmyślała o tym, że być może nigdy nie zobaczy brata i nie stanie ponownie na ojczystej ziemi, zastanawiała się, czy postąpiła słusznie.

Chciała być z mężem, ale spadło na nią odrobinę zbyt wiele. Mieszkali sami w opuszczonej chacie, a ona nie miała pojęcia, jak zająć się domem. Do tej pory nigdy nie bywała nawet w kuchni, teraz musiała wszystko robić sama. Nie było jej ładu. Po dwóch tygodniach stała się jednak rzecz niemożliwa: przywykła do pracy, a nawet ją polubiła. Robiła wszystko z coraz większą wprawą, zapewne dlatego nie przeszkadzało jej już zamiatanie podłóg, zmywanie naczyń i tym podobne przyziemne czynności. Poczowała, że umie robić coś pożytecznego, i nabrała pewności siebie.

Nie rozmawiali ani o tym, co było, ani o tym, co będzie. Zajęci codziennymi obowiązkami żyli z dnia na dzień, a ich noce były wypełnione miłością. Spędzali ze sobą mnóstwo czasu i zawsze byli sami, bez rodziny, która wiecznie im się przygląda. Czasem wydawało jej się, że są jedynymi ludźmi na świecie, i zupełnie jej to nie przeszkadzało. Nawet gdyby przyszło im zostać na tym odludziu na zawsze, nie miałyby nic przeciwko temu.

- Widziałem dziś jeźdźców na drodze - powiedział Arran, kiedy pewnego wieczoru jedli kolację.

- O mój Boże... - wystraszyła się.

- Nie zauważyli mnie.

- Jesteś pewien? A jeśli...

- Nie, *leannan*, nikt nie wie, że tu jesteśmy.

Na samą myśl o tym, co by się stało, gdyby ktoś ich znalazł, padł na nią blady strach.

- Co byś zrobiła, gdyby mnie pojмали?

Odłożyła łyżkę i poderwała się od stołu. Nie chciała o tym rozmawiać. W ogóle nie brała takiej ewentualności pod uwagę. Nie



przeżyłaby tego.

- Nie mów tak.

- Wróciłabyś do Anglii?

- Do Anglii? Prędeż umarłabym tu ze zgryzoty.

Staął za nią i objął ją w talii.

- A kiedy już będziemy mogli jechać do Balhaire? Pojedziesz ze mną?

Nie zastanawiała się nad tym. Od kilku tygodni liczyło się dla niej tylko tu i teraz.

- Dlaczego zadajesz mi takie pytania? Nie myślałam o tym, co będzie później...

Puścił ją raptem i ruszył do wyjścia.

- Ja myślę o tym bez przerwy - powiedział, sięgając do klamki.

- Dokąd idziesz?

- Nie wiem! - Wypadł na zewnątrz, trzaskając drzwiami.

Ona też myślała o nim bez przerwy, ale tak wiele się w jej życiu zmieniło... Jeszcze nie wszystko poukładała sobie w głowie.

Kiedy wrócił, była już w pościeli. Położył się obok niej i natychmiast wziął ją w ramiona.

- Byłam kiedyś taka głupia... Zajmowały mnie wyłącznie przyjęcia i nowe stroje. A teraz... czasem sama już nie wiem, kim jestem...

- Ale ja wiem - szepnął, błędząc rękami po jej ciele.

Pewnego popołudnia, kiedy zrywała w ogrodzie kwiaty, usłyszała w oddali konie. Wystraszona wyrzała na drogę i naliczyła czterech jeźdźców. Zmierzali prosto do chaty.

Na moment zdrętwiała ze strachu, a potem wbiegła do domu, jakby się za nią paliło.

- Chryste Panie! Margot, co się stało? - Arran złapał ją za ramiona i spojrzał jej z niepokojem w oczy.

- Jadą do nas jacyś ludzie.

Puścił ją i chwyciwszy pistolet, zniknął na podwórzu.

Niewiele myśląc, złapała nóż i popędziła za nim.

- Nie bój się, *leannan*. To Jock - powiedział, gdy stanęła obok niego. - Tylko jeden człowiek w całej Szkocji siedzi tak dziwacz-

nie w siodle. – Uśmiechnął się i ruszył na spotkanie kuzyna.

Margot rozpoznała także Knoksa i podbiegła do niego ze łzami w oczach. Rzuciła mu się na szyję, jeszcze zanim zdążył zsiąść z konia.

Roześmiał się i obrócił ją dookoła siebie.

– Udusisz mnie, ptaszyno. Chodź, mamy wam sporo do powiedzenia.

– Rory’ego i Bruce’a Gordonów oskarżono o przynależność do jakobitów – oznajmił Jock, kiedy usiedli przy stole. – Anglicy przysłali po nich wojsko, ale zdążyli zbiec do Francji.

– Czort z nimi – skwitował Arran.

– To nie wszystko. Gordon zostawił po sobie kilka rzeczy. Między innymi list od Toma Dunna, w którym ten obiecuje, że podzieli się z nim Balhaire, kiedy już ciebie powieszają za zdradę.

– Zatem było dokładnie tak, jak przypuszczaliśmy.

– Ale nie przypuszczaliście chyba – wtrącił Knox – że współnikiem Dunna był nasz ojciec...

– Co ty mówisz...? – Margot wciąż nie mogła uwierzyć, że to prawda.

– W końcu sam się do tego przyznał. Dunn nie dość, że miał długi, to jeszcze popadł w niełaskę u królowej. Nie spodobało jej się, że ludzie, za których poręczył, zaczęli spiskować przeciwko niej. Zdesperowany wpadł wówczas na pomysł pogrążenia MacKenziego. Wiedział, że jest zamożny, a w dodatku ma angielską żonę. Idealnie nadawał się na ofiarę. Poszedł do naszego ojca i powiedział mu, że jego zięć jest zdrajcą. Ojciec wpadł w popłoch i wysłał cię do Szkocji na przesłpiegi, jeszcze zanim Dunn zaczął rozsiewać nieprawdziwe plotki wśród Szkotów. Wtedy Dunn zorientował się, że jego plan może spalić na panewce, i znów zwrócił się do ojca. Tym razem obiecał mu połowę majątku twojego męża. Był przekonany, że kiedy ziemie MacKenziech ulegną konfiskacie, przypadną w udziale jemu. W podzięce za to, że ujawnił zdrajcę. Ojciec i Bryce mieli tylko poświadczyć jego fałszywe oskarżenia. I zrobili to.

– Boże... Nie sądziłam, że jest aż tak zachłanny i podły...

– Powieszają go? – zapytał Arran.

Knox wzruszył ramionami.

- Nie, ale z pewnością wolałby skończyć na stryczku. Królowa odebrała mu tytuł i oddała go mnie. Majątek także zostanie podzielony po równo pomiędzy mnie i Margot. Wszystko, co miał, dostało się jego córce i bękartowi, którego w prześlisku przyzwyczajności uznał oficjalnie za syna. Ciężko mu przełknąć taką zniewagę.

Siostra spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- A co z Bryce'em?

Uśmiechnął się z satysfakcją.

- Zasugerowałem, żeby spróbował szczęścia jako duchowny.

- Rozumiem, że zostałem oczyszczony z zarzutów - upewnił się MacKenzie.

- Nie wiem jak w Szkocji, ale w Anglii nikt cię już nie ściga.

- Wiesz, jak to jest ze Szkotami - rzekł Jock. - Znajdą się i tacy, którzy nadal wątpią w twoją uczciwość, ale większość stanie za tobą murem. Możecie wracać bezpiecznie do domu.

Gdy Arran spojrzał na żonę, dostrzegła w jego oczach ten sam konflikt, który rozgrywał się w jej własnej głowie.

Powinna się cieszyć, że ich życie na wygnaniu dobiegło końca, ale nie wiedzieć czemu, ogarnął ją wielki smutek. Szkoda będzie opuścić to miejsce. To właśnie tutaj po raz pierwszy żyli tak, jak powinno żyć zgodne małżeństwo. I tutaj jeszcze bardziej się do siebie zbliżyli. Czuła się tak, jakby miała stracić coś niezwykle cennego.

Kiedy poszła spać, mężczyźni nadal raczyli się piwem, które przywiózł ze sobą Jock.

Arran zjawił się krótko potem. Położył się obok niej i bez słowa wziął ją za rękę. Na chwilę oboje pograżyli się we własnych myślach.

- Pewnie ci ulżyło? - powiedział w końcu.

Przede wszystkim trawiła ją niezrozumiała melancholia. Była też przygnębiona z powodu tego, co usłyszała od Knoksa. Niełatwo było pogodzić się z tym, że własny ojciec próbował zniszczyć jej życie.

- Czy ja wiem? Spodobało mi się tu. Trochę żal będzie wyjeżdżać...

- Aye. - Ścisnął mocniej jej dłoń, ale potem nagle się podniósł.

- Co się stało?

- To samo, co dręczy mnie od dawna. Nadal ci nie ufam.

Zamrugwała zaskoczona. s

- Jak to? Wiesz przecież, że nie miałam z tym nic wspólnego...

- Nie w tym rzecz. Przetrwaliśmy tu długie tygodnie. Staraliśmy się, jak mogłaś, ale teraz jesteś bogata. Dzięki pieniądzom ojca możesz być niezależna, możesz robić, co tylko zechcesz. A ja... Ja jestem tylko prostym Szkotem, który... Ach, *Diah*, do dziś nie wiem nawet, czy na pewno chcesz być moją żoną, czy podoba ci się życie u mojego boku...

- Ale przecież...

Wstał i podszedł do okna, jakby bał się usłyszeć to, co miała do powiedzenia.

- Kocham cię od zawsze. Odkąd cię pierwszy raz zobaczyłem. Co dzień zaskakujesz mnie czymś nowym. Zmieniłaś się. Stałaś się kobietą, o jakiej zawsze marzyłem, i za to kocham cię jeszcze bardziej. Teraz jednak masz majątek, który daje ci wolność decydowania o samej sobie, a ja nie chcę spędzić reszty życia w strachu.

Przestraszyła się na dobre.

- Chcesz mnie odesłać do Anglii?

- Co? - spojrzał na nią ze zdumieniem. - Nie, Margot. Nie chcę cię nigdzie odsyłać. - Przyklęknął przed nią i wziął ją za rękę. - Nie rozumiesz, co próbuję powiedzieć? Błagam cię, żebyś ze mną została, żebyś już nigdy nie zostawiała mnie samego. Nikt nie pokocha cię tak jak ja. - Zacisnął powieki, jakby parzenie na nią sprawiało mu ból. - Będę cię wielbił do końca życia, ale jeśli nie jesteś pewna, czy chcesz zostać w Szkocji, proszę, powiedz mi o tym teraz i nie dręcz mnie więcej. Nie mogę budzić się co rano, bojąc się, że znów mnie opuścisz. Nie zniósłbym tego po raz drugi. - Gdy podniósł na nią wzrok, w jego oczach błysnęły łzy.

Popatrzyła na niego z uczuciem i pogłaskała go po policzku. Doskonale rozumiała jego lęk. Takie samo przerażenie sparaliżowało ją kilka godzin wcześniej, kiedy usłyszała na drodze konie i wystraszyła się, że ktoś może jej go odebrać. Zrozumiała wtedy, jak bardzo go kocha. Nie chciała spędzić z dala od niego

nawet jednego dnia.

- Kocham cię, Arranie, i nie zostawię, nawet jeśli spróbujesz mnie przepędzić.

Zamarł, a potem przyjrzał jej się szeroko otwartymi oczami.

- Nigdy nie mówiłaś, że mnie kochasz...

- Cóż, to tylko jedna z wielu rzeczy, których żałuję. Wybacz, że mówię to dopiero teraz, ale to prawda, i musisz mi uwierzyć. Kocham cię za to, jaki jesteś, i za to, że dzięki tobie zrozumiałam, co w życiu ważne. Ty mnie tego nauczyłeś. Nie dbam już o towarzystwo i wytworne stroje, teraz obchodzi mnie tylko, czy ugotowałam wystarczająco dużo kartofli i czy dobrze zacerowałam ci koszulę. No i jeszcze się zastanawiam, czy będziesz kochał swoje dziecko choć odrobinę bardziej niż psy, którym pozwalasz szwendać się ciągle po domu.

Zwiesił głowę i odetchnął z ulgą.

- Chryste, Margot...

Ujęła jego twarz w dłonie i uniosła ją, żeby mógł na nią spojrzeć.

- Tu, w tym odludnym miejscu, stałeś się całym moim światem, jego początkiem i końcem. Jeśli znów przyjdzie mi wybierać, również wybiorę ciebie. - Pocałowała go czule w usta.

Przytulił się na moment, a potem spojrział na nią, jakby coś sobie nagle przypomniał.

- Zaraz. Czy mi się zdawało, czy mówiłaś coś o dziecku?

- Mówiłam, że jesteś zbyt pobłażliwy dla swoich psów i że dziecku powinienes poświęcać co najmniej tyle samo uwagi.

- Czy to znaczy, że... będziemy mieli dziecko?

Roześmiała się na widok jego miny.

- Tak, jestem prawie pewna, że tak - zlitowała się w końcu.

Porwał ją w ramiona i pociągnął za sobą na łóżko.

- Zostanę ojcem?! Teraz już nigdy się ode mnie nie uwolnisz, kobieto!

## EPILOG

*Balhair 1713 rok*

Najstarszemu synowi dali na imię Cailean, po dziadku. Chłopiec miał kasztanowe włosy po matce i błękitne oczy po ojcu. Już jako dwulatek uwielbiał wymachiwać drewnianym mieczem, a najczęściej terroryzował nim Fergususa.

Arran popatrzył z dumą na synka i pomógł żonie usiąść na krześle. Lada moment spodziewali się drugiego dziecka. Akuszerki twierdziły, że tym razem urodzi się dziewczynka. Miał nadzieję, że się nie mylą. Choć nie powiedział tego na głos, w skrytości marzył o córce, którą mógłby bezwstydnie rozpieszczać.

- Słysząc dudy - zauważyła Margot.

MacKenzie skinął na Sweeneya, żeby zabrał Caileana.

- Aye. Nadchodzi procesja.

- My nie mieliśmy ślubu z procesją.

- Marzy ci się procesja, *mo gradh*? Urządź ci procesję.

- Marzy mi się, żeby twoja córka uznała za stosowne przyjść wreszcie na świat. Diablica kopie jak najęta.

- Cierpliwości, słońce, już niedługo.

- Łatwo ci mówić. Przywiąż sobie do brzucha prosiaka i ponoś chociaż dwa tygodnie. Wtedy porozmawiamy.

Uśmiechnął się i ścisnął ją czule za rękę.

- *Ćśśś*, nowożeńcy idą.

Pan młody miał na sobie tartan i górował nad wszystkimi co najmniej o głowę, a jego wybranka nosiła we włosach wianek i przepasała się kraciastą szarfą.

- Coś podobnego! - zdziwiła się Margot. - Włożyła kratę!

- Myślałaś, że nie włoży?

- Moja Nell nie przepada za szkockimi obyczajami. Mawia, że są dobre dla barbarzyńców i że Jock to największy dzikus w ca-

łej Szkocji.

- Owszem, ale serce ma łagodne. Poza tym nie wygląda mi na nieszczęśliwą.

- W życiu nie widziałam jej takiej zadowolonej.

Miała rację. Nell i Jock promieniali. Arran nie pamiętał, żeby jego kuzyn kiedykolwiek uśmiechał się tak szeroko.

Kiedy podeszli bliżej, uroczyście pobłogosławił ich związek.

Zamierzał właśnie wznieść toast, kiedy żona dotknęła dyskretnie jego nogi.

- Zaraz, muszę jeszcze...

- Lepiej się pospiesz. Twoja córka nie zamierza czekać.

Vivienne MacKenzie urodziła się dwanaście godzin później. Gdy Cailean pierwszy raz zobaczył siostrę, z miejsca nazwał ją *Leamsą*.

Arran wytłumaczył żonie, że *leamsa* brzmi jak gaelickie *loom-sa*, które znaczy „moja”.

Cailean przez ponad rok nie odstępował małej Vivienne. Nie pomagały żadne zabawki ani perswazje. I tak została *Leamsą* i należała wyłącznie do niego. Odzyskała swoje imię dopiero wtedy, kiedy na świecie pojawił się kolejny MacKenzie.

Pewnej nocy tuż po drugich urodzinach córki Arran przytulił żonę i szepnął jej do ucha:

- *Leamsa*.

- Zawsze - odpowiedziała, głaszcząc go po dłoni. - Tylko twoja. - Ze zmęczenia kleiły jej się powieki. Znów była przy nadziei, a przez cały dzień wyrabiała mydło z panią Gowan.

Ledwie przymknęła oczy, a łóżko zaanektowały dzieci. Cailean wcisnął się między nią a Arrana i chwycił ją za szyję. Tymczasem Vivienne skakała w najlepsze po ojcu.

- O nie, pisklaki - wymamrotał srogim tonem jej mąż. - Nie ma mowy. Mama musi się wyspać - dodał, ale wszystkich szczelnie przykrył pierzyną.

Margot uśmiechnęła się, bezpieczna i szczęśliwa w ramionach rodziny, która była całym jej światem.

- [1] *sgilling* (szkoc.) - szyling (przyp. tłum.).
- [2] *leannan* (gael.) - kochanie, skarbie (przyp. tłum.).
- [3] *fàilte* (gael.) - witaj (przyp. tłum.).
- [4] *mo gradh* (gael.) - moja droga, kochanie moje itp. (przyp. tłum.).
- [5] *bòidheach* (gael.) - piękna, czarująca, ponętna (przyp. tłum.).
- [6] *Diah!* (gael.) - Boże! (przyp. tłum.).
- [7] *bonny* (szkoc.), *pretty* (ang.), *bòidheach* (gael.) - ładny (przyp. tłum.).
- [8] jakobita - w XVII-XVIII w. członek stronnictwa Jakuba II Stuarta, króla Anglii i Szkocji (przyp. tłum.).
- [9] *arasaid*, także *earasaid* (gael.) - przepasany pled, wiązany w pasie tradycyjny szkocki strój z tartanu noszony przez kobiety. Wygląda jak peleryna połączona ze spódnicą sięgającą kostki (przyp. tłum.).
- [10] *aye* (szkoc.) - tak, prawda, nieprawdaż? (przyp. tłum.).
- [11] *luckenbooth* (szkoc.) - szkocka broszka w kształcie serca lub dwóch splecionych serc, często zwieńczona koroną. Zazwyczaj wykonana ze srebra i wysadzana kamieniami ozdobnymi. Symbol miłości (przyp. tłum.).
- [12] *Mi-onorach* (gael.) - nieuczciwy, nieetyczny, szemrany (przyp. tłum.).
- [13] *sassenach*, inaczej *sasannach* (gael.) - lekcew. osoba o angielskim pochodzeniu; odpowiednik polskiego Angol (przyp. tłum.).
- [14] *madainn mhath* (gael.) - dzień dobry (przyp. tłum.).
- [15] Fell - brytyjska rasa kuców, zwykle ciemnej maści, z długą grzywą, charakterystyczną „bródką” i okazałymi szczotkami pęcinosowymi (przyp. tłum.).
- [16] Kelpie - w folklorze celtyckim nadnaturalny wodny koń, zmieniający kształty, nawiedzający szkockie jeziora i rzeki (przyp. tłum.).



Tytuł oryginału: Wild Wicked Scot  
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Ltd, 2016  
Redaktor serii: Dominik Osuch  
Opracowanie redakcyjne: Dominik Osuch  
Korekta: Lilianna Mieszczńska

© 2016 by Dinah Dinwiddie  
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.  
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.  
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.  
Harlequin i Harlequin Powieść Historyczna są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.  
HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.  
Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.  
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.  
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN 978-83-276-2930-3419-1

Konwersja do formatu MOBI:  
Legimi Sp. z o.o.

# Spis treści

Strona tytułowa	
Prolog	
Rozdział pierwszy	
Rozdział drugi	
Rozdział trzeci	
Rozdział czwarty	
Rozdział piąty	
Rozdział szósty	
Rozdział siódmy	
Rozdział ósmy	
Rozdział dziewiąty	
Rozdział dziesiąty	
Rozdział jedenasty	
Rozdział dwunasty	
Rozdział trzynasty	
Rozdział czternasty	
Rozdział piętnasty	
Rozdział szesnasty	
Rozdział siedemnasty	
Rozdział osiemnasty	
Rozdział dziewiętnasty	
Rozdział dwudziesty	
Rozdział dwudziesty pierwszy	
Rozdział dwudziesty drugi	
Rozdział dwudziesty trzeci	
Rozdział dwudziesty czwarty	
Epilog	
Przypisy	
Strona redakcyjna	